

EMMA POPIK

BRAMY STRACHU

BRAMY STRACHU

– Nie potrzebujemy bohaterów – powiedział Odźwierny przy bramie Miasta, patrząc obojętnie na Przybysza w zakurzonym ubraniu.

– Ale ja zgadzam się umrzeć – odpowiedział obcy.

Deklaracja nie uczyniła na Odźwiernym żadnego wrażenia, już chciał wyłączyć wizję, tym bardziej, że zbliżała się kawalkada samochodów z zerwanymi dachami, od której dobiegały dźwięki ręcznych CB i krzyki pijanych. W tej chwili samochody zaczęły przemykać po jednym, oszołomione narkotykami dziewczyny leżały przewieszane przez drzwiczki, chłopcy wrzeszczeli przez radia, jednocześnie oglądając rozmówców na ekranach, umieszczonych ponad licznikiem prędkości, wskazującym zawsze kilkadziesiąt kilometrów mniej. Jeździli tak wokół Miasta nie mogąc się wydostać poza mury, i szaleli. Odźwierny wzruszył ramionami.

– Synalkowie bogaczy, dziewczyny z dobrych domów, niczego im nie brakuje, ja bym mojemu spuścił takie cięgi, że matka by go nie poznała. Czego chcą, do cholery?!

– Czy są wolni? – zapytał Przybysz.

Odźwierny wzruszył ramionami. – Już ich chyba skomercjalizowali. Był festiwal i sprzedali go telewizji, wybuchły bójki, nie mam pojęcia, kto czego bronił, gdyż Securitas, sprawne, Czarne Mundury...

– Rozumiem – szepnął Przybysz.

– Nie wiem, czemu ci to mówię – usprawiedliwił się Odźwierny, siedząc w swej szklanej klatce tuż obok zapory w bramie, stojącej jak wielka przejrzysta szyba. Nikt nie wiedział, jak wysoko sięgała, dość, że przerwa pomiędzy domami była wypełniona energią, tak tutaj, jak i wszędzie naokoło Miasta, i każdą dziurę zapieczętowano, odgradzając groźny świat zewnętrzny.

Odźwierny, wzruszywszy ponownie ramionami, pokiwał głową, a jego wzrok prześliznął się po cholewkach obcego i w oczach zalśniło zaciekawienie, zazdrość, a może i podziw.

– Masz wojskowe buty – głaskał je spojrzeniem – czy przeszedłeś przez tereny objęte wojną?

Przybysz nie musiał potwierdzać. Palce Odźwiernego zawisły ponad klawiaturą komputera wejściowego.

– To nie są buty Sprzymierzonych, ale tamtych – zauważył Odźwierny cicho i dopiero wtedy spojrział w wielkie błękitne oczy obcego patrzące mu w twarz i gdzieś poza nim. – Ilu musiałeś zabić?

– Nikogo.

– Chcesz powiedzieć, że dostałeś je w prezencie?

– Tak było.

– I może puścili cię wolno?

– Dlatego mnie widzisz.

– A jak przeszedłeś linię walk?

– Zabrał mnie konwój.

– Pomoc humanitarna nie ma prawa ratować ludzi.

Przybysz milczał.

– Może myślisz, że i ja ci pomogę?

– Jak chcesz.

– Ha, ha! – Odźwierny wybuchnął gorzkim śmiechem. – Sądzisz, że ode mnie zależy cokolwiek, że jestem panem swojej woli i w ogóle człowiekiem?!

– Tak!

– To ty nie znasz świata! Skąd się wziąłeś?

Przybysz stał spokojnie, milcząc.

– Nie jesteś chyba... Nie masz przypadkiem błon pomiędzy palcami?

Przybysz podniósł ramię w geście przysięgi i pokazał dłoń, na której nie było prawie linii oprócz jednej, czerwonej i głębokiej, która przebiegała od przegubu do nasady palców, kończąc się krzyżykiem, tego jednakże Odźwierny nie widział, odniósł tylko wrażenie, że został jakoś szczególnie pozdrowiony.

Wybuchnął nagle długo skrywaną krzywdą.

– Nie mogę cię wpuścić! Brama jest prywatna i patrz, komputer wszystko rejestruje, liczy każdego, kto przechodzi. Program jest tak opracowany, że sam decyduje, kto może przejść, a ty... Wieczorem szef każe sobie przesłać rejestry, nie ruszając się od swego biurka, ba, nie musi nawet nacisnąć klawisza, urządzenie włącza się samo, on nie trzyma się przecież liczeniem obywateli legalnych, osobników drugiej kategorii i tych poza prawem, czyli nędzarzy, bezrobotnych, azylantów. Możesz mieć tatuaż, kość w nosie, pióra w dupie, poruszać się na protezach przytwierdzonych do autobusu, wpuszczę, nie jesteśmy przecież faszystami! O nie! Nikt nie dyskryminuje ludzi z powodu wyglądu i koloru, no, może troszeczkę, nie powinieneś być, w każdym razie, czerwony, ale musisz mieć konto w banku! A ty masz? Masz?! Nędzarzu, głodny skurwysynie, czyhający, by cię wpuścić, byś mógł łaskać się i popatrując w oczy zanurzyć ręce w gównie, by zarobić na talerz zupy. Bo ile jesteś wart? Tyle, ile możesz zarobić. Wszystko przeliczą na pieniądze.

– Kto?

Odźwierny nagle zamilkł z otwartymi ustami, a potem zrobiwszy nieokreślony gest ręką powiedział.

– Wszyscy. Takie czasy.

– A ty na ile się cenisz? – zapytał Przybysz.

– Dobrze – burknął Odźwierny – wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Mogę przecież zawiadomić telewizję – jego ręka wciąż czekająca ponad klawiaturą obniżyła się. – Wpuszczę cię za bramę, ale wyłącznie po to, by z nimi porozmawiać, jeżeli nie wyrażą zgody, będziesz musiał wyjść.

– Uczynię to.

– Żebyś nie musiał cię wyrzucać, bo mam sposoby! Ostrzegam, nie będziesz mógł się pozbierać. – Palce nareszcie uderzyły w klawisze i w zaporze zrobiły się drzwi, lekki ciemniejszy obrys.

– No, włącz! – ponaglił Odźwierny.

Przybysz wcale się nie spieszył stojąc wciąż prosto, nie wyglądało, by zamierzał dać nura do środka, by się dostać do rajy obfitości, nowoczesnej techniki i dobrobytu. Tu ciągnęli wszyscy, nawet z najdalszych stron, nie bacząc na trudy, wiele by dali, wszystko, zaparli się własnej rodziny, kraju i religii, by te wartości przehandlować na wideo i samochód, lecz ten obcy zachowywał się wyniośle, jakby to on robił łaskę, i wreszcie pochyliwszy się, bo był nadzwyczaj wysoki, przeszedł przez próg jednym krokiem i stanął tuż za przejrzystą ścianą energii, wcale się do środka nie pchając.

Bramka zaraz została zamknięta i żaden ślad nie pozostał na kryształowym, falującym

polu, a obcy wciąż stał w milczeniu wyższy niż inni, bo może jakoś wyniesiony, nie kwapiąc się wcale, by wejść głębiej do Miasta będącego w duchowym stanie twierdzy obleżonej. Odźwierny nie miał czasu się nim zająć, gdyż na zewnątrz już stali następni, gotowi dać wszystko, swoją krew i swoje oczy. Byli to dwaj czarnowłosi mężczyźni, prawie chłopcy, ich ciała miały kolor o ton zbyt ciemny, o tę odrobinę, która czyni różnicę, bo kiedy jesteś jaśniejszy, wówczas należysz do białych, opalających się na plaży dla bogaczy, a więc stać cię na wakacje i świetnie wyglądasz w ubraniu z białego płótna, kochają cię kobiety, szczególnie gdy założysz kapelusz typu panama, ale ci zbyt długo przebywali na słońcu czy w brzuchu matki i stali się ciemni i podejrzani.

Stali z pochylonymi głowami, ich brudne filcowe kapelusze ocieniały twarze, a poncha w pasy fioletowe i zielone nie przysłaniały braku koszul, lecz gdy Odźwierny na nich warknął, podnieśli szybko głowy i przybliżyli twarze – zbyt brunatne i przekłete – do przejrzystej szyby, a ich wargi czarne i zwierzęce, jakby psie, rozciągnęły się w triumfującym uśmiechu, odsłaniając trzonowe zęby, żółte i mocno osadzone, a spod poncha zostały wyszarpięte, jak noże zza paska, dwa duże kawały papieru, wręcz płachty, podklejone plastykiem i niezniszczalne, a na nich były litery w pięknych zawijasach staroświeckiej kaligrafii i widniał u dołu podpis głównego managera, poświadczający autentyczność tych czeków imiennych na dużą sumę, więc Odźwierny nie mógł nic innego zrobić, jak tylko się skłonić znad klawiatury i powiedzieć głośno, sorry, mister, yes, mister, bo taka była jego gramatyka, a palce już mknęły po klawiaturze, rejestrując i otwierając, tym razem całą zaporę, wzdłuż i wszerz, by zniknęły progi i podarte mokasyny nie rozpruły się o nie jeszcze bardziej.

Dopiero gdy przeszli ulicą w dół i zniknęli w blasku bijącym od sklepów, w łunie wystaw sklepowych i polerowanych wysokich klamek, Odźwierny zwrócił się do obcego, jakby nieco zdziwiony, że on tu jeszcze stoi, bo przecież mógł niepostrzeżenie zrobić jeden krok poza próg wielkiego sklepu, który wcale nie miał drzwi ani nawet przedniej ściany, lecz zamiast nich przejrzystą kurtynę ze światła, a tuż za nią stały na podłodze stosy koszyków i piramidy przedmiotów ułożonych gustownie według kształtów i kolorów po to, by je dowolnie przerzucać, a cierpliwa obsługa o skórze ciemnej lub białej układała je starannie na powrót. Obcy nie zrobił tego kroku – choć było to łatwe i dla większości oczywiste – by zyskać azyl, jako że sklep ochroniłby najważniejszego człowieka na świecie: klienta, nie szkodzi, że bez pieniędzy i szansy, że da im zarobić, ale niosącego w sobie potencję tysiąca znajomych, którzy przyjdą przez niego zachęceni.

Odźwierny o tym wiedział, godność obcego wzbudziła w nim ulotną refleksję, pomieszaną z goryczą i podziwem, ale musiał być twardym człowiekiem, gdyż mu za to płacono. – Stój tutaj! – rzucił rozkaz bez sensu i już łączył się z telewizją. Taki Odźwierny zna wiele wejść, bramy są przecież wszędzie, więc kiedy kumpel połączył go ze studiem, „wiesz, stary, zrób mi to”, zobaczył na ekranie uśmiechniętą i śliczną sekretarkę umalowaną jak gwiazda filmowa, piekielnie inteligentną i znającą swój zawód, kiwnął wtedy na obcego, ten pochylając się wszedł do szklanej dyżurki i ponownie stanął spokojnie przy drzwiach, jakby te wydarzenia nie jego dotyczyły, poza nim się tocząc.

Złote powieki sekretarki stały nieruchomo, gdy bezwzględny wzrok badał każdy szczegół twarzy petenta, rejestrując olbrzymie brwi, jak dwa czarne skrzydła i piękny nos, wygięty subtelnym łukiem.

– Masz krzywą przegrodę nosową – zauważyła rzeczowo, wielka uroda Przybysza nie czyniła na niej żadnego wrażenia. – Twoja twarz jest zbyt szczupła, powinienes zapuścić włosy, by okalały ci policzki, wydadzą się wówczas pełniejsze. Włosy są gęste i wydają się mocne, podnieś je garścią do góry. Czy mógłbyś na nich zawisnąć? – Nie czekając na

odpowiedź opuściła powieki w dół, ku jego ustom. – Czy się malujesz, skoro masz takie czerwone wargi? Nie? Tak podejrzewałam. Żadnej kultury. Otwórz usta, nie tak szeroko, rozchyl je lekko. Dobrze, są bardzo wypukłe, ogólnie akceptuję. A co ma znaczyć ta pionowa zmarszczka obok nich, czy masz wszystkie zęby? – Powieki wciąż się opuszczały. – Zbyt szczupłe ramiona, żyjesz w ascezie, czy jesteś po prostu niedożywiony? Obniż nieco spodnie i pokaż brzuch, twój pępek wygląda na autentyczny, urodziłeś się z ziemskiej kobiety, widzę, że został fachowo zawiązany, mieliście dobrego lekarza, pewnie lepiej powodziło ci się przed przewrotem. – Złote, zimne powieki wciąż się opuszczały. – Zdejmij spodnie – powiedziały subtelne usta – odepnij sprzączkę paska, chcę zobaczyć, jak to robisz. Nie spiesz się tak, nie szarp, kobiety tego nie lubią, odchyl najpierw ten ostry zaczepek, zrób to jednym palcem i patrz mi wtedy w oczy, nie zwracaj uwagi na to, że mam wzrok skierowany gdzie indziej. Taak, prymitywne. Przytrzymaj spodnie jedną ręką, nieco ukosem, musisz tyle samo odsłaniać, co zakrywać, właściwie ile masz w zwodzie? No dobrze, nie mów, i tak wiem, to mój zawód i oni wiedzą, za co mi płacą. Jeżeli chcesz zostać kupiony, musisz więcej wiedzieć o możliwościach swego ciała.

– Przyszedłem, aby za was cierpieć – powiedział Przybysz.

– Musi to być jednak dobrze zrobione – odpowiedziała, już odwrócona do wideokomputera, by połączyć się z szefem; nawet nie powiedziała obcemu, że może podciągnąć spodnie i zapiąć pasek wtykając kolec od sprzączki w dziurkę szybkim, niedbałym ruchem mężczyzny, który się po prostu ubiera.

Ekran w głębi się rozjaśnił pokazując obszerne studio. Ostre światło reflektorów stojących po okręgu oświetlało perską otomanę zarzuconą dywanem, na której leżała naga para, mężczyzna na kobiecie, wsparty łokciami, tuż obok jej piersi odchylonych na boki, o sutkach pokrytych czerwoną szminką, całował ją tak, by jednocześnie pokazywać język i udawać, że nie dotyka jej ust starannie umalowanych i lśniących, gdyż błyszczki imitujące ślinę szybko wysychają i trzeba przerywać zdjęcia na poprawianie makijażu.

Szef stał na środku, olbrzymi mężczyzna z komórkowym wideofonem, zbyt małym i niknącym w umięśnionej ręce, jego postrzępione szare włosy wicherzyły się wokół głowy niby szalona aureola z pierza, lecz jakoś żałośnie kończyły się na karku, ujęte w gumę. Stał w rozkroku w podartych dżinsach, nosząc je jak wszyscy reżyserzy na całym świecie.

Oryginałem i trochę, oczywiście, nieprzystosowanym do społeczeństwa musiał być, gdyż to się dobrze sprzedawało i tego oczekiwała publiczność, a poza tym, do cholery, klient musi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Reżyser słuchał relacji sekretarki, popatrując na wideofon, i bez wątpienia właśnie oglądał film nagrany podczas rozmowy z obcym, odpięcie paska i opuszczenie spodni, przyglądał się ciału z fachowym skupieniem, kalkulując, co się da zrobić z tego materiału. Trwało to pewną chwilę, toteż kamerzysta za jego plecami pozwolił sobie zdjąć z uszu słuchawki, a na ten sygnał chłopak lekko zeskoczył z dziewczyny, wyrzucając z siebie głęboki oddech i rozluźniając mięśnie. Usiadł na brzegu kanapy i zza oparcia wyciągnął butelkę wody mineralnej, pił przechylając się do tyłu, mimo to trzymał uda razem, chociaż ich wnętrze i wszystko, co tam miał, pokrywała dokładnie naciągnięta, niewidoczna folia, zapewniająca ochronę absolutnie niezbędną w pracy, której warunki nie były łatwe, gdyż światło, żar i kurz powodowały częste egzemy, a charakteryzatorki szczotkujące tam włosy, pracując na tempo, często całą dobę, unosiły mu to niedbale, biorąc w dwa palce o ostrych paznokciach, zadrapania, szczególnie na samym końcu, długo się goiły, tracił więc dniówki i pieniądze. Zaspokoiwszy pragnienie wręczył butelkę swojej partnerce, dziewczyna wyjęła z włosów miniaturowy telefon, wyglądający jak ozdobny klips, i jedną ręką sięgając po wodę, drugą

zaczęła na czapie, urządzenie natychmiast się włączyło, więc od razu zaczęła wydychać szeptem pytania, „czy przewinięłaś dziecko, jestem głodna, to się nie skończy przed czwartą rano, Kocham cię.” Wyrzuciwszy z siebie tę depezę, bo na więcej nie starczyłoby czasu, przypięła z powrotem aparat przy uchu, który w regularnych odcinkach czasu włączał się na odbiór, więc w trudnych chwilach zmęczenia wsłuchiwała się w uspokajające sygnały z domu, oddech śpiącego dziecka i człapanie kapci męża. Potem długo piła, wprawnie wlewając strumień wody na język, tak by z warg nie spłynęła szminka.

Obraz studia nagle zniknął, gdyż reżyser podjął decyzję i natychmiast wyłączył wizję, gdyż płaci się za każdą milisekundę na antenie, co komputer dokładnie wylicza, a Odźwierny i obcy zobaczyli na ekranie wideofonu obraz nie dla ich oczu przeznaczony: piękna sekretarka rozmawiała z człowiekiem stojącym przy drzwiach jej biura, tłumacząc dobitnie jakąś sprawę, tak jakby odganiała natręta broniąc stanowiska telewizji, w istocie rzeczy nieuczciwego, lecz jej twarz pozostawała nieruchoma i nie wyrażała gniewu, kobieta była rzeczowa, gdyż nie mogła sobie pozwolić na ujawnianie uczuć przy załatwianiu biznesu, co wymagało spokoju, a poza tym niecierpliwym skrzywieniem twarzy nie wolno było niszczyć urody stanowiącej wymierny atut w utrzymaniu pracy i zarobków. Gdy stwierdziła, że jest na wizji, nacisnęła guzik i twarz petenta pokryła mgłą, czyniąc go nierozpoznawalnym, a ona powiedziała szybko – Stwierdził, że może być z ciebie materiał. Jeżeli znajdzie się sponsor, zrobimy przedstawienie. Wejść do Miasta na trzy dni – i natychmiast się wyłączyła.

Skinąwszy głową piekielnie zajętemu Odźwiernemu, który nawet nie miał czasu odwrócić głowy, Przybysz odszedł nie spiesząc się, kroczył pewnie ulicą w dół, jakby wiedział, dokąd zmierza, a przecież nie mógł znać Miasta.

Drzwi są otwarte – rzekł głośno Przybysz, stając na progu. Z ciemnej głębi mieszkania wybiegła kobieta i zatrzymała się przed nim, przelękając ślinę ze strachu. Drobna, w krótkich szortach do połowy opalonych ud, bosa, w luźnej koszulce na gołą skórę, zupełnie bezbronna i chuda, postawiła jedną stopę na drugiej i pocierała nią nerwowo, dysząc, co ma zrobić, bała się, och, jak strasznie. Bez szans wobec mężczyzny, zaskoczona jak ptak, bo taki mówi, „nic ci nie zrobię, tylko nie krzycz” i potem torturuje długo i bez potrzeby, dla samej radości męczenia, a może i z wściekłości, że ona trzyma w domu tylko parę groszy na bieżące wydatki, i kiedy wreszcie tak się podnieci swym okrucieństwem, że już może tę kobietę zgwałcić, nie przynosi mu to wcale ulgi, więc musi ją zamęczyć, choć to tylko powiększy jego szal.

Ale ten stojący przed progiem milczał i zdołałaby nawet zatrzaskać drzwi, ale to mogłoby go rozjuszyć, więc jej stopa ocierała się tylko coraz szybciej o drugą w przerażeniu.

– Może zamek się zepsuł – rzekł łagodnie.

– Kazałam wstawić nowy.

Przełknęła znowu ślinę i nieposłuszną stopę przycisnęła z tyłu nogi. Jeszcze nie była pewna intencji obcego. Ale odważyła się przenieść wzrok na drzwi i wyprostowanym palcem nacisnęła zaczep, schował się, lecz zaraz wyskoczył. Zrobiła to jeszcze raz i potem wielokrotnie coraz szybciej.

– Popsuł się, jak to! A dali mi gwarancję! Wszystko jest takie tandetne! Marne, słabe i oszukane! – Wzdychała ciężko, jakby to zdarzenie było ostatnim w paśmie przeciwności. – Wszystko ciągle się psuje, ponawiam reperacje, to kosztuje majątek i wciąż mnie zajmują te głupstwa.

– Wystarczy torba z narzędziami...

– I dwie męskie ręce – uzupełniła, unosząc ramiona w geście poddania się. Miała wyjątkowo małe dłonie, pokryte skórą jak bibułka.

– Mogę to naprawić.

Musiałyby wezwać ekipę, tak nazywano faceta z kostkami części wymiennych w torbie, który musiałby pofatygować się i przyjechać, co tylko klienci uznawali za oczywiste, i doliczyłby sobie za dojazd, co uważała za nadużycie, gdyż ten rodzaj pracy wymagał chodzenia po domach, ale w tych czasach nawet lekarze podnosili stawki za brudzenie rąk krwią, w dodatku czekałyby wiele godzin, a może nawet do następnego dnia. Typ zabłociłby dywan, paliłby tanie papierosy i może by się do niej zalecał, nie czując obecności mężczyzny w mieszkaniu. Wiedziała o tym, właśnie tak się działo, w tych dniach upadku i degradacji. Stała wzdychając i nie mogąc się zdecydować, już nie patrzyła na obcego ze strachem, nie czynił wrogich gestów, nawet nie zamierzał wejść, może po prostu szukał pracy, pewnie tak było. Nagle z głębi mieszkania odezwał się dźwięk wideofonu. Zareagowała jak podcięta batem, rzuciła wzrokiem na zamek i na człowieka, drzwi by się nie zatrzasnęły, on stał, jakby czekał, aż pozwoli sobie pomóc, dźwięk wydawał się natarczywy, otwierała usta, by coś powiedzieć, jakiegoś „nie skrzywdź mnie, błagam, widzisz, jestem u kresu” i ten dzwonek, dzwonek.

– Słuchaj, od tego zależy... – niepewnie spojrzała w stronę szafki z narzędziami, oddychając wciąż ciężko i szybko, dłużej nie mogła czekać, zakręciła się na bosej pięcie i wchłonął ją ciemny przedpokój.

Wyszukiwał odpowiednie narzędzia spośród stosu różnych przedmiotów, czyniąc to niespiesznie i tak, aby nie hałasować. Po tamtej stronie wideofonu padło kilka twardych zdań i aż tu dobiegał go ciężki oddech kobiety, która łapała powietrze wciąż szybciej, jak tonąca.

– Nie zapłacicie! – krzyknęła. – Mamy umowę.

Po kilku sekundach milczenia, gdy dano jej leniwie wzgardliwą odpowiedź, wybuchnęła oburzeniem. – Przecież daliście słowo, wykonałam dla was pracę.

Zamarł z narzędziem w ręku, jakby bojąc się zagłębić ostrze w miękkiej materii plastyku, by wydobyć na wierzch bezbronne wnętrze urządzenia.

– Zmieniliście profil?! Tak po prostu.

Musi jednak to zrobić, bo gdy ona skończy rozmowę, poczuje się oszukana i w jeszcze większym zagrożeniu. Aż tu dobiegał jej oddech tak szybki, jakby biła ramionami o powierzchnię wody tonąc. Trwało to chwilę, aż nagle umilkła. Nikt z nią nie rozmawiał, była sama.

Zamek tkwił wbity mocno w plastik, zaczepiony pazurkami, tylko jego powierzchnia była biała i ślepa, nie dochodziły do niej sygnały ze sterującego komputera, gdzieś i jakoś przerwał się krwiobieg impulsów. Trzymał teraz urządzenie na dłoni, małe i bezbronne jak wyjęte serce, i patrząc na nie nasłuchiwał, a potem poszedł poprzez milczenie.

Siedziała na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, położywszy dłonie na kolanach palcami do środka i patrzyła sztywno przed siebie jak Japończyk przygotowujący się do sepuku. Na dywanie stała otwarta butelka alkoholu, ledwo napoczęta, piła wprost z niej. Niewiele potrzebowała.

– Napij się – powiedziała – a potem możesz mnie zabić. Tak będzie lepiej.

Naprzeciwko, na niskim stoliku stał olbrzymi komputer, w głębi pustego ekranu uwięzło odbicie twarzy, jak jej dusza i życie. Obok stał stelaż z biblioteką twardych dysków w srebrnych kopertach i jeden skaner, wciąż włączony i odczytujący gazety, a modem nieustannie przyjmował informacje z całego świata, rejestrator liczył impulsy jak uderzenia serca.

Tu był mózg tej kobiety i nerwy, które łączyły ją ze światem.

Położył tam popsuty zamek, jakby to było jej martwe serce.

– Czy tak musisz? – wskazał na pracujące urządzenia.

– Mam odłączyć den? Potrzebuję go coraz więcej, aby biec w tym wyścigu.

– Już ledwo dyszysz.

– Ale nie mogę zwolnić, gdyż będą mnie potraćać i popychać, przewrócą i zatratują.

– Dosyć przecież zdobyłaś.

– Ledwo utrzymuję się na powierzchni. Muszę walczyć, by się nie zdeklasować i nie spaść z drabiny na twarz. Od kiedy nie mamy państwa, ludziom jest trudniej, wszędzie są granice, a człowieka nic nie chroni.

– Ktoś cię oszukał.

– Nie pierwszy raz – podniosła ku niemu twarz zagryzając usta, a potem sięgnęła po butelkę i uniósłszy do ust upiła łyk, westchnęła ciężko, wyrzucając z siebie powietrze, by poczuć ulgę. – Będę cyniczna, gdy powiem, że oszustwo jest wkalkulowane w ten system, rekin pożera rybkę, to jedyne prawo.

– Ale to cię boli.

– Nie zgadzam się na ten świat.

– A powinnaś?

– Tak, żeby przetrwać. Im szybciej to zrobię, tym będzie mniej bolało.

– A jeśli nie podolasz?

– Muszę. Właściwie, działanie agencji można zracjonalizować. Dali ogłoszenie, wykonałam dla nich pracę, skorzystali z niej, lecz nie zapłacili, gdyż przedsiębiorstwo sprzedano, a więc nie ma pracodawcy, który mnie wyzyskał. Proste, czemu ja nie wpadłam na pomysł, by kogoś w taki sposób zatrudnić.

– Jesteś uczciwa.

– Jak zdechła ryba srebrnym brzuchem w górę. – Nagle szarpnął nią szloch, kilka krótkich spazmów, lecz oczy pozostały suche. – Szybko się upiłam. To dlatego, że nic dziś nie jadłam.

– Nie jesteś chyba tak biedna, by głodować.

– Otyłość to znak rozpoznawczy nędzarzy lub stresowców, otyły i tak zaklasyfikowany nie masz szans na utrzymanie się w swej sferze społecznej i łubudu, w dół – kiwnęła się do przodu i byłaby może upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Objął ramionami i podniósłszy bez wysiłku, zaniósł na łóżko pod oknem, właściwie materac na podłodze, nigdy nie zwijany, gdyż szkoda było czasu niepoświęconego na pracę.

Zaczęła chichotać jak pijana. – Nie masz pojęcia, ilu mężczyznom musiałam dawać dupy, to bardzo śmieszne.

– Nie kochałaś nikogo?

– Nie – powiedziała twardo i przytomnie i zamilkła, czując jego język w swoich ustach, a później mokre piersi. Wydawało się jej, że światło w brzuchu zostało zapalone, „jaki odważny”, myślała, „musiał kochać tysiąc kobiet, jakże mu sprostam” i zaczęła się starać, to było zachłanne i głodne, duże ręce oplecione wokół bioder, czuła się tak bardzo kobietą, a nie narzędziem, „jesteś najważniejsza”, usłyszała szept, „staram się dla ciebie”, więc i ona dawała z siebie wszystko, to było właśnie tak, jak powinno, jak największa miłość świata, tylko dawanie się drugiemu, i to przynosiło radość i szczęście, na świecie nie istniał już egoizm, lecz tylko powierzenie siebie w największym zaufaniu i naturalności, odczuwanie i pasja, jaka niewielu pozwoliła się domyślać swego istnienia, a tylko jednemu lub dwojgu przeżyć. Żadne z nich nie mówiło o miłości, nie istniały słowa, obywali się bez mowy i pojęć, aż nagle ten mężczyzna, tak jej się wydało, przestał istnieć, zamieniając się w światło, leżało w niej złotymi warstwami niby równoległe, mocno świecące pasma, lekko wypukłe. Zobaczyła jego wysoką postać, był nagi i patrzyła z daleka, choć był tuż, stał wysoko, choć leżał na niej,

nie miał niczego pod stopami, choć opierał się na jej ciele, właściwie nie dostrzegła przedtem, jak wygląda, rozebrali się od razu, nie pamiętała tego i nie wiedziała, co robi, nie z powodu alkoholu, lecz jakiegoś innego, więc nie znała tego ciała, ale teraz oglądała je z odległości i nieco z dołu, ten mężczyzna stał na tle nieba, prawe ramię miał wyciągnięte w górę, trzymał łuk, a lewą ręką napinał cięciwę, odciągając ją mocnej ku piersi, a ona się przeżyła, nie drząc wcale, był boskim łucznikiem z brodą uniesioną w niebo i lekko puścił palcami tę strunę, a strzała, której wcale nie widziała, pewnie poszybowała w słońce, któreś z nich krzychało: „nie skrzywdziłem cię, nie, powiedz”, nie mogła odpowiedzieć, roztopiona w świetle, nie istniała wcale. Sen, potem sen, który po raz pierwszy w życiu nie był bratem śmierci, lecz spokojną ciemnością.

Obudziła się rano, może o czwartej, i patrzyła jak spał, lekko rozchylone różowe wargi i pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami. Leżał w dziwnej pozycji, na boku, z ramionami podniesionymi ponad głowę i skrzyżowanymi w nadgarstkach tak, jakby były związane sznurem, obie dłonie zaciśnięte w pięści, bronił się przed czymś, nogi podwinęte, jakby klęczał, lecz głowa uniesiona, nie poddał się wcale, mimo różowej wyściółki ust, wilgotnej i zupełnie bezbronnej, wydało się jej nagle, że ktoś biczuje jego plecy, zadając mu torturę, a on to wytrzyma, pod powiekami gałki oczne poruszyły się w wielkim cierpieniu i obróciły w górę, w niebo, jakby tam szukały odpowiedzi i uzasadnienia.

Wideofon zadzwonił, więc zerwała się szybko i naga przebiegła przez pokój, krusząc stopami ogłoszenia o pracę, której wciąż miała za mało, by się utrzymać na powierzchni. Były to najtańsze gazety, z grubego żółtego papironu, więc kruche i się łamały, a po trzech dniach ulegały samoistnej dezintegracji, zamieniając się w kurz, ale jej maszyna do sprzątania świeciła nowością, stojąc w kącie. Należało pracować, by znaleźć swą wielką szansę zostania zauważonym przez znaczące przedsiębiorstwa, agencje, które mogłyby kupić jej talent i umysł, a także nabyć potencję komputera i zawartość twardego dysku w srebrnych kopertach, mieszczących wszystkie informacje świata, nieustannie spływające niebieską strugą elektronów.

Teraz jej bosa stopy kruszyły gazety leżące na podłodze, przełamując na pół słowa „wykwalifikowany” albo „z dobrą prezencją”. Stała przed ekranem wideofonu nie myśląc o nagości, lecz jedynie o fryzurze, uniosła ramiona do głowy, splatając na czubku węzeł i nie była ubrana nawet we włosy.

Na ekranie widziała studio, na środku podłogi stał reżyser w kurtce ze śliskiej czarnej skóry, zapięty pod szyję i gładko lśniący, w olbrzymiej dłoni trzymał wideofon komórkowy, zakres na cały świat, krótka antena sterczała nieprzyzwoicie na tle pustej kozetki, z której ściągnięto perski kilim i nie leżały już na niej ciała, brzydkie i zwiędłe mimo szminek, dochodziła 4.15.

Obrzucił ją spojrzeniem i głęboko osadzone oczy, ukryte gdzieś pod brwiami i niewidoczne, jeszcze ściemniały na widok skóry mokrej od potu i wrzącej od snu i tego, co się przedtem poruszało wewnątrz jej ciała. Nie powiedział nic widząc szczegóły z wprawą i to było jawne, że ma przed sobą kobietę ulegającą szaleństwu i powolną mężczyźnie we wszystkich jego pragnieniach. Milczał chwilę i wtedy postanowił, bo może pot tamtego mężczyzny, jeszcze klejący się do ud, doszedł do jego nozdrzy i zapragnął dobiec do niej na czterech łapach, więc nic nie mówił przez chwilę, gdy zawijała włosy.

Znała go, oczywiście, jak wszyscy, był potężny, nie tylko ciałem i wiedział, że jest ziemski i odrażający, a ta kobieta byłaby dla niego tylko na jeden raz i nawet nie wzięłaby jej do restauracji, zdawał sobie z tego sprawę, była z niższej niż on sfery, pętała się po przedpokojach telewizji zasypując wszystkich ofertami, czekając, by ją przedstawiono komuś

znaczącemu, miała talent, pewnie, takich kobiet wiele otrzymano w spadku po czasach, kiedy wykształcenie było za darmo, więc postanowił ją kupić od razu, nie płacąc ze swego portfela.

- Otwieramy ci kredyt.
- W jakiej wysokości?
- Na ile się cenisz?
- Aż tyle nie masz – powiedziała ostro, choć nie powinna.
- Bądź rozsądna.
- Co kupujesz?
- Scenariusz przedstawienia.
- Na temat?
- Wędrowny siłacz sprzedaje swoje mięśnie.
- To nie jest problem, lecz fakt.
- Ostra jesteś.
- Podbijam po prostu kredyt.

Pomyślał, że może zabierze ją jednak do restauracji i może to być nawet „Palace”.

- Ale on chce umrzeć za nasze pieniądze.
- Załatwicie to legalnie?
- Nie twoja sprawa.
- Termin? – zapytała, przygryzając palec wskazujący, dotykała końca językiem trzymając go nieco krzywo tak, jak się oblizuje skórkę przy paznokciu. Pierwotność tego gestu i naturalność zupełnie go pokonała, ta kobieta była mokra i bez szminek, dopiero co wyszła z barłogu i skopanych prześcieradeł.
- Jutro – powiedział, mając co innego na myśli.

Oblizywała koniec palca, wysuwając język aż na dolną wargę, zamyślona, już rozważająca temat w półmroku zasłon, stała przy oknie, poranne światło rozpraszało kontury ciała, wydała mu się nierzeczywista, pomyślał, że nigdy jej nie pochwyci zębami i szybko się wyłączył. Przebiegła przez kruszące się gazety, żółte i rozpadające się pod piętą na nierówne kawałki i stanęła przed łóżkiem, patrząc na plecy mężczyzny, odcinały się na nich trzy długie krechy, lekko wygięte i wychodzące z jednego punktu. Wyglądało to tak, jakby ktoś stał kiedyś po jego prawym boku i bił go systematycznie batem, okrutnie trafiając wciąż w to samo miejsce. Blizny były białe i w węzły. Mężczyzna spał cicho, trzymając głowę na prawym ramieniu, jego włosy były nieskazitelne, jakby wcale nie szedł przez sen, twarz blada, nawet żółtawa, niby woskowa, „to z powodu światła”, pomyślała, gdyż przez chwilę wydał się jej nieżywy i już uczesany po śmierci.

– Kto cię tak zbił? – zapytała, oddychając ciężko, gdyż czuła, że gotuje się w jej płucach powietrze, gdy się nad nim pochyla.

Odwrócił się w jej stronę, otwierając wielkie niebieskie oczy i patrząc na nią łagodnie.

– Nikt. Nie pozwoliłem się bić.

– Masz jednak blizny.

– Pojawiły się w dniu moich urodzin, zimą. Chyba je przywlokłem z poprzedniego życia. Potem założył bawełniane spodnie wprost na gołą skórę, brzeg koszuli wsunął pod pasek, niedbale, tak jak to robią mężczyźni, zupełnie niatelewizyjnie i podniecająco, a ona zapragnęła mu przynieść buty, lecz stały obok łóżka, więc je wzuł, zapinając na wiele zaczepów. Były wspaniałe.

– Jak je zdobyłeś? – spytała z łazienki biorąc prysznic. Podstawiała otwarte usta pod wodę, gdyż powietrze wciąż w niej wrzało.

– Szedłem boso przez tereny zajęte wojną.

– Dlaczego boso?

– Ktoś poprosił mnie o buty, był to stary człowiek i miał poranione nogi, szedł z dziećmi, by je wyprowadzić, nie doszedłby nigdzie, a dzieci były zbyt małe, by znaleźć drogę. Tam już nie ma nic, wojna nigdy się nie skończy.

– Więc dałeś mu swe buty?

– Jestem pewien, że doszedł z dziećmi.

Wyszła zawinięta w ręcznik. Bawełniana koszula przecinała w połowie jego szczupłe ramiona, potem łóżko przyciągnęło jej wzrok, prześcieradła powtarzały kształt jego ciała, lecz miała sprawy ważniejsze, nie mogła pozwolić sobie na słabość. Należało wydać pieniądze, zanim kredyt zostanie cofnięty. Już ubrana, wyjęła z drukarki prostokątny kawałek plastyku z numerem konta telewizji i włożyła go do kieszeni bawełnianej sukienki zapinanej na guziki, dziecinnej, w drobne, naiwne kwiatki.

Miasto nie zasypiało nigdy, handel trwał nieustannie, bo taka istniała potrzeba. O piątej rano opuszczano restauracje i wylęgali reporterzy, by zbierać szumowiny z nocnego rosółu, drukarze szli na śniadanie, w tylnych kieszeniach spodni tkwiły gazety, dziewczyny zza kontuarów robiły zakupy i niosły bułki dzieciom, a mężom okazjnie nabyte tańsze koszule; przedsiębiorcy wyruszali do klientów i już rozmawiali przez CB szukając w kieszeni kluczyków od samochodów, kiwnąwszy głową chłopakowi przechodzącemu z tacą srebrnych foremek chińskich nudli i słodkiej wołowiny, bo nie zrobiono im drugiego śniadania, żony obsługiwały przyjęcia dla ważnych kontrahentów, trzeba było zarabiać coraz więcej, by na to wszystko mieć, i wyścig trwał.

Na progach piekarń siedziały czarnowłose kobiety, tuląc śpiące dzieci, chude ręce wyciągając po grosze, bo to było wszystko, co świat mógł im dać, wojna nie kończyła się nigdy, kochały ją rządy sprzedające broń w czasach recesji, co się przecież liczy, no nie, i dyplomaci, robiący kariery przy szampanie podczas negocjacji trwających latami.

Kobieta szła obok mężczyzny i kroczyło się jej jakoś lekko, jakby frunęła, pomyślała, że to z powodu spędzonej z nim nocy, kiedy jej ciało poczuło ulgę, a może była inna przyczyna, ukryta i przez nią nie nazywana. Minęli bezdomnego, olbrzymie, tłuste cielsko w sztywnych od brudu lachach, był to taki, co przechodzi milczkiem przez bar i nie patrząc na nikogo szybko chwytą frytki pozostawione na tekturowym talerzu i wpycha je do dziury ust czarną łapą, dławiąc się polyką, zanim nie podbiegnie sprzątac w czerwonej czapce i nie pokaże mu kciukiem drzwi, nikt na niego nie patrzy, nikt go nie żałuje, nawet on sam.

Kobieta szła niemal się unosząc, wstawało słońce, w powietrzu zawirowały słupy kurzu, światło przeszło na skroś przez jej sukienkę, była jak chmurka.

– Biedni kupują odzież i przedmioty zapewniające rozrywkę – powiedziała, gdy stanęli przed otwartymi drzwiami sklepu. – Zaspokajają marzenia, a więc nareszcie lepszy zegarek i aparat fotograficzny dla starszego dziecka, mechaniczne zabawki dla maluchów.

– A ty kupisz narzędzie pracy, by zarabiać więcej?

– Tak – odpowiedziała. Nie chciał z nią wejść, zatrzymał się przed drzwiami i ona na chwilę przystanęła, już otwierając usta, by zapytać, czy go zastanie w tym samym miejscu, lecz tylko odetchnęła nim jeszcze raz głęboko i przymykając oczy przekroczyła zaporę blasku niknąc.

Tym dwóm typom spodobały się jego buty, dojrzeli je od razu, lecz się kryli za niskim murkiem i pułkami na śmieci spierając się, któremu z nich przypadną, on widział ich ogolone głowy z prostokątami odrostów ponad uszami, czaszki w bliznach zaczynających się od bezwłosych brwi, usuwanych codziennie kremami razem z brodawkami, piegami i wszelkimi skazami, gdyż one dowodziły cielesności i pożądań, więc ciała mieli jak ze szkła. Będąc samą

tylko wolą i czystością, nieśli sprawiedliwość w Sodomie, należąc do starej rasy bezlitosnych, tak o sobie myśleli.

– To becyk – słyszał ich słowa, znaczyło to nie-obywatel, „bezcitizen”. Rozmawiali w polgermanie, mieszaninie dwu języków, słowach niemieckich z polskimi końcówkami, mogłeś mówić, jak chcesz, mowa rozwijała się równie szybko jak ten świat, nie mający wcale jakości, lecz ilość.

– To buty Sprzymierzonych.

– Nikt takich nie ma – rzekł drugi.

– Należą do Armii Świata, jak wytłumaczy, skąd je ma?

– A ten becyk się nie tłumaczy, myśli, że jest lepszy od nas.

– Trzeba go spoziomować.

– Może to dezer?

– Stamtąd nie można uciec.

– On jednak...

– Na pewno je ukradł, naszym obowiązkiem jest wymierzać sprawiedliwość.

– Tak! Będziesz nienawidził obcych!

– Mamrotów i niemcawych, mojżeszawców i katolników.

– Przysięgamy!

Uderzywszy się wzajemnie pięścią o pięść, wyszli zza śmietników przypominając dwa roboty z włókien szklanych. Odzież nałożona farbą w spraju przylegała do mięśni, pomalowali ją we wzory tak, że ich ciała utraciły formę. Jeden nakreślił sobie kwadratowe piersi i sękaty bicepsy, drugi był ciotowaty i miał ciało jak klajster, toteż zrobił na nim kontury czerwone, z czarnymi cieniami i dopiero w ten sposób to zaistniał, ale obydwaj mieli krótkie portki, kolarki, gładkie i śliskie, nie kryjące niczego, dodatkowo namalowali sobie dwa olbrzymie członki, fioletową farbą, zupełnie monstrialne i dźwigali je przed sobą, gdyż wszystko już było na pokaz i na sprzedaż.

– Ty, becyk! – rzeki ciotowaty.

– Komu ukradłeś te buty?

– Oddaj je, bo wezwiemy Securitasów.

– Wezwijcie – rzeki spokojnie Przybysz. Stał opierając się lekko plecami o ścianę, właściwie tylko barkiem, jego długie ramiona zwisały luźno wzdłuż bioder, były nadzwyczaj szczupłe, same mięśnie obciągnięte skórą. Gdyby na nie spojrzeli, powinni się zastanowić widząc system żył, a pod nimi wąskie zwoje rzemieni wielokrotnie zwiniętych, które się napięły przyrastając i stały się kamienne.

Ciotowaty, bardziej histeryczny i z kompleksami, które były w nim czarną dziurą wciąż pochłaniającą zło i jego samego, zaatakował pierwszy. Żaden nie wiedział, jak to się stało i nie zauważył nic oprócz tego, że kumpel ruszył prawie jednocześnie i obydwaj natknęli się na coś tuż przed szczupłą postacią, nie zdali sobie sprawy z tego, że są to jego ramiona, wydawały się tak długie i szybkie, zostały wyrzucone do przodu niewidocznym ruchem, ciemnym i ciężkim, więc odpadli czując ból, chyba musiał ich uderzyć, skoro stracili oddech i stali z rozdziawionymi ustami, usiłując złapać powietrze.

Obcy stał w tym samym miejscu, już nie był oparty o ścianę ani wyluzowany, przerastał ich o głowę, nawet więcej, o piętnaście cali, lecz nie patrzył ponad nimi, a jego oczy, zawsze błękitne i łagodne, o miękkiem spojrzeniu, iskrzyły się modro, intensywnie i przejrzysto, choć nie były złe ani nawet zagniewane, lecz koncentrowały siłę, jak drogie kamienie. Wydawało im się, że wydzielają ostry, biały blask, ale to przecież bzdura, jednakże to światło białe, jak przy spawaniu, było niby materia.

Ciotowaty, histeryczny, pobiegł na róg po Securitas, z powodu kompleksów czuł się zelżony, „żeby jakiś becyk na obywatela Miasta, w biały dzień, na środku ulicy, co za hańba, gdyby kumple z anarkii zobaczyli, przecież ktoś może donieść, ludzie mają oczy i nigdy nie wiesz, kto na ciebie patrzy, wydaje się tobie, że jesteś anonimowy w tłumie, o nie, wszyscy się znają i jedno wydarzenie ma tysiąc stron”.

Mundury szły rytmicznie, zawsze po trzech, paski pod brodą i hełmy, nie wiadomo, co się może wydarzyć, w końcu trwa wojna naokoło, w każdej chwili działania mogą się przybliżyć, nie wiadomo, kto jest kim.

Sękaty stał już z zamkniętymi ustami, był bardzo blady, wydawało mu się, że zamiast żołądka ma wielki róg, który wciąż rośnie, i to do środka, przebija go i on wewnątrz krwawi, spływa mu ciepła strużka, musi być kleista i słodka, gdyż czuje ten smak w zlepionych wargach.

– Jak długo będziesz w Mieście? – zapytał jeden z mundurów.

– Wieczność – odrzekł obcy.

– On z nas kpi.

– Powiedziałeś.

– Bezczelny! – wrzasnął histerycznie ciotowaty, ale i jemu zaczęło się robić niedobrze, dostał przecież w splot słoneczny. Zbladł i trzęsły mu się wargi.

– Zrobimy ci zdjęcie – rzekł pierwszy mundur.

Obcy stał tuż przed ścianą, jakby pod murem egzekucji, i patrzył ponad ich głowami, lekko wzgardliwy, jak im się wydawało, ramiona opuszczone luźno wzdłuż tułowia, ale ci dwaj, ciotowaty i sękacz już ich się nie bali, będąc pod opieką.

– Bierzemy go! – rzekł drugi wściekle, z nagle wzbudzoną agresją.

– Wynocha! – warknął trzeci. – Za mury. Żeby noga twoja nie powstała w Mieście. –

I niespodziewanie, nikt nie zdążyłby zareagować, wystrzelił ku obcemu, nie aby zabić, lecz sparaliżował mu ręce. Była to nowa broń, wyglądająca jak tradycyjna pałka, od pewnego czasu przydzielana straży, by nie drażnić obywateli, szczególnie bogatych, których dzieciaki rozbijały się w staroświeckich autach, wrzeszcząc i pijąc. Czasami straż musiała reagować, czyhała na to prasa, niedobrze było, gdy w gazetach pojawiał się syn ważnej osoby, zasłaniający twarz rękami o skutych nadgarstkach. Więc wymyślono ów klej paralizujący ruchy, nieszkodliwy, zupełnie przyjemny, tylko nie mogłeś się ruszyć i twoje ramiona były jak dwa sztandary na deszczu.

Ciotowaty zauważył, że te stalowe dźwignie są jak odłamane w barku i obcy nie ma siły ich dźwignąć, więc otarł usta, gdyż właśnie zwymiotował, nieomal na buty strażnika, i podskoczył głupio i niezręcznie, wręcz karykaturalnie. Trzasnął obcego w policzek. Nie trafił w szczękę i miał szczęście, gdyż wyłamałby sobie nadgarstek, lecz uderzył w strzelistą kość policzkową, pozostawiając na niej czerwony, okrągły ślad. Głowa tamtego tylko lekko się odchyliła pod straszliwym, jak się ciotowatemu wydawało, ciosem.

Pierwszy strażnik zrobił już zdjęcie, jego ręczny komputer kodował się sam, nie zauważył ataku, oczywiście, drugi właśnie patrzył, czy akurat ktoś nie nadchodzi, nie było nikogo w ruchliwym centrum, trzeci poprawiał pałkę, tę, którą unieruchomił obcego, nikt niczego nie widział, nic się przecież nie stało, to becyk.

– Zabieraj się! – rzekł pierwszy.

– Trzeba go zatrzymać. Jest niebezpieczny.

– Mamy piwnicę. Nigdy z niej nie wyjdiesz – dodał trzeci, którego agresja, nie wiedzieć czemu, dziko wzrosła.

Popchnęli go, właściwie uderzyli w plecy, by ruszał przed siebie, donikąd i na ztratę, nie

miął praw, nie trzeba było się z nim liczyć. On był nikim, nawet nie miał imienia, więc nikt się o niego nie upomni, można wiele. Przypomniał sobie ostatnią przygodę nazywaną przywracaniem porządku: wpadli na festiwal młodzieży, wolno im było ich rozgonić i spałować, skopać każdego, kto się nawinął pod but, to jest fajne, wtedy się żyje, rzuca się o glebę dziennikarzy, kamery w piach, no to co, że przedostały się jakieś zdjęcia, ludzie to śmieci, myślą tylko o tym, by przeżyć. Więc jeżeli można pobić tych, którzy śpiewają na festiwalu i są niewinni, ale przedtem się ich sprzedało, świat jest już zupełnie sprostytuowany i kurestwo stało się normą.

Obcy upadł na kolana, jego głowa się pochyliła, gdy żelazo waliło go w plecy, „wybaczam wam”, chyba tak powiedział, a może „wybaczcie” i to było skierowane do chłopaków. Nimi też nikt się nie zajął, to przecież tacy, wiecie, z namalowanymi penisami, nie uznają żadnych norm, nie wiadomo przeciwko czemu się buntują, więc skoro świat im się nie podoba, a wszystko chcą rozbić, to niczego w zamian nie muszą dostawać. Głowa obcego pochyliła się jeszcze bardziej.

– Przestań! – krzyknęła kobieta wbiegając pomiędzy strażników. Byli już dzicy i nieomal oszaleli od tego bicia, człowiek ulega wtedy pewnemu stanowi i nie może nad sobą panować.
– Spróbuj mnie tylko tknąć! – stała naprzeciwko trzeciego, patrząc mu w oczy, był właściwie chłopakiem.

Prostota jej sukienki go zahamowała. Na przedmieściu, gdzie mieszkał, dziewczyny nosiły pióra i szmaty z lady Armii Zbawienia, przemknęła mu myśl, że widział takie jak ta sukienki na manekinach, nieskazitelne, skrojone co do milimetra, każda z nich musiała kosztować miesięczne pobory całej jego rodziny. I jeszcze coś go wstrzymało. Prostokąt białego plastyku, który ta kobieta trzymała po prostu w ręce niby kartkę papieru. Nie miała żadnej torebki, inaczej niż jego matka, nosząca ze sobą cały swój majątek, kosmetyki, drugie śniadanie i zapasowe majtki. A ta, tutaj, nie potrzebowała niczego, wszędzie mogła sobie poradzić, wszystko kupić i otrzymać każdą usługę. Cyfry! Tak, na tym kawałku plastyku był długi ich rząd. O, na to ich uczulali na wszystkich szkoleniach, więc się zatrzymał, jego pałka, przełączona już na razy mechaniczne, zawisła w powietrzu, a potem opuścił powoli ramię. Ta kobieta nie krzyczała, wypowiedziawszy dwa zdania stała spokojna i nawet nie zagniewana. Wymuszała posłuch, wiedziała doskonale, że nikt się jej nie sprzeciwi. Na jego przedmieściu baby ciągle wrzeszczały, a wszyscy nieustannie musieli okazywać sobie wrogość zaciśniętymi pięściami i wściekłym wzrokiem. Rozejrzał się, dwaj jego koledzy również się opanowali. Pierwszy nawet się pochylił, by unieść obcego, a wtedy ona wykonała dwa lekkie gesty: wyprostowała prawą dłoń tak, jak się dziękuje kierowcy, gdy się przed tobą zatrzyma na przejściu dla pieszych, jednocześnie nieco uniosła kąciki ust, niby w uśmiechu, „o, zbytek łaski”, to właśnie miał wyrażać. Więc stali we trójkę nieruchomo, schwytani na słabości.

Obcy się podniósł opierając pięścią o kolano, i spojrzał na nich z góry. To był straszny wzrok, niebieskie oczy były teraz prawie czarne, odnieśli wrażenie, że się w nich gubią. Ciotowaty zgiął się i znowu zaczął wymiotować, sękacz stał blady. Poczuli się nagle głupio w swych obcisłych strojach, były przecież napryskaną warstwą farby, termiczną, owszem, i przeciwkurzową, ale składały się głównie z koloru. Ich namalowane penisy nagle zaczęły im ciążyć, stały się niby belki zwisające pomiędzy nogami, lecz oni zostali do nich przykuci i będą musieli je nosić, jak nowożytni niewolnicy, zawsze i dokądkolwiek pójdą, a one wskazują, że zostali wystawieni na sprzedaż i decydują o ich wartości.

Obcy, wydawało się, pozostał nietknięty, jakby zdążył się od razu zregenerować. Jego płócienna koszula była na w pół przezroczysta, musiała zostać utkana na Wschodzie, kobieta

teraz to zauważyła i mundurowi również o tym pomyśleli, skąd więc on przybył i kim w istocie jest? Materiał przykleił się od razów pałki, skóra pewnie została poprzecinana, lecz rany już przyschły, płyn komórkowy wyparował, naskórek się zasklepił.

– Chodźmy do ambulatorium – zaproponowała kobieta, bo tylko w taki sposób umiała zdyskontować swoje zdziwienie.

Potrząsnął lekko głową, stojąc wyprostowany, wyglądał zupełnie świeżo w promieniach słońca. Odwrócił się gwałtownie i szybko podszedł do sękatego, który stał blady, czując, że w mózgu nadal wybucha mu bomba, a piersi eksplodują białym ogniem. Czuł zwierzęcy strach, tego nie da się wyrazić, widział śmierć w nim samym ucieleśnioną, nie istniał.

Obcy podniósł lewe ramię w górę, odwracając dłoń wewnętrzną powierzchnią, jakby podstawiając pod niebo, które w nią wpadnie, a prawą położył chłopakowi na głowie. Stał chwilę nieruchomo, bardzo skupiony, wszyscy to czuli. Coś się działo, nikt nie umiał tego określić. Potem się odwrócił i nie zwracając uwagi na nikogo, poszedł przed siebie.

Był to plac. Rzędy ławek, połamanych, bo toczyła się tu bitwa i wrywano z nich żerdzie, rozbite o kolano czy grzbiet i porzucone, wałały się wśród puszek i tekturowych opakowań, pustych butelek i afiszy przedartych w pół – przez twarz i słowo „koncert”. Ponad estradą plastikowy dach w czerwone i żółte pasy, podarty, oczywiście, a deski sceny, teraz zupełnie puste, tworzyły gładką i rozległą przestrzeń, przerażającą przez to właściwie, że nie znajdowało się na niej nic. Z pewnością ją uprzątnięto, może nawet ktoś umył, stojąc na krawędzi, gdyż nie miał odwagi przekroczyć brzegu – trzymając wąż gumowy obiema rękami, polewał czerwone kałuże i wpatrywał się nieco bezmyślnie w gęstą krew, nie było jej dużo, ale za to w kilku miejscach, i płyn leżał, jakby nie chciał wsiąknąć i połączyć się z czymkolwiek. Potem już nikt nie wszedł na scenę.

Na placu stały setki samochodów ze wszystkich epok, stadion powoli zamieniał się w cmentarzysko wraków. Przyjeżdżali samochodami z miasta, czasami ukradzionymi, lecz częściej płacili pieniędzmi rodziców, mieli i zarobione, im zresztą chętnie udzielano kredytu, a epoka aut już się skończyła. Porzucali je tutaj, gdy zabrakło paliwa lub jakaś część odmówiła pracy. Siedzieli w samochodach parami i w grupach, rozmawiając z tymi z drugiego końca placu przez wideofon, zazwyczaj na ekranie pojawiała się twarz kogoś spoza Miasta. Nigdy nie wiesz, czy jest to realna osoba, czy tylko postać z gry komputerowej. „Istniejesz rzeczywiście?” Jeszcze zadawano takie pytania, choć nikt nie oczekiwał prawdziwej odpowiedzi. To właśnie było ekscytujące, świat stał się niematerialny, nic nie było ważne.

Hałas rozmów, zgiełk muzyki, pokruszone kawałki słów we wszystkich językach globu i obrazy, dymiące poświatą znad ekranów w samochodach, wycinały tę przestrzeń, słońce zamykało ją od góry jak klosz i to było jedyne, co mogło ich chronić.

Dziewczyna siedziała na burcie samochodu, odwrócona do niego profilem, gdy wszedł na plac. Jej spiczasta czapka z gazety i szmaty, w które się zawinęła, przypominały coś staroświeckiego, dawnego jak antyk, lecz ze Wschodu. Była dziewczicą i nosiła tylko czerwone kolory. Kiedy się pojawił po przeciwnej stronie, siedziała nieruchomo, ale teraz inaczej, zamarła nasłuchując, jak niewidoma, która nie wykona żadnego ruchu głową, lecz ty wiesz, że cię dostrzega. Trwało to chwilę, potem zaczęła się zsuwać z burty samochodu, niezmiernie powoli wyprostowała lewą nogę i dotknęła nią ziemi, a potem, tak samo niespiesznie, dostawiła prawą. Każdy ruch miał w sobie precyzyjną dokładność, czekała tak długo, tysiąc, czy trzy tysiące lat, obszar tego czasu powiększony o szesnaście lat jej życia nie miał znaczenia. Jeszcze nie odwracała głowy, wręcz przeciwnie – pochyliła ją, jakby nie chciała na niego patrzeć, nie dlatego, że mogłaby się rozczarować, jeżeli się kogoś kocha tysiąc lat lub

trzy, wygląd nie ma znaczenia, lecz obecność, spełnienie i ulga.

Odwróciła się gwałtownie, lecz wtedy słońce odbite od lusterka samochodu wpadło jej do oczu i na chwilę oślepiło źrenice, nie widziała niczego, tylko blask i czarno-tęczowe koła latające z wielką prędkością w jej mózgu, w którym nigdy nie było miejsca na nic innego jak na miłosne czekanie. Szła dotykając lekko dłońią samochodów, nieomal się unosiła, wszystko było teraz jeszcze mniej ważne niż zawsze. Nie widziała go zupełnie, nawet zarysu sylwetki zbliżającej się pod słońce, które szalało na jej źrenicach. On kroczył po przeciwnej stronie placu, klucząc pomiędzy samochodami, lecz nie gubił jej nigdy z oczu.

Stanęli naprzeciwko siebie, nic nie mówili. – To Mada, moja siostra – powiedział chłopak, który wyszedł z samochodu. – Niech pan nie zwraca na nią uwagi, ona jest trochę... To miła dziewczyna, nie robi panu krzywdy. Ma na imię Magdalena, ale w dzieciństwie mówiła na siebie Mada i tak zostało.

Dziewczyna zdjęła z głowy papierową czapkę i trzymając ją oburącz równo i delikatnie, tak jakby to była cesarska korona z brylantów, uniosła do góry, kiedy całkiem wyprostowała ramiona, zatrzymała się na chwilę, a potem takim samym gestem opuściła ją na głowę mężczyzny, dokładnie na jego skronie. Kiedy papierowa korona zatrzymała się na nich, jej ramiona opadły, a potem gwałtownym i szalonym ruchem pochwyciła go za ręce i od razu położyła je sobie na piersi, zamykając oczy. – Ona nie robi panu krzywdy – szepnął brat, widząc jak szli objęci w stronę wielkiego samochodu należącego kiedyś do naftowego milionera. Ona weszła pierwsza, on za nią, pochylając głowę, i usiadł na kanapie wybitej białą skórą, a dziewczyna na jego kolanach, obejmując je udami, pochyliła się, szybko włożyła mu język w usta z westchnieniem i rozpięła pasek u spodni, nie myśląc nawet, że w tamtym życiu nie nosiło się pasków. Kochała się z nim z wprawą wyrobioną u zażyłej pary, która dokładnie zna swój rytm, i nie mogła wcale przestać, tylko w przerwach przybliżała twarz do jego twarzy i oglądała go dokładnie, rozchylając usta z zachwytem. Śliniła wskazujący palec i przesuwała mu po wargach, jak to czyniła zawsze w tamtym życiu. Ten gest musiał jej coś przypomnieć, gdyż w czarnej przestrzeni jej umysłu nagle rozbił się biały fajerwerk i zobaczyła postacie, prześwietlone jak na kliszy. Widziała je, a jednocześnie zaglądała w jego oczy, które były przejrzyste, wyraźnie dostrzegała dno i stamtąd odczytywała ich historię. Bolało. Otwierała coraz szerzej oczy w przerażeniu, które rosło, gdyż w umyśle pojawiły się tłumy i usłyszała krzyki, stukot młotków i jęki.

Nie mogła tego przeżyć drugi raz, więc jej położył dłonie na oczach i przytrzymał zamknięte, mimo że powieki trzepotały. Umysł się uspokajał, krzyczący ludzie ucichli, ból odpłynął. Ciemność jej umysłu blakła, puste formy napełniały się dzwonieniem i od środka zaczęły się wydrążyć kanały na zewnątrz do świata, wtedy obrazy i doznania buchnęły ze wszystkich stron i znalazła się w rzeczywistości, nie pamiętając niczego z poprzedniego życia, nie wiedząc, kim była i kogo kochała. Nie знаła również siebie i w tym życiu.

– Co zrobiłeś mojej siostrze?

– Ona śpi.

– Czy się zbudzi?

– Już nie taka jak była. Znajdź dla niej imię.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, stojąc przy samochodzie króla nafty, rozległe siedzenia obite białą skórą wszystkim służyły do tego samego celu.

– Nie jestem pewien, czy zrobiłeś jej przysługę. Ona bardzo cię kochała.

– Strzeżcie się ognia – powiedział obcy.

Dobiegły ich właśnie krzyki, więc chłopiec się odwrócił i po chwili wahania – chciał jeszcze czegoś się dowiedzieć – pośpieszył gasić razem z innymi, bo plac był gęsto

zastawiony samochodami. Obcy odchodząc oglądał niewidoczne już ślady, ale je rozumiał. Wiedział również, że ci wszyscy nie umieli wyartykułować przyczyn, nie potrafili odpowiedzieć, dlaczego uparcie zbierają się tutaj, na placu, gdzie już się nie odbywają festiwale wolnej muzyki, a ci, którzy grają, są nasi, i robią to dla nas, z miłości, i czują tak, jak my, więc żywimy poczucie więzi i wspólnoty, jesteśmy bezpieczni i mamy znaczenie. A kiedy festiwal zostaje bez naszej wiedzy sprzedany, nasi piosenkarze są oszukani i my, mimo że to się dzieje rzekomo dla nas, jesteśmy bici jak zwierzęta w imię czegoś innego, jakichś pieniędzy, by ktoś nie poniósł strat, bo nas kupił, a my mamy tylko rozciągać wargi i się śmiać, raczej nie za głośno, i trzeba klaskać, ale w odpowiednich momentach, bo i to kosztuje; wtedy czujemy, że jest to okropne świństwo i świat już dłużej nie może taki być. Obcy się nie oglądał.

Kobieta wbiegła do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi, nie zamknęły się, pchnęła je ponownie, już idąc przez przedpokój i wyciągając rękę za siebie. Nie odwracając się stanęła, wąpiąco krzywiąc usta, „nikt nie wejdzie, na pewno”. Patrzyła na ciemny przedpokój, pragnąc, by mrok stał się kwasem, który rozpuści jej ciało, by przestała istnieć całkowicie, wraz z bólem, którego doświadcza. „Niech mnie zgwałcą albo zabiją”, zanurzyła się powoli w ciemność, ale nie zaczęła znikać i musiała wejść do jasnego pokoju, gdzie wszystko było wyraźniejsze mimo zaciągniętych zasłon. Starła się nie patrzeć na materac na podłodze i na rozrzuconą na nim pościel, ukazującą ostatni ich ruch, rankiem najpierw ona wstała słysząc dzwonek, on jeszcze spał, otulała go kołdra, teraz leży zsunięta.

„Praca, tak, trzeba pracować”, to zawsze było skutecznym lekiem na wszystko, popatrzyła na swą bibliotekę twardych dysków i leżący na nich zamek, pochyliła się, butelka stała jeszcze na podłodze. „Praca, to bez sensu”, usiadła, odkręciła powoli nakrętkę, „po co pracować tak szaleńczo, dla pieniędzy, oczywiście, a one mi do czego, na piękne sukienki, perfumy, samochód, może wakacje, ale dokąd pojechać i po co, świat wszędzie jest tak samo smutny, status społeczny, taak, nic nie jest ważne, niczego się nie chce”. Wypiła trochę, ale alkohol był cierpki, czuła go w ustach niby czerwone metalowe iskry, przełknęła i wtedy nie namyślając się już, podbiegła do wideofonu.

Kiedy zwalista sylwetka reżysera wypełniła ekran, przestraszyła się, był silny, na pewno zboczony, ale to dobrze, wypełni ją brud i cierpienie i tamto zostanie zabite. Stała tak, by widział pościel na łóżku, powtarzając sylwetkę nieobecnego, jakby już nawet jego wzrok mógł to skazać.

Dwaj w kolorowych ponchach stali przed wysokim gmachem ze sztucznego marmuru, sylabizując słowa ze skromnej tablicy, umieszczonej nieco z boku za szklanym gankiem z lśniących szyb: „Instytut Matki i Dziecka”.

– To nie może być tutaj – rzekł niższy, o ciemniejszej skórze, stojąc z głową spuszczoną, nieco bokiem do budynku, jego palce trzymały kurczowo tkaninę na piersi. – To instytut naukowy, a nie sklep, gdzie kupią wszystko nie pytając, jak mówił pośrednik.

Drugi, wyższy, ze złotym zębem, oparł ręce po obu stronach tablicy.

18

– On, kurwa, mówił, że tu możemy sprzedać spermę.

– Co by na to powiedzieli we wsi?

– Masz, kurwa, inny pomysł? Zabrał nam papiery z banku, sprzeda je innym naiwniakom. Żreć mi się chce, kurwa, i czegoś bym się napił. Daj bukłak.

– Nie mam.

Wysoki obrócił się gwałtownie wciąż przyciskając tablicę.

– Bo ci przyjebię.

– Jeżeli mamy tam wejść, musimy być trzeźwi.

Przystojny obrócił się twarzą do budynku tak samo szybko jak przedtem. – Może znajdziemy jakieś kobiety?

– Co by na to powiedzieli we wsi?

– To co mamy, kurwa, zrobić?

– Pamiętasz, co obiecałeś narzeczonej?

– Wara mi! – warknął przystojny, pochylając się gwałtownie. Uderzył łbem w tablicę, robiąc to może umyślnie, bo chciał rozwalić ten gmach. Jego ciemne, zwierzęce wargi skurczyły się, obnażając złoty ząb, zbyt słaby, by ugryźć mur, rozkruszyć skamieniałe ciało świata i jego serce zamienione w żelazo.

Kiedy mężczyzna stanął w lśniących od szkła drzwiach, przystojniak nie podniósł głowy, lecz usłyszał milczenie, jego kumpel nic nie mówił i zrobiło się cicho i przestrzennie, ten ze złotym zębem, zastanowiwszy się zamarł z czołem opartym o tablicę, a potem powoli się odwrócił. Obcy stał patrząc przed siebie, jego ręce spoczywały niedbale w kieszeniach płóciennych spodni, miał w sobie luz, powodu którego nie umieli odgadnąć i nie potrafili zachowania nazwać elegancją. Poczuli jednak, że on tu wcale nie powinien być, a jeżeli się znalazł, to nie z nędzy i wcale się nie sprzedał. Miał na ramieniu różowy plaster, jakim się zasklepia rany, i to zupełnie świeży.

– A to co? – wykrzyknął brzydszy, zupełnie zaskoczony, bo nie spodziewał się, że będą ich kaleczyć.

Drzwi za nieznanym zamykały się lśnić i wtedy ten mniejszy i brzydszy skoczył i wstawił nogę w szparę, co było dowodem wielkiej odwagi, lepiej nie pytać, z którego miejsca na ciele zostanie wycięty kawałek, nawet wolał ból niż seksowne laborantki, które będą mu to robiły, gdy on zasłoni twarz swoim brudnym poncho, bo przecież co by powiedzieli we wsi, nasienie mężczyzny tryskające do szklanej fiolki, zimnymi palcami uniesionej pod światło, by sprawdzić lepkość i konsystencję, gdyż zaraz je trzeba wstawić do maszyny, aby zmierzyć ruchliwość, bo jeśli plemniki nie przejdą określonego odcinka w górę w danym tempie, to cały proces pobierania powtórzy się i nie wiadomo, czy za zapłatą, nikt nie da mu grosza za kiepski towar, skoro tylu jest chętnych. Wprawna ręka pielęgniarki będzie wykonywać ruchy szybkie i zdecydowane w górę i w dół, a on będzie czuł, że między nogami przyssało mu się zwierzątko, jakaś kuna albo coś wodnego, pokrytego śluzem, nie odróżni, czy to jego własny pot i może krew, czy wilgotna ręka, która wcale nie jest ciepłą dłonią kobiety, lecz imadłem, a on czuje, że puchnie i nie może napęcznieć, lecz musi, bo ta maszyna się nie zmęczy, więc musi się jej oddać, bo już mu się wbiła w trzewia jak wirująca śruba, trzeba usta zatkać poncho, by nie wrzeszczeć z bólu. To jest gwałt, ból i hańba. Potem już się nie jest mężczyzną.

Obcy odchodził w słońcu, jego wysoka sylwetka stała się czarna pod światło, oddalał się powoli i jakby nonszalancko, jakby ten świat należał do niego i on był tu zawsze, gdyż w jakiś sposób go stworzył, teraz pozostawił w instytucie kawałek swego ciała, pewną liczbę komórek, a on dokładnie w każdej się zawiera, absolutnie taki sam. Teraz czekają zamrożone w kolbie, ale przyjdzie taki dzień, kiedy jedna z nich zostanie wyjęta, mały nie znał słowa klonowanie, jakaś ziemską kobietą urodzi to dziecko, nie wiadomo gdzie, ale w ten sposób on powróci do Miasta. A co wtedy i wkrótce się stanie? Rzecz straszna i nieodwołalna. Tak będzie zawsze, gdyż Miasto jest wszędzie i dlatego też on, mały i brudny emigrant, może czuć się bezpieczny, gdyż jest wpisany w wielkie koło losu, nic nie jest głupim przypadkiem, nic nie jest ironicznym czynem szaleńca, istnieje sens i opieka.

Wyciągnął gwałtownie nogę ze szpary w drzwiach, a one zamykały się za nim powoli,

sunąc jak złoty szerszeń, tamten drugi stal jeszcze z ręką opartą o tablicę, obrócony patrząc na sylwetkę oddalającą się w słońcu.

Jakiś czas szli za nim nic nie mówiąc, już wiedzieli, że znajdą pracę i będą musieli ciężko harować, gdyż właśnie na to zasłużyli i dokładnie tyle muszą dostać – ani mniej, ani więcej, a kiedy skończy się czas pokuty i próby, już zawsze będą ludźmi.

Kobieta leżała owinięta w prześcieradło jak nieżywa, bo taka w istocie była, mimo że jej organizm funkcjonował. Nie mogła przeżyć krzywdy. Wiedział, po co przyszedł. „Nie potrzeba mi kurew”, powiedział ledwo przekroczywszy próg. Zatrzymał się na środku pokoju, olbrzymi i gorący, wypełniał całą przestrzeń, wręcz ją rozpychał swym potężnym ciałem, czarna kurtka wzdymała się, a z kieszeni na piersi wystawała antenka wideofonu, będącego jego duszą, teraz schowaną, ale ją zaraz wyjmie, tak, właśnie to zrobił i położył na komputerze obok zamka z drzwi, symbolizującego jej umarłe serce. Był tak duży, że się przestraszyła czekającego ją bólu, była bezbronna i zupełnie mu wydana na pastwę. Bezbronna przez to, że sama dała mu przyzwolenie, obydwójce wiedzieli, czego się spodziewać, nie była teraz wcale człowiekiem, nie miała żadnych praw, i z tego również zdawali sobie sprawę, i jeżeli nawet rozedrze jej pochwę, po prostu będzie musiała wezwać ambulans, oczywiście gdy on już odejdzie, i ona nie poda niczyjego nazwiska, powie po prostu, że poszła do łóżka z pierwszym spotkanym na ulicy.

„Chciałem cię zabrać do restauracji, wydałaś mi się subtelna i wrażliwa, pamiętam, jak podnosiłaś ramiona do góry, by upiąć włosy podczas naszej pierwszej rozmowy, twoja nagość była bezbronna. Oto kobieta, myślałem, która nie potrafi skrzywdzić mężczyzny, nie umie go wyzyskać i porzucić, nie traktuje jak instrument do wykonywania pewnych ruchów dających przyjemność albo jak automat produkujący pieniądze, albo schody do pozycji społecznej. Czuję, że potrafisz ocenić mój humanizm, dostrzeżesz, ile jest we mnie człowieka i zadbasz o jakość. Oto kobieta, rozumiejąca tę wspaniałą przygodę, która może się zdarzyć pomiędzy nią, a mężczyzną, chciałem, aby wszystko rozwijało się powoli i pięknie, jeżeli rozumiesz, co to znaczy kwiat i ta metafora nie jest dla ciebie wyświechtanym środkiem stylistycznym, wiedz, że tak właśnie czuję”.

Potem rozbierał ją powoli i bardzo pięknie traktując tak, jakby była naczyniem z kryształu, białą narzeczoną, której się unosi welon po raz pierwszy, zachowywał się tak, chcąc, by cierpiała, wiedział, że się męczy, i był subtelny, każdym gestem mówiąc, „patrz, co straciłaś”. Wiedziała, że wszystko było w zasięgu ręki, miałyby mężczyznę i coś wielkiego, już nie musiałyby tak biec do przodu, oddychając szybko wrzącym powietrzem i czując usta otulające jej wargi, zrozumiała ciepło, w którym już mogłaby odpocząć. „Wybacz – powiedział odchodząc – przepraszam, nie mogę”, co znaczyło, że już nie przyjdzie. Została tak strasznie zhańbiona, nie chodzi o ciało, oczywiście, gdyż ono, będąc materią, nie rozumie i nie wie, i nie może być skrzywdzone. Chciała przecież czegoś innego, zamierzała je unurzać. Zaprosiła tego mężczyznę, by odczuć jego mokry brzuch, który jej się nie podobał, pot i żyły na ramionach, i chciała usłyszeć jęki i wzdychania, zobaczyć otwarte usta i podchodzące w górę pod powieki gałki oczne, gdy szukają wytchnienia w rozkoszy. Miała mówić wtedy sobie, że jest odrażający, obłana jego spermą, potem i śliną, chciała czuć się brudna. Wzięłaby później prysznic i wszystko by się zmyło, już by tak nie bolało wspomnienie tamtego mężczyzny i tego światła, które jej zostawił. Boli. Nie może tego znieść. Nie ma takiego brudu na ziemi, w którym mogłaby się wykąpać i zmyć z siebie cierpienie, by powiedzieć, że jest niczym, bo życie potraktowało ją okrutnie, świat miądzdy takich jak ona, więc chciała zachowywać się uczciwie i pięknie, ale życie ją skurwiło. Mogłaby wtedy mówić lepszym od siebie: „wiesz, noszę w sobie wielkie skarby ducha i

charakteru, ale one nie mogły się rozwinąć, bo życie takie podle”. Miałyby odtąd usprawiedliwienie dla swego upadku, który jest wygodny i bezpieczny. Lecz ona tego nie ma i musi się podnieść, czując śluz spływający w dół po udach, nawet ich nie zaciska. Gdyby mogła zasnąć, ale umysł podaje obrazy, więc słyszy głos mężczyzny, który ją zostawił na środku Miasta; czuje ręce obejmujące biodra, pamięta kępki drobnych kędziorków, jakby murzyńskich, rosnące rzadko po wewnętrznej stronie ud. Nie ma dla niej ukojenia, chyba, żeby tamten mężczyzna... jak on ma na imię? Musi więc czuwać i cierpieć i gdy się już zbierze w sobie, bo jej uda przestaną drżeć, ustanie ból piersi i skóra się wyprostuje, znikną dołki po ukąszeniach, przyłoży sobie lodu na siniaki, będzie potem musiała wstać. I biec. Dalej, no rusz się, biegnij, nie ustawaj, do przodu, pędź oddychając wrzącym powietrzem, który płonie ci w kiszkiach, biegnij tak, dopóki nie skonasz. Nie ma innego życia. Dla ciebie nie ma.

Zadzwoił wideofon, ale w ogóle się nie poruszyła, będąc martwą, mimo że zdawała sobie sprawę z ważności wezwania, jako że nie czekała po tamtej stronie żadna przyjaciółka, bo takich nie miała z braku czasu i ochoty na pogaduchy i wymianę przepisów na keks, musiał to być ważny ktoś lub sprawa, właściwie rzecz jedna, której wciąż potrzebowała więcej, czyli praca. Wiedziała, że dzwonek nie przestanie świdrować jej mózgu i będzie w nim drażył dziurę tak długo, aż się zwlecze, bo po tamtej stronie nikt wcale nie czeka ze słuchawką przy uchu bębniąc palcami drugiej ręki o blat biurka, lecz po prostu maszyna została zaprogramowana na nawiązanie kontaktu i gluony, klejące się cząstki informacji lecące przez system, są niczym innych jak drobinami inteligencji, więc połączone od razu z jej domowym wideofonem zdają sobie sprawę z obecności człowieka, może nawet widzą kobietę na tapczanie i jej obraz już poleciał do świetlistego i niematerialnego mózgu, co więcej, nie mają wątpliwości, że musi podejść i zacząć rozmowę, wobec czego osoba po tamtej stronie spokojnie wykonuje swoją pracę, wcale się nie trudząc czekaniem na połączenie. Leżąca kobieta nie żywiła złudzeń i nie miała nadziei, znając dobrze system będący narzędziem mającym wszystkie peryferia, oprócz jednego: uczuć, mimo to toczyła ten pojedynek, już od początku przegrana. W jej mózgu była czarna dziura, w której ścięło się światło i czas skrzepł.

Skomląc uniosła się wreszcie na kolana i łokcie i czołgała się trzymając dłonie z przodu, niby pies sunący na brzuchu do stóp pana. Bolało ją każde włókno ciała i różowy szpik w kościach, pełznąca pochwyliła zębami sukienkę i wśliznęła się w nią, czując, że nie może pokazać swojej śliskiej i zmaltretowanej nagości.

Złote powieki sekretarki stały nieruchomo, a wzrok wcale nie raczył dostrzec kobiety, i mimo że to odpowiadało tej, która wciąż stała na czterech; ta piękna i wymalowana poczuła się urażona, ale nie z powodu rozkudłanych włosów tamtej, lecz stanowiska. „O, w istocie, ta kobieta na swoje zasłużyła”, pomyślała, a twarz sekretarki pozostała bez wyrazu, tak samo piekielnie inteligentna i fachowa jak w rozmowie ze sponsorem czy gwiazdą telewizji.

– Chcemy ci podać niektóre parametry twojej pracy.

Kobieta milczała w odpowiedzi, ale nie było w tym pogardy, tylko oczekiwanie, więc odniosła w ten sposób zwycięstwo nad złotooką, lecz w burych źrenicach tamtej, poznaczonych złotymi iskrami nawet nie zapaliły się złe błyski, wynik pojedynku był więc wyrównany, jeden, jeden.

– Możesz nawet zobaczyć film z kandydatem na ofiarę.

– Nie, filmu nie chcę – rzekła szybko, nie wiedząc, z jakiego powodu, przecież to bardzo ułatwiłoby zadanie, ujawnił się tu jej emocjonalizm, umilkła zamyślając się, już wyłączona, w ten sposób została pokonana, jak zawsze, zresztą. Bo nigdy nie mogła wygrać. – Na czyje

zlecenie...? – urwała.

– Na szefa, oczywiście – odpowiedziała zimna złotooka, nawet się nie zachnąwszy.

– Kiedy? – gorące powietrze, którym oddychała, nagle zamieniło się we wrzący metal, zalewający strugą gardło.

– Przed chwilą.

„A więc wrócił, już wykąpany, do pracy, w nowych, podartych dżinsach i od razu wykonał ten gest litości i poniżenia, wyciągając pomocną rękę tonącej, gdyż widział, że umiera i w istocie wątpił w jej ocalenie. Nie kosztowało go to nic, a ileż sprawiło przyjemności, bo znaczyło przecież, że pamięta, co się między nimi zdarzyło, i lituje się nad nią tak bardzo, że aż wlecze do roboty wspomnienie i jej obraz, zwiniętej na prześcieradle, a w pracy pierwszy rozkaz, wydany złotookiej w lśniącym kostiumie z nowego tworzywa oznaczał: „dobiję tę jednodniową kochankę, bo mi jeszcze mało. Tak, pamiętam, tak, wiem, pastwiłem się długo i z radością, której nie umiałem ani nazwać słowami, ani nawet sobie uświadomić, rozgrywka z nią jeszcze się nie skończyła, będzie się toczyć, póki któreś nie padnie, więc mogę podać rękę, stać mnie na ten luksus, bo przecież nie wyjdzie z topieli, woda wlewa się do jej ust i pali jak spirytus, a ja lepiej się przez chwilę czuję. Nic nie jesteś warta, choć masz szansę, jasne, wielką szansę swego życia, ale jej nie wykorzystasz, chociaż ci ją dałem, bo to ja jestem kimś, dawcą, ba, Bogiem i oprawcą z pejczem, a więc się połóż na plecach pokornie i niech twój brzuch będzie biały”.

Wiedzieli o tym wszyscy, a złotooka tak samo dobrze, jak tych dwoje, jej obowiązkiem było gnać z nosem wężącym po śladach jego stóp, wszak i ona miała swoje ciernie.

Ale to kobieta w sukience w naiwne kwiatki, teraz i tego pozbawiona, wszystko musiała przyjąć. Patrząc w swoim domu w wideofon, pokazujący złotooką sekretarkę, wiedziała, że reżyser tak właśnie to wszystko odczuwał i takimi kierował się motywami. Musiała jednak zapomnieć o upokorzeniu i pracować. Jej myśl płynęła bardzo szybko, ujmując w olbrzymich obrazach temat scenariusza, który będzie pisała. Zastanawiała się, kto może być jego bohaterem, kogóż to znalazła telewizja w tym wielkim, ludzkim śmietniku wszelkich ras i gatunków: „Nie, teraz nie chce oglądać filmu, podpowiadającego sposób, w jaki może pokazać śmierć ochotnika. Kim on będzie? Może niewolnikiem pracującym na jakimś satelicie, mieszańcem, kundlem o szarej, trupiej skórze, może więźniem, wielokrotnym mordercą dzieci, gwałcicielem chłopców, skazanym na karę śmierci, całkowicie zasłużoną, która i tak byłaby wykonana, więc dlaczego publika nie miałaby się przy tym nie zabawić, w końcu, świat potrzebuje rozrywki, czasy są trudne, a takie nowoczesne igrzyska kanalizują złe odczucia; ale nie należy go oglądać, to przecież człowiek, no, może niezupełnie, ale żywa istota, krew i światło”.

Palec sekretarki pokryty złotą emalią trącił ekran komputera, jakby niechcący, a kobieta po drugiej stronie wideofonu, klęcząc na podłodze zaczęła z nawyku posłuszeństwa maszynom, odczytywać parametry tej istoty będącej ofiarą i opadała coraz niżej na pięty, w jej głowie świstała pustka.

– Dosyć, wiem już wszystko! – miała siłę wydać rozkaz i to było jej jedyne zwycięstwo, choć sobie uświadamiała, ale nie powiedziała słowami, co się wydarzyło, może nie wierzyła lub nie mogła inaczej. Wideofon zgasł od razu, w tych czasach nikt już się nie bawił w konwencje i uprzejme pytanie o zdrowie lub w jakieś „dzień dobry, do widzenia”.

Świst w głowie się obniżył, zamieniając w buczenie elektronicznego owada, neuronostalowego trzmiela uparcie pracującego, by obtoczyć swoją kulkę gnoju, która zatrzymała jej umysł. Potrząsała głową, chcąc go wysypać przez bolesne wewnętrzne ucho, mówiła sobie, że jest szalona i na pewno tym razem zwariowała, ale Bóg nie jest taki litościwy, nie straciła

nawet przytomności, myśl, podejrzenie, ten skarabeusz-gnojnik zgniatał szare komórki lepiącymi się odnóżami. Nie miała nawet czasu, by sobie posiedzieć, trzeba było pracować, zostało tylko półtora dnia, trochę szarej jasności i twarda noc na drewnianym dnie, jak na pryczy. Oddychała ciężko wrzącym powietrzem, w płucach pękały banieczki. Musiała się podnieść i wciąż potrząsając głową przeszła do łazienki, tam zdjęwszy sukienkę powiesiła ją starannie, była to droga rzecz, po czym z głową wciąż pochyloną stanęła pod prysznicem, a urządzenie włączyło się samo.

Jonasz zmierzał do klubu „Ciało”, by trenować. Był zmęczony. Odświeży się trochę w biologicznym promieniowaniu ultrajonowym, które zdejmuje senność i znużenie, i wypełnia komórki witalnością. Jediną ujemną stroną, a może niezupełnie, było wzmożone pożądanie, klub i to zaspokajał, wszak długonogie dziewczyny siedzące na wysokich stołkach należały do terapii, co przecież było oczywiste, program sprawnościowy musiał zostać wypełniony do końca, i panienki wliczano w rachunek, no, może niezupełnie. On miał inne gusta, ale i dla perwersów klub miał coś w statucie, więc przy barze siedzieli chłopcy, dobrze wytrenowani, i sączyli oranżadę patrząc się przed siebie, w lustro ponad kontuarem, trzymali kieliszki męskim chwytem za brzeg, obejmując je palcami, a ten gest miał przecież swą wymowę, ich przedramiona były obnażone aż poza łokcie.

Dla Jonasza mieli jedną wadę, zbyt często się kąpali, a ich kosmetyki w dobrym gatunku, pachniały zabijając naturalną woń ciała. Owszem, często ich brał czując się tak, jakby kochał się z wazeliną, więc teraz szedł przez bazar, wywalczony i wystrajkowany od nowych właścicieli w czasach powszechnej komercji, chociaż nie był przecież bardzo potrzebny, wszystko można było kupić wszędzie, ale to brudne miejsce, zastawione straganami o płóciennych, brudnych daszkach, o ladach zarzuconych wzorzystością byle czego, często wdeptywaną w błoto, gdy się nieuważnie ześliznęła z brzegu, zaspokajało wiele potrzeb biedaków.

Jonasz idąc przez bazar zobaczył chłopca i przystanął wpatrując się zachłannie w sylwetkę na wpół ukrytą za straganem z cienkimi sukienkami z miękkich tkanin, klejących się do ud i palców. Tamten siedział na drewnianym stołeczku jedząc pizzę z tekturowego talerza, odgryzał ją wprost z dużego kawałka i policzki miał zabrudzone tomatem i papryką, więc wciąż je ocierał rękawem kurtki z napisem „Rockersi”, była stara i powygryzana przez myszy, a jego nogi okrywały postrzępione spodnie, po prostu łachmany. Nie był zapewne synem właściciela, na pewno u niego pracował, i to od niedawna, używano go do wszelkich posług, z pewnością składał kramik po godzinach handlu i zamiatał plac z łupin i petów, musiał sypiać w magazynie i nosił trepki na bose stopy. Jadł łakomie, miał pełne policzki ciasta i gryzł szybko mięso zębami lśniącymi jak szkło, a jego skóra się złociła, był pewnie mieszańcem, południowcem, o czym świadczyły czarne włosy. Zwijały się lekko na opalonym karku, tak czarne, że aż granatowe i na złotawym naprężonym karku skręcały w postrzępione kędziory, i ta kurtka narzucona na gołą skórę, zapach myszy i młodej skóry, jej złocistość, zupełnie gładkie czoło, włosy opadały poniżej pleców, może je zaplatał, ale widocznie były śliskie i jedwabiste, więc wyslizgiwały się samoistnie.

Te wszystkie cechy oszałamiającej urody Jonasz zobaczył i jego wzrok wędrował od jednego szczegółu do następnego, nieustannie, powtórnie i z zachwytem, a jego pożądanie rosło, cienka zmija zaczynała rozprężyć swoje zwinięte ciało. Stał przy straganie, zwijając palcami tkaninę sukienki dla kobiety, jego ręka bawiła się materią bezwiednie, gdyż myślał o czymś innym, wpatrzony w rozsypane włosy. Zastanawiał się, dokąd go zabrać, odrzucił pomysł pójścia do klubu ze względu na mężczyzn, którzy siedzieli przy barku, mogliby mu zrobić krzywdę, zepchnąć ze schodów lub oblać twarz wrzątkiem. Nie wchodziło w rachubę

wprowadzenie go do własnego mieszkania w bloku, gdzie gnieździło się wiele rodzin, niby białe myszki w drewnianym domku, a on uchodził tam za osobę dobrze ustawioną w życiu, wszak pracował w telewizji i dobrze się nosił, nie, nie mógł go tam zabrać. Klatki schodowe oplatały zewnętrzną stronę budynku jak pajęczyna, każdy, kto się na nich pojawiał, wiązał niby mucha, oplątany krzyżującymi się linami spojrzeń, wydany na rzucane żyletki słów, które by go pocięły jak szmatę wraz z jego reputacją; ale bardzo chciał tego chłopca, jego niewinność wzbudzała w nim podniecenie, myślał o tym, potem, rano, chłopiec już nie byłby taki czysty ani jego ciało, gdyż wypełniłby je własnym nasieniem, które się na zawsze przyklei do brązowych, pomarszczonych nabłonków – te usta, różowe i wypukłe, teraz prześwietlone słońcem, na wskroś, ze smugą rdzawego keczupu, utraciłyby kształt od ukąszeń i ssania i stałyby się opuchnięte, ze strupkami świeżo przyschniętej krwi.

Przegub Jonasza zataczał półkola, coraz szybsze, niby podczas fechtunku, tak, to byłaby pewnego rodzaju szermierka. Patrzył teraz na piersi pomiędzy rozchyłonymi połami kurtki, na środku lekkiej wypukłości sterczała sutka, gładka i śliska, już czuł na niej swój język, zacisnął zęby i słyszał nieomal krzyk chłopca, bo tak by się stało, zapaliłby mu brzuch. Ręka poruszała się wciąż szybciej, wzrok się ześliznął aż na brzeg spodni zapiętych tylko na metalowy guzik, przysiągłby, że pod spodem nie nosi żadnej bielizny i jego miękkie teraz i zwinięte to coś nieduże i brązowe, o końcu lekko podwiniętym w górę, musi być podrażnione szorstką tkaniną, lecz leży ciche i nieme, nie znające swojej siły, on ją obudzi, aż wytryśnie srebrzącą się bielą.

I noc będzie ciemna i głęboka, objęci ramionami stoczą się na dno, by tam się wytarzać, to będą zapasy i szermierka, jeden z nich już się nie podniesie i tam pozostanie na zawsze jego skalane i maltretowane ciało, fioletowe od sińców, zbite, bezkształtne i powielokroć zgwałcone. Ręka Jonasza zacisnęła się na cienkiej tkaninie, paznokcie wbiły się w dłoń, ale materiał sukienki dla kobiet pozostał niezgnieciony, tak samo niezniszczalny i odporny, jak ich ciała.

Wtedy na Jonasza padł cień. Był to czarny cień i gęsty, cień zimny, taki jaki wydaje rozkopana na grób ziemia, cień, w który się wpada, lecąc na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami i przekłutą piersią. Ręka Jonasza znieruchomiła, zapomniał o niej i zimno obejmowało go od pleców, coraz głębsze i bardziej wnikające w ciało, czuł się niby świnia wypatroszona już z wnętrzości, na której grzbiet, a właściwie polec mięsa, puszcza się zimną parą zamrażającą głęboko, aż do przemiany w lód. Nie miał odwagi się obejrzeć, właściwie nie był w stanie, czując, że nie ma pleców, bo ciało hibernuje się w szkło.

Patrzył na chłopca, który, dotychczas gapiący się przed siebie, jakby oglądał słoneczny świat młodości, nagle skończył jeść i otarł rękawem usta, przechylił głowę w lewo, unosząc brodę w górę, a jego oczy otwierały się szerzej, białka lśniły jak mahometańskie półksiężycy, obejmujące od spodu srebrnym sierpem brunatne tęczówki. Kąciki ust lekko się podniosły, właściwie było to tylko drgnienie, przecież nie o to mu chodziło, lecz tak pozostały, siedział nieruchomo, jakby zapomniał o sobie, wpatrzony, nieobecny. I Jonasz nie mógł się poruszyć, jego ręka opadła i tkanina na sukienkę kobiety wysliznęła się na zawsze z palców.

Niebo ściemniało nagle, wieczór tu zapadał niespodziewanie, może z powodu przemian klimatycznych, które zachodziły niedostrzegalnie i systematycznie od końca XX stulecia, pory roku się przesuwają, zachodząc jedna na drugą, wiosny przybywały zbyt późno, aż wreszcie zdarzały się jesienią; prawdopodobnie działo się tak z powodu nieustannych wojen, gdy dziesiątki lat paliły się szyby naftowe i dymy unoszące się wciąż w niebo, układały się warstwami drobiny lodu wisiały w nich gęsto, przemieniając się i krzepnąc, zmieniając swą chemię i strukturę, aż wreszcie się zestalały, krusząc promienie słońca.

Z daleka zaczął narastać rumor, powolnie rosnący hurkot zbliżał się potężniejąc; rosnący w górę i na boki nieustannie parł do przodu jak nawała. Ludzie przy straganach nawet nie odwrócili głów w tamtą stronę, tylko ich ręce gwałtownie pochwyliły towary z lad, by je upychać w sakwy, usta otwierały się szybko wydając wołania, pokrzykiwali ponaglaając pracowników, niecierpliwie wrzucali toboły na wózki i umykali na drugą stronę ulicy, gdzie z powolnym zgrzytem już się otwierały wielkie drzwi magazynów, sunąc na rolkach na boki, i jak tylko zrobiła się szpara odsłaniając wejście do ciemnej czeluści, skąd wiało zimnem i stęchlizną, wślizgiwali się w nią jeden za drugim jak myszy, ale i tak już było za późno, nawałnica huku rosła jak powódź, zatapiając dystans między nią a targowiskiem.

Kawalkada samochodów, czarnych bizonów z płonącymi reflektorami, olbrzymich turów i mechanicznych rozpędzonych byków gnała wprost na nich, niby szerokie czoło lodowca, miażdżąc wszystko po drodze. Oni oszaleli. Byli sprzedani i nie mogli śpiewać na placach, krzycząc i klnąc, zabrano im ostanie wolne miejsce, więc jeżdżąc na samochodach w huku i zgrzytaniu krzyczeli w rytm muzyki wydobywającej się z maszyn swoją dziką pieśń bez słów, złożoną tylko z sylab wyrażających ból i wycie, przerażenie i przekleństwa i grozili nią Miastu i światu jak tysiącem zaciśniętych pięści.

Dachy z wielu aut zerwano, pozostały z nich tylko krypy, które gnały na ostatnim oddechu, były to same boki i podwozia z dziurami po drzwiach, tu, w progi wpierały się czarne buty chłopców. Małe radia, wielkości pluskiew, i inne odtwarzacze dźwięku walały się na kolanach, wisiały przy uszach lub u kłap kieszeni. Miażdżono je butami nieostrożnie przechodząc, kupowało się to na garście i z każdego walała muzyka lub sypały się słowa, czasem turkoczące jak kamienie w worku, który każdy z tych jeżdżących narkotycznie niósł na swych plecach, i można się było porozumieć z każdym człowiekiem na zewnątrz Miasta, tam gdzie był świat i powiedzieć „cześć” do Saszy, Mohameda czy Hansa, i można również było usłyszeć odpowiedź, ale po co, kurwa, rozmawiać, kurwa, po co, kiedy wszędzie jest tak samo i nigdzie nie możesz śpiewać na placu tego, co czujesz i co cię boli, by już następnego roku nie zleciała się banda kruków, a to są faceci, którzy się znają na rzeczy, więc wam zaprojektują dekoracje i stosowny makijaż i jeżeli jesteś wściekły, tym lepiej, kamera robi duże zbliżenie, a łzy twojej dziewczyny będą lśnić na jej policzkach lepiej niż przejrzysty superplastik, używany do makijażu filmowego.

Więc nie warto rozmawiać, bo wszędzie jest wojna, nie od razu, nie jednocześnie, tu i tam, co chwilę, każdego roku gdzieś indziej, musicie to zrozumieć, ludzie, trzeba gdzieś sprzedawać broń, a jeżeli jesteś młody, cholera, i nie chcesz tego zrozumieć, to, cholera, twój problem. Tu, w Mieście, wojny nie ma, ale wszystko gnije, czas gnije i zamiary.

Grzmot narastał, a z bazaru uciekali kramarze ze swymi tobołkami, smyrgając w czarną szczelinę magazynów. Nie opodal ukazała się kawalkada, a na jej czele, na harleyu czarnym jak bestia, wparta dłońmi w kierownicę, z łokciami sterczącymi na boki, tak pochylona, że piersiami niemal dotykała baku, gnała Mada. Miała na głowie czerwoną opaskę ściskająca skronie. Przez różowe ciało, zupełnie nagie, prześwitywało wieczorne słońce i wydawało się, że całe płonie, już zamienione w czerwoną lunę pożogi, może to była prawda, czuła się jak ogień. Na stopach wpartych w pedały naprężyły się ścięgna palców, pokonywała w sobie to, co zamieniało ją w ognisko, nie umiała tego nazwać, ale bolał ją cały brzuch, mrużyła oczy szukając czegoś czy kogoś, nie wiedziała czego.

Zobaczyła obcego, który nawet nie odwrócił ku niej głowy, gdyż rozumiał, jej oczy tylko prześliznęły się po nim, jak po nieznanym, nie interesował jej wcale, zatoczyła wokół niego pętlę, bo coś ją wzywało, ogień ukryty pod brzuchem, który został powiększony innym płomieniem, płynącym z bliskiej odległości płynący, więc Mada zakreśliła jeszcze jedną pętlę

na czarnym harleyu sahara, wpierając stopy w pedały i lekko się unosząc. Białoróżowe ciało, małe trójkątne piersi młodej dziewczyny, biodra tuż ponad siodełkiem, jego czarny kształt rozpiekał uda na boki, wszystko odcinało się od nieba, już ciemniejszego, ogień go jeszcze zaciągał, i od słońca, które zapadło za krawędź Miasta, tam gdzie nie ma nic.

Za dziewczyną na motorze gnały setki aut, wszyscy chłopcy byli w nią wpatrzeni, stała się nagle ich przewodniczką, płonęło w niej to, co zawsze; jak wilczki, wietrzyli. Gnali w hałasie motorów, zagłuszała ją krew waląca w uszach, wszyscy szaleli. Mada zrobiła jeszcze mniejszą pętlę, zaciskając przestrzeń w sznury ruchu, i wtedy jej oczy i źrenice chłopca dotknęły się spojrzeniem, lecz ono od razu wpadło głębiej, ogień zamienił się w światło, wypełniając ciało, które objęło chłopca niby wielka meduza czymś przejrzystym, delikatnym i zagarnęło go wkładając sobie do środka.

Mada pędziła wprost na niego, jakby nie widząc, że może go zmiażdżyć, on już dawno nie patrzył na obcego, lecz tylko w nią, nie myślał o niebezpieczeństwie, o niczym nie myślał, na uda i brzuch wylał mu się sagan ukropu, poczuł się słaby, tak bardzo, że nie mógłby wstać, nawet gdyby to coś, nie wiedział, jak to nazwać, czarne i świecące, miało wgnieść go w błoto, widział tylko różowe ciało dziewczyny, tuż ponad głową małe sutki zataczające kółeczka w rytm tego, co trzymała udami, ujeżdżając i unosząc się na stopach wpartych w pedały, ścięgnięta się naprężyły, silnie nacisnęła hamulec, dźwigając wysoko przednie koło, błoto bryzgnęło na stopy, zachlapało kostki, sięgnęło aż na łydki i kolana czarną tyralierą kropel.

Stanąła tuż przed nim, koło opadło, błoto chlasnęło na chłopca, przez twarz i usta, czerniąc go kleiście. Jego bure źrenice rozświeciły się, wniknął w nie blask z ciała dziewczyny i jej nienazwanej chęci, która kazała tu przyjść i stanąć. Motor dygotał cały, wzbudzając w niej wibracje, uniosła się jeszcze bardziej na stopach mokrych od błota, stanęła na palce i gwałtownym, wyzwającym szarpnięciem zdarła z czoła opaskę, aach, supeł się rozwiązał, miękka, czerwona tkanina się rozwinęła, była przejrzysta, jakby bez obrąbków, może podobna do rozświetlonej krwi.

Już chustka jest owinięta ciasno wokół przegubu chłopca i on mocno podciągnięty w górę, na motor, jeden lekki, płynny skok i już jesteś na zawsze inny. Usiadł twarzą do dziewczyny, ścisnął udami rozpiekające siodełko i objął ją mocno ramionami przysuwając się bliżej, ruszyli, motor zawibrował, ręka dziewczyny rozwarła na boki zamek przy spodniach i to, co tam miał, napięte rzuciło się w przód, wbijając dokładnie i szybko tam, gdzie trzeba, patrzyli sobie w oczy, gnając przed siebie, motor sam poddawał im ruchy, wystarczyło, że słuchali jego rytmu, wchodząc w siebie równomiernie i pięknie, połączyły się ich usta i języki, jechali coraz szybciej i pewniej, aż do końca, kiedy chłopiec obejmując trafi w końcu w to miejsce, gdzie trzeba.

Obcy patrzył za nimi, jakby ich obejmował chroniącym spojrzeniem, niech Bóg strzeże szalonych i zakochanych. Kawalkada aut i krzyków ruszyła lawiną przed siebie, był to czarny lodowiec wrzawy i bólu, Jonasz, wciąż nieruchomy i zimny, stał przed straganem, czyjeś ramię się wyciągnęło, został pochwycony za pasek i rzucony na tylne siedzenie samochodu, który pędził. Wszystko działo się prędko i bez jego woli. On, zawsze taki wykąpany i elegancki, wszak pracował dla telewizji i wybierał chłopców i porę miłości z nimi, a także sposób i miejsce, gdzie to robił, teraz stał się nikim, nawet nie rzeczą, jego spodnie zostały ściągnięte w tej samej chwili, gdy wlano mu w usta ostry alkohol, i ledwo przełknął, wsunięto w nie coś twardego, ktoś usiadł nad nim okrakiem, a jego głowa została ujęta w silne ręce jak w obcęgi i poruszano nią równomiernie, nogi rozepchnięto mu w obie strony, wszystko było tak brutalne i silne, że nie czuł nic tylko gwałt, a potem straszny ból, lecz przecież ani pisnął, kazano mu się starać nagłym przyciśnięciem, nic nie widział, jakaś siła wrywała mu

podbrzusze zmuszając do podniecenia, był już słaby, uderzono go w pośladki, poczuł bat czy pręt, nawet nie pomyślał o hańbie i o tym, że mu w ten sposób zapłacono za wszystkich jego kochanków, czekał tylko, aż się nasycą, ale słyszał w umyśle podszept, że jest ich wielu, może dokładnie taka sama liczba ciał, jak ta, które on dotychczas zdręczył.

Ten mężczyzna siedział w najciemniejszym kącie baru, tuż przy ubikacji, do której wciąż ktoś wchodził nie dbając o domykanie drzwi i słyszało się wówczas odgłosy rozpryskiwanego w pisuarze moczu, lecz on, pochylony nad dużym kieliszkiem wódki, który nie był już pierwszym, zdawał się wsłuchiwać w to z obrzydzeniem, gdyż za każdym razem wypijał duży haust, zaciskając potem usta i unosząc brodę, jakby sobie przyrzekał, że tu wytrwa, gdyż powinien się znajdować w tym zawstydzającym miejscu, właśnie sobie uświadomił, że ten ciemny i wstydlivy kąt przy ubikacji dokładnie ukazuje jego sytuację w życiu. Ale wcale nie pasował do tego obskurnego baru, w którym gromadziła się międzynarodowa hołota, różnił się od siedzących wokół nielegalnych najemników, oni właśnie tu przepijali najdrobniejsze monety, ćwierciaki, pieniądze stanowiące treść ich snów, ale o mamonie i oszczędzaniu marzyli kiedyś, zanim dostali się do Miasta, ono ich zmieniło. Turkot rozmów w polgermanie, gwarze grzechoczącej jak arba po bruku, zagłuszał stukanie maszyn do gier na pieniądze, mechanizmów, z którymi nikt nie wygrał. Do tego miejsca i atmosfery nie pasowały jego dobrze ostrzyżone włosy i prosta bawełniana koszula z prywatnego sklepu, ani spodnie zachowujące kanty i układające się miękko na stołku barowym, ani też buty z prawdziwej skóry, nad którymi pewnie jeden z tych ludzi pocił się nocami, by zadowolić wymagania pryncypała i klienta. Dlaczego tu go przyniosły?

– Kloaka – szepnął do siebie, ale właśnie wtedy zobaczył kogoś obok, właściwie tylko cień, gdyż człowiek ten stał odwrócony plecami do światła, a na bufecie spoczywały jego ręce, opiekuńcze i budzące zaufanie.

– Napiję się z tobą – rzekł nieznajomy, ręka uniosła kieliszek i zniknęła w mroku, nie wiadomo, czy alkohol został wlany do ust, zresztą siedzący nie zwracał na to uwagi.

– Chcesz pogadać? Wiesz, czyje pieniądze przepijam? – zapytał siedzący.

– Kobiety, która mnie utrzymuje. A czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak zarabia? Nie? No, to ci powiem. Pozuje do pornosów i zdjęcia kupują wszyscy. Wejdz do tego klopa – uczynił niewyraźny gest w stronę ubikacji, zobaczysz fotografię jej nagiego ciała przypiętą pinezkami do drzwi kabiny, aby pętacy mogli się onanizować, gdy się już wysrają – wychylił kieliszek do dna jednym haustem i szybko podstawił pod samoobsługową maszynę do nalewania, żółta wódka pociekła strumieniem jak mocz. – Nie mogę na nią narzekać, kiedy tylko ma chwilę przerwy w zdjęciach, zawsze do mnie telefonuje przez radiochip, nosi go we włosach jak spinkę. Fotografowanie często trwa do rana, jej partner to homoseksualista, jakiś Jonasz, rozumiesz, jest bezpieczna, może się na niej kłaść.

– O co więc ci chodzi?

– Czy tak powinno być?

– To ty powinieneś pozować do zdjęć pornograficznych – rzekł nieznajomy.

Pijany obrócił się gwałtownie, ale zobaczył tylko ciemny zarys głowy i z wyrazu twarzy nie mógł się zorientować co do ewentualnych ironicznych podtekstów nieznajomego.

– Ja to potępiam, bo jest niemoralne.

– Przecież ciała kobiet zawsze były na sprzedaż, to dobry i pewny towar.

– Nie chcę go sprzedawać, ma należeć do mnie. To ja powinienem przynosić do jaskini upolowane zwierzę.

– A ona? Pewnie ćwiartować mięso i strzec ognia, by nie wygasł.

– Powinieneś znaleźć sobie jakąś pracę – burknął pijany, sięgając po kieliszek.

– A próbowałaś?

– Nigdy bym tyle nie zarobił, trzeba by zrezygnować z wielu rzeczy – jego ręka przesunęła się wzdłuż odzieży, wskazując, o co mu chodzi.

– Odziewasz się w jej skórę.

Alkohol został wlany do gardła, powieki opadły, a kiedy ręka podstawiała zygzakami kieliszek pod automat, jego mętne oczy otworzyły się ponownie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, a wtedy przez gwar błędnych rozmów przebiła się tęskna melodia południa, słowa mówiły o wysokich górach za mgłą i o tym, że trzeba wejść na szczyt i może to uczynić tylko prawdziwy mężczyzna, by kobieta niosąca dziecko mogła je bezpiecznie kołysać.

– Nie jestem mężczyzną – jęknął pijany, wpatrując się w żółty, ciekący strużką płyn.

– Być mężczyzną, to posiadać kobietę na własność?

– No, trafnie to ująłeś. Myślisz, że nie to decyduje o męskości? I jeszcze, że bym ja ją utrzymywał?

– Przecież i jej ciało należy do ciebie, i miłość, mówiłeś, że jest ci wierna.

– Ooch, nie zasłużyłem na to, jestem szmatą – szybki haust i gest podstawiania kieliszka pod automat. – Muszę iść przewinąć dziecko. Wiesz, to jest wielkie, kiedy trzymam mego syna, a jego głowa leży mi na piersi i on jest wtedy bezpieczny, czujemy się jednością, samym życiem, ta drobina biologii i ducha należy tylko to mnie – zachichotał nagle. – Wiesz, że często jej nie pozwalam brać go na ręce, ma długie, ostre paznokcie, zresztą, ona musi mieć wypielęgowane dłonie i całe ciało, wciąż ma chodzić do masażysty, kosmetyczki, do hali sportowej, powraca złana potem aż po szyję, nie masz pojęcia, jaka to harowa, utrzymywać urodę, ja szukam nowości naukowych na temat bielenia zębów, zapobiegania zmarszczkom, farbowaniu włosów, właściwie jestem ekspertem w tej dziedzinie, mógłbym się zatrudnić w jakiegokolwiek firmie i zarobiłbym harmonię pieniędzy, ale wtedy, no tak, oddalibyśmy dziecko pod opiekę jakiejś kobiecie, a wiesz, ja do niego mówię, on jeszcze niczego nie rozumie, ale opowiadam mu o świecie, obcych krajach, które leżą naokoło Miasta, on słucha, patrzy na mnie tymi swoimi oczkami, a potem zasypia, przed snem czochra sobie włoski paluszkami, o tu, na czubku głowy, na pewno śnią mu się archipelagi – odsunął gwałtownie kieliszek – o kurwa, co mnie obchodzą tradycje, podział ról na męskie i żeńskie, kto będzie decydował o moich wyborach życiowych, jaskiniowcy wlokący świnie do ogniska? A co mnie obchodzi pęta w sraczu? Przecież nawet gdybym z nią szedł do kościoła, opancerzoną w gorscie po szyję, rozbieraliby ją oczami, by się potem w kącie przetrzepać. Czy mam im amputować wyobraźnię? Jestem specjalistą, twórcą jej sukcesu, to właściwie ja wydobyłem urodę tej kobiety i utrzymuję jej trwanie, uważam się za jednoosobowe, świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Tak, cholera, tak dokładnie to wygląda.

Nieznajomy stał wciąż odwrócony plecami do światła i milczał, jego ręce zniknęły już z kontuaru, ich opiekuńczość i świadomość tego, co wyrażały, nie była teraz potrzebna. Tuż za nim wybuchnął wrzask przekleństw, melodia pękła, słowa się urwały, nikt się nie dowiedział, czy mężczyzna doszedł na szczyt. „Asfalt powinien leżeć na ulicy, nie mam nic przeciwko ludziom, ale negatywów nie lubię!” Mały południowiec w poncho stał skurczony tuląc do piersi banjo, widać było, że znalazł je na śmietniku i zaledwie otarł z brudu, przytwierdziwszy struny. Tuż naprzeciwko niego stał wysoki obywatel Miasta, ale tu piła tylko jedna ich kategoria, ci, którzy nie mieli pracy i załatwiali swoje brudne interesiki, wymieniwszy czasem banknot na fałszywy lub pośredniczący w sprzedaży rzekomo posrebrzanego łańcuszka. Pięści obywatela były zaciśnięte, a ręce, zazwyczaj wepchnięte z determinacją w kieszenie, podniesione. Był nędzarzem z wyglądu i z duszy, ale wciąż lepszy od becyka.

Pijany nagle jakby otrzeźwiał, odsunął kieliszek i ześlizgnąwszy się pewnie ze stołka, zrobił trzy zamaszyste kroki w tych swoich miękkich butach, które oni pewnie nocami starannie wyklejali. Stał naprzeciwko obywatela, o głowę niższy, zresztą mocno zalany, w starciu na pięści, całkowicie bez szans, ale miał pewność swej racji.

– Zabolalo was, co?! Słowa prawdy, no nie?! Wy, tu wszyscy, którzyście porzucili swoje wioski i kobiety, swoje bogi domowe i palmy na święto, by tu przepijać nadzieję swoich rodzin, moralność ojców, usłyszeliście, co trzeba. – Odwrócił się gwałtownie do południowca o zbyt ciemnej skórze. – Zagraj im! I zaśpiewaj! Wydobądź ze swego cierpienia taką ostrość, żeby ich wszystkich zabolalo. Niech zamilkną! Niech pochylą głowy i powrócą na chwilę do miejsc, gdzie byli ludźmi. Graj głośno, niech runą bramy strachu! A potem odwróć banjo, bo nasypią ci groszy i wyjdiesz z podniesioną głową, bo wykonałeś rzetelnie swą robotę, dając ludziom odwagę i siłę. Graj!

Mały w poncho stał z wybałuszonymi oczami, wtedy ten drugi, wyższy podszedł, odsunął go i stanął w rozkroku, podnosząc ramiona. Otworzył usta i wtedy z jego gardła, a może skądinąd, z miejsca, gdzie rodzi się ból, wydobył się charkot zamieniający się w skowyt przerywany jękiem. Dopiero po chwili wypluł kolczaste kłębki słów. Śpiewał w nieznanym, starożytnym języku, który powstaje sam, gdy idziesz po trawie i kochasz ziemię i kobietę, a może nie była to w ogóle mowa, lecz wszyscy rozumieli słowa, tak jak się od razu pojmuje powstawanie duszy.

Nikt się nie poruszył, oczy nieruchomo patrzyły w stoliki, nie widząc nic, papierosy wypalały się w popielniczkach, szkła z alkoholem zamieniły się w czarodziejskie kule, w których ukazały się mdłe cienie porzuconych krain, zapomnianych ludzi, a w głębi pączkowały kolory przyszłości, zaczątki zmian.

Skończył tak nagle, jak zaczął, wciąż było cicho, potem wysoki obywatel Miasta spojrzał ponuro spod brwi, mając usta skrzywione, bo czuł ból, ale nie chciał się przyznać do klęski, wyjął duży banknot z kieszeni bluzy i zatknął go za poncho małego czarnucha, dotykając skóry i wytłuszczonej odzieży, potem ruszyli inni. Dwaj południowcy stali nie wiedząc, co się dzieje, wyższy jeszcze pamiętał obrazy, które wyśpiewał, ten drugi już się nie bał. Pieniądze, pieniądze, pieniądze, tak upragnione, wkładano w ręce, wpychano pod odzież, rzucano z góry na głowy, siedzący przy dalszych stolikach ciskali zwitki, które rozsypywały się w locie, zasypując grajków zielonym i błękitnym deszczem.

Kiedy obcy stanął na progu jej pokoju, bo zamek u drzwi był wciąż nienaprawiony, siedziała przy komputerze pisząc jak szalona i nie odwróciła się nawet, gdy jego stopy kruszyły żółty papier starych gazet, które nadal zaścielały podłogę, pracowała oszałamiając się, a na ścianie wyświetlały się obrazy torturowanych ludzi, służąc jej instruktą, wszak musiała napisać scenariusz męki, więc filmy się zmieniały jeden za drugim. W żelaznym saganku wieziono przez rynek Miasta nagiego mężczyznę, płomienie od spodu podgrzewały oliwę, w której siedział zanurzony do piersi, i odwróciła się dopiero, gdy na ekran padł cień, odwróciła się natychmiast, przerażona, jej palec trzęsąc się nacisnęła klawisz „esc”, by wyjść z programu, a zielony ekran pokryło bielmo.

Nie umiała wykrztusić słowa widząc go, jak stoi tuż obok z rękoma w kieszeniach spranych płóciennych spodni. Wciąż drżała czy ze strachu, podejrzewając, że złoczyńca wtargnął do jej domu, czy ze szczęścia. Nosila wciąż tę samą prostą sukienkę kosztującą fortunę, lecz miała bosc, bezbronne stopy, zacisnęła na nich palce i oblizała wargi, niepewna, jak się zachować, lecz przecież przyszedł, jest przed nią i tylko dla niej. Wskazującym palcem dotknęła języka i uniósłszy się dotknęła mu ust i od razu jej palec przesunął się na policzek i już dłonią muskała mu twarz, nie mogąc się oprzeć, wciąż milczał, więc nie miała pewności,

lecz nie umiała się powstrzymać, ręce przesunęły się na szyję i odsunąwszy koszulę dotykały ramienia. Zamknąwszy oczy rozpinała guziki i sprzączkę od paska, obłuskując go z odzieży, która luźna zsunęła się na podłogę. Miała wciąż opuszczone powieki, jakby nadal chciała śnić, wymyślała jego ciało palcami rzeźbiąc je, jakby nie istniał, a ona go stwarzała ze swego marzenia, gdy przyklekli na podłodze i potem legli na łóżku, które wciąż było nie zaścienione, nie umiała zatrzymać rąk, a po chwili i ust, było jej wszystko jedno, chciała tylko tego mężczyzny, czując jak kolanem rozsuwa jej uda, otworzyła na chwilę oczy i zobaczyła dwie niebieskie tęczęwki, już nie istniała, rzeczywistość się zamgliła, czas pokruszył się na mąkę i zasypał ją w otchłani, gdzie nie było nic. W umyśle, na samym środku czoła, eksplodowało złociste światło zalewając wszystko niby płynnym metalem i potem zrobiło się ciemno, jej ciało pomniejszone o ciężar jego ciała, przewróciło się na bok, ramiona wyprostowały się i pochwyciły brzeg łóżka, zaczęła wydobywać się z głębi na krawędź rzeczywistości, ale nie mogła zasnąć, szkoda jej było każdej chwili na sen, gdyż wówczas musiałaby go opuścić i przestać doznawać, ale uniósłszy głowę zobaczyła zegar na komputerze.

– Muszę pracować! Mam czas tylko do rana! – Jeszcze ramię odchyliło się do tyłu, by palce mogły się prześliznąć wzdłuż jego nóg, i zsunąwszy się za brzeg ukłękła na podłodze, by narzucić przez głowę, nie odpinając, swoją sukienkę.

– Zamówienie, obowiązek! To moja wielka szansa, wszystko od tego zależy! – Już siedziała przy komputerze i wręcz bezwiednie nacisnęła klawisz „enter”, uruchamiając program.

– Wyobraź sobie! Taki duży kredyt, a jakie będą tantiemy! Koniec z gazetami na podłodze, koniec z dyżurowaniem przy wideofonie i czekaniem, aż ktoś zechce mnie zatrudnić, przeprowadzę się do lepszej dzielnicy. – Rzuciła na niego szybkie spojrzenie i już jej palce pomykały po klawiszach, a na ekranie zmienił się film pokazujący następną torturę, tym razem człowieka obdzierano ze skóry, drąc długie pasma z pleców.

– Żadna z nich mi nie odpowiada, przejrzałam już prawie wszystkie, prawdę mówiąc nie są zbyt ciekawe, choć ludzka pomysłowość wydaje się być w tej dziedzinie nieograniczona. Jak bardzo ludzi pociąga torturowanie bliźnich! Nie mogę odgadnąć, z jakiego powodu, gdyż w istocie są one niezbyt widowiskowe.

– Może sami bardzo cierpieli i czuli się tak skrzywdzeni, że pragnęli, by sprawiedliwość była jawna i dotykalna.

– Masz z pewnością rację, ale te wszystkie tortury nie zapełnią mojego przedstawienia. Darcie pasów czy gotowanie w oleju trwa długo, lecz dramatyzm nie wzrasta w czasie, są one straszne od samego początku. Muszę znaleźć coś, co będzie się rozwijało, cofnijmy się głębiej w czas, średniowieczne męki były prostackie i grubiańskie, narzędzia mało precyzyjne. Chciałabym pokazać udrękę ciała i jednocześnie cierpienie duszy. Ci wszyscy skazańcy byli przestępcami, prymitywnymi zbrodniarzami, dręczącymi swe ofiary tak samo okrutnie, jak ich męczono, to nie wzruszy widza, nie przyniesie mu ekspiacji, oczyszczenia duszy, ludzie pragną przeżywać, a nie tylko czuć odrazę z powodu wypruwanych flaków, to mało estetyczne, zresztą, ileż by trzeba zamawiać sztucznych jelit, szukam czegoś zupełnie wyjątkowego, muszę się popisać, a zresztą, tworzę sztukę, a nie oglądaczkę dla pensjonariuszy więzienia, czy instruktaż dla potencjalnych przestępców.

– Ofiara musi być niewinna.

– Tak! W dodatku ktoś o czystym sercu.

– O szlachetnych celach.

– Słusznie! – przytaknęła. – Najlepiej, jakby chciał poświęcić się dla ludzi, nie wiem dokładnie, z jakiego powodu, ale musi być on wzniosły, coś takiego, że ten człowiek pragnie

uratować wszystkich ludzi, ale absolutnie wszystkich, i to nie tylko wówczas, gdy go katowano, lecz i przyszłe pokolenia, nienarodzone dzieci i dusze bandytów. Powinien być bezinteresowny, dający, niczego nie żądający w zamian. Czy znasz taki fakt?

Obcy milczał, a kobieta przepatrywała zawartość twardych dysków komputera.

– Chyba mam! – rzekła spokojnie. – Był taki, i to podobno fakt historyczny. – Na ekranie wyświetliła się kolejna tortura. – Popatrz, to zupełnie niezłe. Bardzo dramatyczne i rozwija się w czasie, na pewno będzie punkt kulminacyjny. Zobacz, ile efektów! Właściwie, jest to świetny, gotowy scenariusz, przykroję go tylko do realiów Miasta, nie ma tu zastrzeżonych praw autorskich, jakiś anonimowy twórca. Właściwie, ten tekst i obraz należy do wszystkich i jest tak stary, że został zupełnie zapomniany. Opracowano go w najdrobniejszych szczegółach. Modre niebo, złoty kurz spod sandałów, tego człowieka nie widać, to świetne, doprawdy, tylko thumy, pragną się zabawić, wyrażają pięściami, otwarte usta do krzyku, w oddali pagórek, dosyć wysoki i zupełnie gładki, wszystko będzie dobrze widać. Żołnierze w strojach z epoki wznoszą słup i przybijają poprzeczkę, dwóch wykuwa na kamieniu gwoździe, stukot młotków, niebo się lekko chmurzy, coś przesłania słońce, niesamowita atmosfera, nastrój groźnego oczekiwania, o, to nie jest zwykła kaźń, to coś więcej, pełne znaczeń, tłum milknie, nie wiadomo dlaczego, skazaniec już wspiął się na wzgórze, brutalnie zdzierają z niego koszulę – odwróciła się do mężczyzny leżącego wciąż na łóżku – zobacz, jak on klęczy, ty śpisz dokładnie w takiej samej pozycji, przyglądałam się tobie poprzedniej nocy – odwróciła się ponownie do ekranu – pękami batów kaleczą mu plecy – umilkła nagle, zamyślona, już nie musiała sobie przypominać tego, co zaobserwowała, kiedy leżał odwrócony od niej z rękoma ponad głową skrzyżowanymi w nadgarstkach tak, jakby były okręcone sznurem.

– Podano mi parametry kandydata, który chce brać udział w widowisku – podjęła po chwili, nie patrząc na mężczyznę, który leżał obnażony, wspierając się na łokciu. – Znam wzrost, wagę, ale nie chciałam widzieć, jak wygląda, gdyż to ograniczałoby moją inwencję. – Znowu rzuciła szybkie spojrzenie na leżącego. – Właściwie on jest bardzo do ciebie podobny, mam na myśli tego kandydata, jak również tamtego, z historycznego widowiska, identycznie wychudzone ciało, mówisz, że przeszedłeś przez tereny objęte wojną, to niemożliwe, nikt tego nie dokonał, ale nie będę wścibska. Wiesz, czuję się, jakbym to ja ciebie... – Palce osunęły się nagle z klawiatury, „och, powiedz, dlaczego to robisz”, chciała wykrzyknąć, ale nie miała odwagi się przyznać do swych przeczuc, takie zamiary obcego nie były przecież możliwe, nie miały w sobie logiki ani żadnego uzasadnienia, jakimi motywami mógłby się kierować. Ludzkość, Miasto, dać coś ważnego ludziom, coś im uświadomić, ale co, właściwie? Nie, przeczucia nie miały sensu.

– Muszę pracować, czas tak szybko leci, już północ, zaraz zapieje kur, co to właściwie znaczy, ktoś trzy razy się zaprze, nie mogę sobie przypomnieć – oparła głowę na dłoni – nie mogę sobie przypomnieć, to takie trudne. – Nie, to nie możesz być ty – i zapała się po raz trzeci. – Zobacz, co się dzieje! Jakie czarne niebo, ludzie milczą, co oni zrozumieli, nic z tego nie pojmuję, głowa opada mu na piersi. Jeszcze tylko kilka scen, turbulencje w przyrodzie, jakby cały świat zmarł, oczekiwanie, cisza, tak, wielka cisza śmierci i jednocześnie nowych narodzin, początek, oczywiście, początek wszystkiego, poranek świata, jak późno, zaraz będzie wschód, trzeba to jakoś efektownie zakończyć, ale musi być ważne i zrozumiałe. Burza, oczywiście, musi nadejść burza i wielki deszcz, strugi wody lecą z nieba na ziemię, żywioły wykrzykują ludzkości swoją prawdę, oni nie umieją jej wyrazić, ale wiedzą, tylko ja nie rozumiem, przeczuję, może jestem jedną z tamtych kobiet, ale którą, nie mogę odgadnąć. Obmywający deszcz wciąż pada, woda łączy niebo i ziemię, jak w dniu stworzenia,

czy był taki dzień, kto to powiedział, te stare historie są takie zagmatwane i pełne symboli, obmywający, czysty deszcz splukuje wszystko, cały brud z ziemi i z duszy człowieka, błyskawica na koniec, niebo się rozwiera, dwie wielkie połówki żelaznych drzwi rozchylają się z szurgotem i to stamtąd płynie ta woda, która zmywa grzechy świata, jesteśmy niewinni i odtąd tak będzie zawsze. Koniec.

Jej ramiona opadły, głowa się pochyliła, oddychała ciężko, kosztowało ją to wiele. Na ekranie pojawił się niespodziewany obraz, wysoki mężczyzna o twarzy dziecka i jasnych włosach rozdzielonych nad czołem i spływających na ramiona, stał z pochyloną głową nad czymś, co wydawało się być rumowiskiem. Nie wiedziała, z jakiego programu wydobył się ten fragment filmu, komputery miały swoje tajemnice, ich struktura wewnętrzna, tak niejasna i ulotna, produkowała, być może, takie niespodzianki, zresztą nie zawsze kupowała najlepsze programy renomowanych firm, może pozostały jakieś brudy, lecz najdziwniej wyglądała niezrozumiała i nielogiczna ozdoba pleców pięknego młodzieńca, dwa wielkie i białe skrzydła, nie przypominające żadnego ze znanych ptaków, może łabędzia nieco, ale twórca dodał wiele, jakieś kłęby na początku i długie, miękkie pióra, niby anielskie włosy czy puch, drzące srebrem w blasku, bo nie było słońca, może one same wydzielały światło, co jest możliwe, technika animacji komputerowej ma ogromne możliwości. Zmęczona, już prawie świtało, przyglądała się nieco bezmyślnie, zbyt znużona, by się zdziwić lub szukać przyczyn. Białe skrzydła nagle wybuchnęły wielkim płomieniem, białym ogniem, falując i drżąc leciały w niebo przezrzystym dymem. Zdawało się, że nie mają żadnego wpływu na młodzieńca i nie sprawiają mu bólu, to zimny, bezlitosny ogień, który sam się nie żarzy, lecz wszystko spopiela, młodzieniec nadal stał z pochyloną głową, ale ona nagle poczuła przerażenie, zupełnie niepojęte, bo oglądała przecież film, nie chciała, aby tamten z ekranu spojrzął na nią, bo może światło wypływa z jego źrenic, nie miało to dla niej żadnego sensu, patrzyła jednak, zbyt znużona by się zdziwić.

– Czy to ma sens? – zapytała mężczyznę leżącego wciąż na boku.

– Ma.

Pędzili wciąż na motorze obejmując się, opleceni ciasno ramionami i uda dziewczyny obejmowały chłopca w pasie. Już dawno zapomnieli o kierowaniu, o rządzeniu swoim losem, zresztą nie znali takich słów, i w ogóle nie czuli, co się stało, bak z benzyną nagle wybuchł ogniem, silny podmuch cisnął nimi w niebo, lecz oni wciąż się oplatali nie dbając ani o życie, ani o śmierć i upadli na coś miękkiego, może to była trawa.

Inne samochody wciąż pędząc i rycząc motorami, szalone i dzikie wpadły na kręcącego się wokół własnej, niezrozumiałej osi, czarnego, spalonego harleya; rozgrzane, wybuchają po kolei, grzebiąc i paląc wszystkich, których zawierały w sobie.

Jonasz otworzył oczy, ale zobaczył tylko ciemność, nie mógł podnieść ramion, by obmacać wszystko dookoła, czuł jednak, że jest uwięziony w ciasnej przestrzeni, przygniatały go martwe ciała, nie zdołał nawet uczynić wysiłku, by się spod nich wysunąć, pomyślał, że będziegnił, wciąż żyjąc.

Samochody płonęły, telewizja czuwała, po kilku minutach pojawili się reporterzy na helikopterach i szybkolotach, filmując z wielką prędkością, zrobili świetne ujęcia. Reżyser w skórzanej kurtce i poszarpanych spodniach stał w rozkroku i wrzeszczał przez ręczny wideofon, nie zapominając o interesach i pieniądzach, więc od razu skontaktował się ze swoją złotooką sekretarką.

Wideofon zadzwonił, lecz ona, nie mając siły się podnieść, nacisnęła tylko klawisz komputera i na ekranie pojawiła się twarz pięknej sekretarki, bardziej wypielegnowana niż zwykle, jej właścicielka nie miała życiorysu ani problemów, była niby automat bez uczuć,

wykonywała rozkazy.

– Przedstawienie odwołane, kredyt cofnięty. Jeśli go nie zwrócisz, pozwiemy cię. – Ekran oślepl i kobieta niczego nie widziała, mimo że oczy nawet nie zaszyły łzami, tylko ciemnością, na ekranie młodzieniec wciąż płonął, teraz podniósł głowę, by naznaczyć czoło kobiety. Pomyślała sobie, że człowieczeństwo kobiet jest trudniejsze, ale nie umie inaczej. Kiedy obróciła głowę, jej łóżko było już puste.

Strażnik przy bramie wahał się, czy ją otworzyć i wypuścić nieznajomego z Miasta.

– Jeszcze się nigdy nie wydarzyło, by ktoś odszedł z własnej woli – powiedział, patrząc w niebieskie oczy obcego.

– Otworzę bramy, otworzę wszystkie bramy, tak dalek być nie może.

Miasto stało w oddali, otoczone murami, zasnute dymem. Obcy siedział na kamieniu rozpinając buty, kiedy skończył tę czynność, nie opodal pojawił się brodaty starzec, który szedł z wysiłkiem, prowadząc gromadę wynędzniałych dzieci wojny, wywiódł je wszystkie i ocalił – dla samotnych kobiet i dla mężczyzn pijących w barach.

Jego stopy były pokaleczone i bose, zdarł niejedne buty, więc pewnie by już nie mógł przejść tych paru kilometrów, które go dzieliły od Miasta. Biorąc buty od obcego, powiedział:

– Odchodzisz, panie?

– Tak.

– Czy to nie jest to miasto?

– Jest.

– Czy to nie jest ten czas?

– Jest.

SCHIZIS – TEORIA ŚWIATÓW NIEREALNYCH

– Daj mi to! – krzyknął chłopiec rozglądając się ze strachem.

– Udawaj zainteresowanie wystawą – osadził go Pirat.

– Czy je masz?

– Przyglądaj się ekranom – Pirat przybliżył twarz do szyby, mrużąc oczy.

– Nie pokazują wirtualności, tylko zwykłą grafikę komputerową – rzekł chłopiec chępliwie.

– Zwykłą, twierdzisz? No to coś ci pokażę.

– Raczej daj mi szybko, bo muszę iść. Zrobiło się ciemno, nie znam tej dzielnicy.

Stali przed lśnącymi oknami wystaw Ulicy Głównej. Za szybami, w sypiącym się deszczu światła, zmieniały się przestrzenie przechodząc w siebie jak przejrzyste sześciany. Były to sklepy z gramami komputerowymi. Gry! To słowo nie wyjaśnia wiele. To były inne światy!

Wchodziłeś w grę jak w rzeczywistość, mogłeś dotknąć piersi wroga, zabić go słysząc jego oddech i rżenie. A ty dostałeś tyle sztonów na życie, ile trzeba, by wygrać. Zwyciężałeś zawsze.

Chcesz, to leć na Marsa i w jego kanałach borykaj się z cyborgami zostawionymi w XXI wieku, które się zmutowały i w gęstej wodzie obrosły biologicznym ciałem, więc mogły płakać i krwawić. A może kusci cię historia i chcesz cofnąć się o pięćdziesiąt lat, by pędzić w rozżarzonej do czerwoności czołgu i dusząc się z gorąca przejechać morze płonącej ropy, wytrzeć dłonie z zapachu dymu, i wyskoczywszy spod pancerza w hełmie i w okularach stereo, będąc raczej podobnym do robota z filmu, unieść do ramienia miotacz i rozszarpać kulami pierś Hitlera. Czy chcesz stanąć na trybunie obok Lenina i wykrzyknąć mu w twarz prawdę z przyszłości? Zmienisz świat, to dobrze, jesteś Bogiem, jesteś wszystkim, to dobrze, o to ci chodziło, za to płacisz.

– Nie musisz mi teraz płacić, trzeba sobie ufać – Pirat skubał wąsy, gdyż mówiąc to, wcale nie był pewien uczciwości chłopca i zastanawiał się, czy złapie nowego klienta, na ile uda mu się go naciągnąć i na jak długo. W tego rodzaju fachu wciąż jest się narażonym na ryzyko i często pewniak okazuje się cwany, nie wraca po drugą grę – ze strachu czy z braku forsy – a ty, facet, tracisz.

– Jestem uczciwym piratem – dodał, bo była to prawda, poniekąd, na jaką oszusta stać. On kantował tylko system, tak sobie mówił, wielkie konsorcja wypuszczające wciąż nowe gry po coraz większych cenach. Zarabiali przecież tysiąc procent na każdej sztuce i ciągle im było mało, a on tylko zdobywał je nieuczciwie i nielegalnie kopiował, zadowolając się stałym, dziesięcioprocentowym zyskiem, a towar miał dobry i zawsze najnowszy. Nikt nie wiedział, skąd go brał, zachowywał to w tajemnicy. Konkurencja była silna i nie bawiła się w wymyśloną rzeczywistość, umierało się naprawdę i tylko raz. Wolał więc trzymać się reguł gry.

– Przejdźmy tędy – zaproponował.

– Przez mur? – zdziwił się chłopak. – To przecież sklep.

– Gra się już zaczęła – powiedział Pirat. – Sklep kończy się wystawą, mur obok jest grafiką komputerową, ścianą ze światła. Rozumiesz, reklama, muszą ci udowodnić, że nie odróżnisz świata materialnego, nazywanego rzeczywistością prawdziwą, od tej z gry, wirtualnej. Wal śmiało, krok do przodu, już nie można się cofnąć.

Poza nimi zostały ściany światła i kolorów, piękny, kuszący świat pieniędzy, luksusu i przygody, wymyślona rzeczywistość światła i systemu zero jeden, a przed nimi było błotniste podwórko i wielkie pojemniki na śmieci, naprzeciwko sklepik: „Dorabianie kluczy” i „Piwo” w zakratowanym kiosku, prawdziwy świat nędzarzy. Gdy stanęli za żelaznym wiadrem pełnym czarnych worków z odpadkami, smyrnęły z nich bure koty, niczyje i zawsze głodne. Tu wszędzie stały ściany ze światła, toteż przypadkowi przechodnie idący trotuarem oglądali piękne elewacje, nowoczesne okna i eleganckie klatki schodowe, tylko mieszkańcy, patrzący od strony przeciwnej widzieli prawdę swej własnej nędzy.

– Jaką chcesz grę?

– No, fajną.

– Nie miałeś chyba jeszcze dziewczyny, co? – zapytał nagle Pirat i widząc minę chłopaka, klepnął go po ramieniu. – Normalka, stary, jak też w twoim wieku oglądałem pornole i mierzyłem sobie, zawsze byłem gorszy od standardu.

Chłopiec milczał.

– W grach spotykasz dziewczyny i jeżeli masz controller z synapsorami, możesz doznawać przeżyć seksualnych.

– Daj mi już tę grę. Jest bardzo ciemno.

– Boisz się?

– Mieszkam daleko.

– Chciałbyś poznać świat, przeżyć przygody?

– Tak, tak, muszę już iść.

– Czym się interesujesz?

– Komputerami.

Pirat szukał przez chwilę czegoś w kieszeni.

– Już wiem, jakiej gry potrzebujesz. Ona sprawdzi, czy jesteś prawdziwym mężczyzną, ile jesteś, facet, wart i pokaże ci to całe gównno...

– Co takiego?

– Świat, którego tak się boisz! Masz! I schowaj dysk pod kurtkę – powiedział Pirat. – Tu

nie jest bezpiecznie.

Chłopiec spoglądał na oszkloną wiatę przystanku. Na szybie będącej ekranem komputera przeskakiwały cyfry pokazujące zbliżającą się godzinę przyjazdu. Był to jedyny bezpieczny widok ze znanego mu świata, reszta to strach i ciemność.

– Mój autobus! – krzyknął nagle chłopak.

– Jutro, tutaj! Widzisz zakratowane okno? Tam mieszkam! – krzyknął Pirat.

Chłopiec odbiegł i nawet się nie obejrzał. Patrzył za nim przez chwilę, sądząc, że należy do kolorowego świata spoza ściany blasku. Nic dziwnego, że bał się i nie rozumiał rzeczywistości widzianej od strony podwórka. Chłopak był dobrze ubrany i czysty, miał przecież rodziców i może forsiastego ojca na posadzie. Co taki wie o przejściach pomiędzy jednym a drugim niemożliwym do życia światem. Pirat zaklął, nienawidził świata, w którym nie było dla niego miejsca. Zanurzył się w betonową klatkę schodową, idąc ze schyloną głową, coraz wolniej, aż doszedł do okutych blachą drzwi, zza których dobiegało wycie uwięzionej kobiety.

Otwierał wszystkie zamki bez pośpiechu – wychodząc musiał mieć pewność, że ona nie ucieknie. Wycie z łatwością przedostawało się przez okute blachą drzwi, ale już go nie irytowało. Do najgorszego można się przyzwyczaić, tak sobie mówił, lecz coraz wolniej dobierał klucze. Musiał jednak sięgnąć po ostatni.

Siedziała na parapecie okna, mając ramiona przewleczone przez kraty i ręce zaciśnięte na prętach tak mocno, że zbieleły jej palce. Zachłannie wpatrywała się w świat na zewnątrz, jakby przez oczy tam się przelewała. I wyła.

Wszedł na palcach, naprawdę bezszelestnie, lecz usłyszała – nie uchem, lecz zmysłem nieznanym normalnym ludziom. Chciał od razu usiąść przy komputerze i założyć okulary, by się przenieść w lepszy świat i uciec od tej kobiety. Stał o krok od zbawczego fotela, lecz była szybsza, jak zawsze, lepsza od człowieka o instynkt i prędkość. Umilkła. Wciąż mocno trzymając się krat, obróciła ku niemu ogoloną głowę i spojrzała zmęczonym wzrokiem.

– Oglądałam świat – powiedziała gorączkowo. – Już go rozumiem.

– Tak? – zapytał, posuwając się w stronę fotela.

– Nie rób tego! Nie usiądziesz, póki nie skończę mówić.

Wiedział, że będzie gadać bez końca, podniecając się własnymi słowami do szaleństwa i oślinienia się, a potem zapragnie seksu, a jeśli on, zmaltratowany psychicznie i niechętny, odmówi, rozpęta się piekło. Scena powtarzała się regularnie, ta chora psychicznie kobieta była jego żoną. Dawno temu, kiedy choroba przyćmiła dopiero połowę mózgu, wymogła na nim przyrzeczenie, że nie odeśle jej do rodziców. Przysiągł wtedy, gdyż jeszcze wierzył w możliwość wyleczenia nie wiedząc, jakim ciężarem będzie dotrzymanie słowa. Stało się żelaznymi kajdanami, lecz obietnicy, mimo to, nie łamał.

– Świat jest chaosem – rzekła ze swadą. – Popatrz na te mrówki w dole, na ulicy. Ich życie zostało pozbawione sensu, wykonują zabawne ruchy, drepczą w tę, a potem w tamtą stronę, zaaferowani, muszą załatwić nadzwyczaj ważne sprawy przed końcem świata, który wkrótce nastąpi. Jakie znaczenie ma zakup wózka dla dziecka, czy dostarczenie szefowi na czas rozliczeń, jeżeli jutro wszystko stanie się nieważne?

– Ludzie – rzekł, patrząc na komputer – muszą żyć tak, jakby koniec świata nigdy nie miał nastąpić.

Ta uwaga zapaliła mu w mózgu światło. W białym blasku zobaczył koszmar własnej sytuacji i wybuchł w nim wściekły i nagły gniew.

– Tak! – wrzasnął. – Znowu masz rację! Widzisz inaczej, niż zdrowi ludzie, schizis w twojej psychice łamie świat na dziwne kawałki i pokazuje odmienny obraz i sens. Jutro

koniec świata! Prawda! Dlaczego mam sobie odmówić ostatniej przyjemności?! Przecież jutro koniec świata! Mam słuchać twych bredni, schizofreniczna idiotko?!

Zwieszała się z kraty coraz niżej, trzymając się prętów z całych sił, myślał, że skoczy mu na głowę jak zwierzę, chory mózg nie odpowiedział jej, co by się wówczas wydarzyło, może nic, przecież już dawno przestał ją bić. Wytrzeszczała coraz bardziej swoje wielkie zielone oczy, czarny kapelusz z oddartą górną częścią zsunął się na brwi. Kiedyś urzekła go ta zieleń i blask, który potem hipnotyzował i zniewalał, więc ją bił, bo nie mógł znieść jej szaleństwa i własnej udręki. Próbował w ten sposób odciosać z siebie cierpienie, potem to zrozumiał. Szara sukienka podarta na szmaty podsunęła się do góry, wychudłe ciało, niby szkielet, wzbudzało w nim niechęć, kiedyś to była łania, zupełnie niedawno, lecz odsuwała talerze, posądzając go o chęć otrucia. Pewnie, chciałby to zrobić, myślał o tym, a jej chory i nadwrażliwy mózg miał zdolność odczytywania pragnień, które przecież nie były zamiarem czy planami i nigdy by w czyn się nie oblokły. Pamięć o wielkiej miłości, ech, to była cudna dziewczyna, wstrzymywała czyny złe. Uświadomił sobie teraz, że cały czas miała nad nim przewagę, a litość zamieniła go w niewolnika. Nie, już dosyć.

I cóż by osiągnęła, rzucając mu się na głowę, ale miało ją, więc musi być szybszy, dosyć, jakże wielką czuje odrazę – do niej i do tego wszystkiego naokoło. Wyciągnął ramię w stronę ekranu, drugą ręką nałożył okulary i słuchawki, w pół sekundy system się uruchomił. I już nie ma ani jej, ani tego pokoju, odjazd! Szybciej! Program się otwiera, a w nim wirtualny, piękny świat, który jest trójwymiarowym obrazem ze światła.

Szybko podał parametry ulubionej sytuacji i rzeczywistość tworzyła się fragment za fragmentem. Najpierw pojawił się złoty piasek i Pirat stanął na plaży. Gdy spojrzał przed siebie, tam zarysował się brzeg oceanu i jego kontury wypełniły się zieloną wodą. Kiedy się odwrócił i spojrzał na ziemię, wyrosły na niej pionowe laski białych hoteli. Dodał jeszcze kilka rzeczy dla dopełnienia dekoracji, a więc kawiarnię na tarasie, ocienioną liśćmi palmy, ciepły klimat, lekki wietrzyk i łagodną porę późnego popołudnia. Od pewnego czasu spotykał się ze swą kochanką zawsze w takim miejscu, będącym rajem pięknych, bogatych i beztroskich, gdyż tak właśnie tam się czuł.

Rozejrzał się wokoło, na plaży leżał złoty piasek, nietknięty stopą, ocean poruszał się miarowo i obojętnie, białe punktowce odbijały blaski. Było pusto.

– Synergy! – zawołał. – Chodź do mnie!

Musiła minąć sekunda, zanim sylwetka jego wirtualnej kochanki wkomponowała się w obraz. Wbiegła ciągnąc za sobą wiry kolorów, które powoli rozmywały się i nikły. Czyżby przywlokła je z innego wirtualnego świata, rozbiwszy go wpierw na widmo?

Na jego widok rozświeciły się jej oczy.

– Dlaczego mnie wołasz o tak niezwyklej porze?

– Już nie mogłem wytrzymać!

– Czego?

– Życia, które wszyscy nazywają realnym.

– Co stało się impulsem do podjęcia tej decyzji?

– Nagle spostrzegłem brak sensu we wszystkim.

– W czym?

– W ludzkiej dreptaninie, w strukturze świata. To wszystko jest głupie i pozbawione wartości, a realność – to tylko złuda.

– Tylko rzeczywistość wirtualna jest prawdziwa?

– I ty, która nadajesz jej ciężar i prawdę.

– A już myślałam, że złamałeś kij swojej strażniczce i zburzyłeś więzienie.

– Nie mówmy o tym. To jest brzydkie i głupie. Chcę zapomnieć.

Synergy odwróciła głowę ku szosie ciągnącej się wzdłuż plaży, a na niej pojawił się czerwony samochód Alfa Romeo.

Po chwili już siedział za kierownicą położywszy na niej opalone i muskularne ramiona. Wiedział, że wygląda jak milioner na wakacjach, a jego odzież pochodzi z najdroższych domów mody. Był piękny, bogaty i beztroski, obok siedziała promienna kobieta, która da mu szczęście.

Pojechali do olbrzymiej budowli w kształcie walca, która była dioramą i gdzie mógł przeżyć dodatkowe przygody. Weszli do środka. Ściany zostały podzielone na sektory, każdy z nich pokazywał wielowymiarowy, inny fragment kolorowego świata. Wolno mu było wybierać według upodobań. Zaczął od wycieczki do Londynu, wystarczyło zrobić krok w kierunku ściany i już stał na Piccadilly przed pomnikiem Erosa, gdzie na schodkach siedzieli turyści z całego świata, rozmawiając wieloma językami. Wymalowana dziewczyna w czarnych pończochach pozowała do zdjęć, przebrana za jakąś glapindę z młodzieżowej podkultury, stanowiła atrakcję opłacaną przez miasto. Wziął Synergy za rękę i przeszedł tunelem na drugą stronę do drogiego japońskiego sklepu, który nazywał się „Sogo”. W dziale kosmetycznym wybierali perfumy wachając wąskie paski papieru, ale nie zdecydowali się na kupno, gdyż na wszystko było ich stać. Potem poszli w dół przez Haymarket i skręciwszy w lewo przez ulicę Cockspur znaleźli się na Trafalgar Square, by w galerii obejrzeć dzieła sztuki.

Syci wrażeń, opuścili wirtualną rzeczywistość, pod tytułem: raj kulturalnych turystów i przeszli do następnego, który był rajem silnym mężczyzn i przygód w stylu filmów westernowych. Płynęła tu burzliwa rzeka, jak w dawnej Ameryce, a oni siedząc w kanoe pokonywali prąd i walczyli z wirami. On stał się dzielnym mężczyzną, a ona jego wierną towarzyszką w długiej brunatnej spódnicy i w majtkach do kolan. Jego skórzane ubranie wydzielało woń juchtu i krwi bizonów, na które polował, rzemyk od kapelusza wbijał się w krtań, a strzelba objęła łopatki. Gdy pokonali, oczywiście, dzikość rzeki, przybili do brzegu, wysiedli i rozpalili ognisko, by się napić kawy z cynowych kubków. Czuł zapach dymu i dalekiej prerii, z lasu dobiegały ćwierkania ptaków i co chwilę przez zarośla przedzierały się groźne zwierzęta, które ich nie zaatakują.

Potem powrócili swym Alfa Romeo nad brzeg oceanu, a gdy słońce zaszło, rozłożyli fotele, by kochać się czując słodki oddech fal. Wieczorem przeszli na taras do kawiarni, gdyż zawsze taką sceną lubił kończyć swój pobyt w krainie szczęścia. Synergy siedziała naprzeciwko przy stoliku, dopijali wino, zazwyczaj unosił szklankę i uśmiechnąwszy się powracał do świata, tym razem jednak pozostał dłużej, gdyż poczuł się w pewien sposób wolny, wyłamawszy się spod tyranii chorej żony.

Właśnie zamierzał zaproponować Synergy kolejną scenę, gdy nagle pojawiła się przed nim przejrzysta przegroda. Przesunął po niej palcami, była szklana i twarda, stała od ziemi aż do miejsca, gdzie mógł dosięgnąć wspiąwszy się na palce. Spojrzał zdziwiony na swą przyjaciółkę, ale już jej nie było.

– Synergy! Wróć!

Nie odpowiedziała.

– Pokaż się, odpowiedz!

Wirtualny świat milczał, a więc zerwał się od stolika i zbiegłszy z tarasu popędził nad morze, ale zatrzymała go przegroda, więc zawrócił, potem skręcił w przeciwną stronę, zapora stała na każdej z krawędzi tego świata, oddzielając go od rzeczywistości, w której przebywała Synergy. Zrozumiał, że wirtualność została rozbita na dwie odrębne subwirtualności i do

tamtej przestrzeni nie może się przedostać.

– Synergy, dlaczego mnie uwięziłaś?

Nie odpowiedziała i się nie pojawiła. Musiał więc zapytać program.

– Czy mogę wyjść?

– Nie!

– Co mam robić?

– Czekać, aż program cię wypuści.

Dlaczego program uległ zmianie? Znalazł odpowiedź od razu, włączył się do gry o nietypowej porze, Synergy nie siedzi w tym momencie przed swoim komputerem, z pewnością nie ma jej w domu, przed wyjściem włączyła system. Poczł się wyszydzony, gdyż uświadomił sobie, że kochał się z programem, a jego kobieta nie dzieliła z nim westchnień i uniesień, widocznie miłość nie była dla niej ważna, skoro dowolnie nią sterowała. Zastanowił się, czy postąpiła tak po raz pierwszy, czy też robiła to wielokrotnie? Co więcej, może od samego początku miał do czynienia wyłącznie z układem jedynek i zer? To pociągnęło za sobą pytanie o tożsamość Synergy: kim jest, gdzie, i w jaki sposób? Od dawna przestał ją pytać, czy istnieje rzeczywiście, gdyż nigdy nie poddawał w wątpliwość faktu jej bytu fizycznego. Ona była realną kobietą, przyjął to za pewnik i fundament świata. Na początku zabawy powiedziała, że pracuje na uniwersytecie w Kuala Lumpur, podawała mu wiele informacji, wszystkie okazały się prawdziwe, więc po pewnym czasie przestał ją sprawdzać.

Ich kontakt wynikał ze zwyczajnej pomyłki w sieci, zaczęli ze sobą rozmawiać, potem grać, wirtualny świat robił się coraz ciekawszy i wciągał ich w swoją głębię. Każde z nich opowiedziało drugiemu swoje życie, zwierzyli się z tajemnic i stali się sobie duchowo niezbędni, miłość nastąpiła jako oczywisty rezultat porozumienia. Aby mogli więcej i ciekawiej przeżywać, Synergy zaczęła mu przysyłać najnowsze gry, po krótkim okresie wahań, zaczął je sprzedawać, co stało się dla niego stałym źródłem utrzymania. Idylla trwała ponad rok, aż do tego dnia, gdy wykroczył poza ustaloną regułę i zobaczył fundament z piasku.

Thukąc się w klatce wirtualnej przestrzeni, wołał swą ukochaną po imieniu i walczył z podejrzeniami, gdyż zrozumiał, że zaprogramowała intymne doznania. Chciał masochistycznie znaleźć dowód jej oszustwa i zdrady i dowiedzieć się, czy Synergy istnieje fizycznie. Podejrzewając, że włożyła do gry więcej informacji, niż dotychczas spostrzegł, zapytał o to program. Uzyskał od razu odpowiedź, a rzeczywistość wirtualna uległa zmianie, wpadł głębiej w subrealność. Program pracował, lecz Pirat nie miał na niego żadnego wpływu.

Scena uległa zupełnej zmianie. Zobaczył, że cofnął się o wiele lat i wszedł w swoją własną przeszłość. Była to więc subrealność temporalna. Oglądał miejsce, w którym się znalazł. Był w kabine statku kosmicznego i miał na sobie mundur elewa, skończył właśnie akademię i został wysłany w rejs, będący egzaminem dyplomowym. Otrzymał jako temat zdeintegrowanie niewielkiej sztucznej planетки. Miał po prostu ją odnaleźć, sprawdzić, czy nie przebywają na niej istoty humanoidalne lub człekopodobne, oraz czy nie została zarażona życiem roślinnym, rozsiewanym grecką metodą panspermii po całym Kosmosie.

Przypomniał sobie teraz, że nie zaszła pomyłka, rzeczywiście, otrzymał taki temat i zadanie, ale nie wie, jak wyglądał jego mundur. Ten, który ma na sobie wygląda nadzwyczaj elegancko, na ramionach złote epolety, przy kieszeniach lśnią guziki i olbrzymie medale, a wokół czapki kilkakrotnie owija się złoty sznurek. Co chwilę spogląda w lustro wiszące w kabine i podziwia swoje odbicie, będąc tak sobą zachwycony, że z trudnością może się

skoncentrować na sterowaniu.

Planetka okazała się luksusowym kurortem, gdzie kiedyś przyjeżdżali bogacze, by się zabawić, ale miejsce wypadło z mody, gdyż znaleziono bardziej ekscytujące rozrywki i właścicielowi nie opłacało się wynajęcie towarzystwa przewozowego, w celu dostarczenia wszystkiego na Ziemię.

A było co przewozić! Wokół kwadratowego placu stały restauracje, kasyna, hotele i sklepy, wszystko sownie zaopatrzone. Towary leżały na półkach poukładane tak równo, jakby sprzedawca przed chwilą je uporządkował. Ceny oszałamiające, gatunek luksusowy, tylko wszystko nieco niemodne, tak, nikt by tego nie kupił! Bardziej się opłacało wynająć studenta z dezintegratorem.

Najpierw poszedł do restauracji i wziął z półki kilka butelek, po czym usiadłszy z nogami na stoliku odkorkował pierwszą. Pił na zmianę, co było potem, nie pamięta, wie, że wygarniał towary z półek i mierzył ubrania po kolei, polewał się perfumami, jadł gotowe dania z podgrzewaczy, potem grał na maszynach, rozbijał je, a kiedy wysypywały się banknoty, napychał nimi kieszenie i torbę. Nie wie, jak długo to trwało, ale nigdy tak sobie nie użył. Czuł się rewelacyjnie, mimo kaca giganta, a wszystko przestało być ważne: dyplom, przyszła praca, stanowisko. Użyć, do przesyty, po dziurki w nosie, więc spał na stosach jedwabnych koszul, wycierał się damską bielizną, rozrzucał kartony najlepszych papierosów i rozbijał skrzynie koniaków. Zdecydował się wrócić wówczas, gdy zrobił się wokół niego za duży szum i właściciel zagroził wysłaniem straży. Umieściwszy torbę z pieniędzmi w bezpiecznym miejscu, puścił więzkę z dezintegratora i wrócił na Ziemię. Przez całą drogę trzeźwiał i układał kłamstwa, ale i tak go wywalili ze szkoły. Wcale się tym nie zmartwił, było z czego żyć i używać, nie odmawiał sobie niczego, w knajpach chełpił się przygodami w Kosmosie, opowiadając niestworzone historie o swojej odwadze w walce z człekom ludami, barwnie opisywał, jak elektroniczną maczetą wyrąbywał sobie drogę przez roślinopodobną dżunglę, i stawiał wszystkim, czym zyskał ksywę „Lord”.

Kiedyś spotkał dziewczynę o zielonych oczach i już nie mógł wyzwolić się spod jej hipnotycznego spojrzenia. Wpadł w cudowną baśń, która po pewnym czasie zamieniła się w ordynarną prozę mieszczy i kokoszki, zadręczającą go rosnącymi żądaniami nowych mebli, dywanów, aparatury. Był rozliczany z każdej godziny nieobecności i z każdego kieliszka, wymówki o wydany grosz doprowadzały go do wściekłości, były to przecież jego pieniądze i miał prawo puszczać je na prawo i lewo. Potem zaczęła się jej choroba, a pieniądze stopniały, sprzedał meble i dywany, by opłacić lekarzy, nic nie pomogło, wpadł w biedę, kombinował, staczając się na margines, pracować nie miał siły, ani ochoty, przyzwyczajony do braku obowiązków przez wiele lat używania.

Tu program się skończył. A więc tak go Synergy widziała, jako lenia i utracjusza, chełpliwego kłamczucha, drobnego kanciarza, zadowolonego z siebie zadufka i kłamcę. Być może miała rację, nie pamiętał tamtych wydarzeń we wszystkich szczegółach, przecież odczytała istotę jego charakteru i drobiazgi nie czyniły różnicy. Poczuł się oszambowany, a w tym momencie ta kobieta zadała jego miłości własnej nowy cios. Pojawił się bowiem napis: „Model wykonano na potrzeby Zakładu Psychologii Wojny Uniwersytetu w Kuala Lumpur. Analizowany obiekt nie nadaje się do funkcjonowania w świecie trójwymiarowozmysłowym, gdyż nie ma odpowiednich cech i nie odczuwa potrzeby ich akwirowania”. A więc to było tak! Posłużył jako materiał do doświadczeń. Co więcej, jego kochanka nie istniała jako realna kobieta.

Dopiero teraz zrozumiał treść, jaką niosło jej imię, „synergy”, to przecież oznacza zespół cech! Z pewnością nad analizą jego charakteru pracował zespół naukowców, sztab

specjalistów, a plik w komputerze zawierający jego dane podpisano tym hasłem. Cierpiał, został oszukany, ale nie mógł jej przekląć, mimo wszystko była dla niego jedyną, gdyż duchową i wyobrażeniową prawdą, wymyślonym faktem rzeczywistym, gdyż tylko takie uznawał za realnie istniejące i jedynie takich potrzebował.

Usłyszał nagle, że ktoś płacze. Ktoś wzywał pomocy i wszedł w jego świat. Każdy gracz kierował się etyką i nie odmawiał pomocy. Musiał więc opuścić tę subrealność. Zapytał program, czy zostanie wypuszczony.

– Tak!

– Czy są jakieś warunki?

– Są.

– Jakie?

– Nigdy nie będziesz mógł powrócić.

Pirat utracił wszystko. Stał chwilę z opuszczoną głową, a potem poprosił program o skasowanie subrealności. Stało się to zbyt szybko. Podejrzewał, że osoba wzywająca pomocy przebywa w subrealności emocjonalnej, więc tam się dostał poprzez swój komputer omijając realność i powrót do swego pokoju.

– Kto płacze? – zapytał Pirat.

– To ja! – odezwał się dziewczęcy głos.

– Pokaż się!

– Nie mogę!

Pirat to rozumiał. Mało kto pokazywał własną twarz, większość uczestników gry nakładała maski i tała osobowość.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem.

– Opisz miejsce.

– Jestem w czymś ciasnym.

– Czy są tam meble, przedmioty?

– Prawdopodobnie tak!

– Opisz je!

– Nie potrafię.

– Dlaczego?

– Nie widzę ich.

– Czy możesz to miejsce opuścić?

– Nie!

– Z jakiego powodu?

Milczenie. „Jest uwięziona, chyba ślepa” – pomyślał Pirat. To nie była gra, ale wołanie.

– Wyciągnij rękę i dotknij najbliższego przedmiotu.

– Nie mogę!

– Nie wolno ci, zakaz?

Brak odpowiedzi. Pirat słyszał tylko ciężki oddech. – Czy potrzebujesz pomocy?

– Tak! Chyba tak!

– Dlaczego nie wiesz?

– Nic nie wiem, niczego nie rozumiem. Chyba się obudziłam, ale przedtem mnie nie było.

– Właśnie się narodziłaś?

– Co to znaczy? Boję się.

– Gdzie jesteś, kim jesteś?

– Ty mi to powiedz.

- Brak danych.
- Dziwne słowa, nie rozumiem.
- Powiedz słowo, które znasz.
- Ciemność.
- Coś jeszcze?
- Głód.
- Czy jesteś człowiekiem?
- Nie rozumiem!

Głos nagle się oddalił. Pirat słyszał, że ta istota mamrocze, nadpływały zatarte frazy i zbitki słów, jakby dysk uległ defragmentacji, coś spowodowało błędną komunikację pomiędzy nim, a sterownikiem.

– Podaj mi swój zamiar, gdyż cię nie odnajdę! Chcę ci pomóc, gdzie jesteś, mów! – Pirat wrzeszczał z całych sił, wiedząc, że bez kodu jej nie odnajdzie. Był bezsilny, poczuł straszną irytację i nie mógł wytrzymać tego, że ktoś cierpi, a on siedzi i nie może zrobić nic. Nagle poczuł ból. Przestał wołać i próbował zgadnąć, czy wrażenie powstało w świecie wirtualnym i jest złudą, czy też pochodzi z rzeczywistości fizycznej. Ponowny, ostry atak. „Ręka, z pewnością od niej dochodzi impuls”. Był to ból fizyczny i prawdziwy. Zerwał okulary, bryły kształtów runęły na wzrok, przez chwilę był w szoku, wreszcie spojrzął przytomnie: jego żona klęczała obok fotela. Trzymała mu rękę wbijając w nią paznokcie, wargi obnażyły dziąsła, zęby szykowały się, by kasać. Spojrzał na swą dłoń, widział półkoliste, krwawe ślady.

Szybki cios wolnej ręki był odruchowy. Trafił klęczącą w czoło, upadła na plecy.

Oszołomiona, szeroko otwartymi oczyma patrzyła nieruchomo w sufit. Klnąc zerwał się z fotela, nawet nie popatrzył na leżącą, odruchowo uniósł dłoń do ust i wyssał ranę. Potem nie obejrawszy się za siebie wypadł z pokoju i popędził kamiennymi schodami w dół.

Noc. Chłopiec był jedynym pasażerem autobusu. Jechał złocistą, ostro oświetloną klatką. Łagodnie go bujały ergonomiczne fotele, poręcze podpierały usłużnie łokcie, a terapeutyczna muzyka sączyła się słodko. Powinien czuć się dobrze, absolutnie jest bezpieczny pod opieką czułych maszyn, wszak technika dobro ludzi ma wpisane w kod etyczny, lecz gdy zdarzy się wypadek, aparaty postępują rutynowo, żywy nigdy nie ma szans.

Poprzez czarne szyby przyglądał się reklamom Ulicy Głównej, gdzie ostatnio, w czasie nagłej koniunktury, otworzono wiele sklepów. Wyłożono je marmurem, sztucznym (jasne chyba) i złociste miały klamki. Przednią ścianę oszklono, a za nią był inny świat! Tu piętrzyły się gadgety grając i gadając, auteczka jeździły i fruwały aeroplany. Piętro za pięciem, cuda, wszędzie cuda, piękno, luksus szal! I ekrany, wszędzie ekrany, na nich urodziwe twarze i przygody, robokopy w srebrnych hełmach, dzielne ramba, frankensztajny krwawe, zieloni z Kosmosu, niebiescy z przyszłości. To następny, złudny świat. Było ich tak wiele, przechodziły jeden w drugi, jak przejryste sześciany Eschera, nakładały się na siebie, niby kartki świetlnej folii. Gdzie pomiędzy nimi wykreślić granice, gdzie postawić słup miłowy? Jak odgadnąć, w którym miejscu kończy się realność i zaczyna złuda? Żyjąc przecież trzeba wiedzieć, gdzie jest brzeg przepaści, by nie zrobić kroku w przód. Każdy ma zobaczyć linię pęknięcia, czyli schizis, która dzieli świat, by pozostać po właściwej stronie.

Chłopiec mieszkał daleko, aż na drugim końcu Miasta, które nie kończyło się nigdzie, tak przynajmniej sądził. Opuścili już lśniące centrum i wjechali w mieszkalne dzielnice. Za oknami była martwa ciemność brył. Widział tylko kształty i zarysy, wielkie złomy czarnych bloków, punkty światła i czasami jakiś ruch. Sam, w zamkniętej klatce, zależny od bezwzględności maszyn, jechał godzinami, monotonna przez wrogą, tępą pustkę. Bał się,

nie znał Miasta, było zbyt duże i trudne. Czuł się uwięziony i samotny, lecz na zewnątrz czaił się olbrzymi i straszny świat. Wszystko było nieodgadnione i wzbudzało lęk.

Kiedy wreszcie wysiadł w swojej dzielnicy, maszyna miękko pojechała dalej, lśniąc i bujając się w powietrzu.

Zatrzymał się na chwilę przed ciemnym budynkiem. Wokół stały identyczne bloki, ich frontowe ściany podzielono na galerie, ciągnęły się piętro za pięciem wzwyż, od ulicy zasłonięte tak, że gdy szedłeś, nie widział cię nikt. Do każdej klatki schodowej prowadził długi podjazd niby tunel, mogłeś jechać albo iść, oddzielony murem, mogłeś zemdleć albo wyć, gwałcić, ćpać, byłeś wolny, byłeś sam, kogo to obchodzi, nie widział cię nikt.

Stał wciąż patrząc na kwadraty czarnych szyb, nie paliły się w nich światła, wszyscy ludzie pracowali, by opłacić swą prywatność i przywilej życia w bloku. I okna jego mieszkania były ciemne, westchnął. Matka pracowała. Jak zawsze, jak co dzień, dzisiaj jedenaście godzin, jutro też. Zostawiała mu pieniądze na wydatki i jedzenie. A on chciał je wydać! I to na co, na grę! Jaki wstyd, jakie przewinienie!

Wjeżdżając windą spojrzął w lustro, aby sobie spojrzeć w oczy. Tak oto wygląda przestępca, długie włosy zasłaniają oczy, kryjąc rozbiegany wzrok. Gry są drogie, brakowało im pieniędzy na rozrywkę, nigdy by od matki ich nie dostał, kupił bez jej wiedzy od pirata. Ciężko zarobione pieniądze przepuścił na głupstwo, krzywdę zrobił matce, co powie, kiedy prawda wyjdzie na jaw? Jest świnią, jest bydlakiem, patrzył w lustro, lecz musiał odwrócić oczy.

Może przestępstwo nie jest tak wielkie, jak sądzi. Zgromadził pieniądze na grę oszczędzając. Nie kupował witamin i przedmiotów wymaganych przez szkołę. Miał więc prawo wydać je na rozrywkę. Jednakże matka przeznaczała te pieniądze na różne paraleki, bez nich młody organizm nie może prawidłowo się rozwijać w obecnych czasach. Chronią skórę przed skutkami zatrucia, a kości przed próchnieniem, które wywołuje syntetyczna żywność. Szkoła wkrótce się upomni o wszystko, czego żądają przepisy. A gdyby nie zapłacić Piratowi? Przecież to przestępca. Matce zależy na rozwoju intelektualnym i psychicznym jedynaka, prawda? A rozrywka jest niezbędna. Na zakup gry w sklepie nie byłoby go stać. Znajdował wykręty, mimo to czuł się podle i wiedział, że zrobił coś złego. Jeżeli nie zapłaci, nie dostanie następnej gry. Przynależał sobie, że zagra jeden, jedyny raz, odniesie dysk i nie kupi żadnej innej.

Stał teraz na środku ciemnego pokoju, trzymając w ręku złoty krążek, patrzył przez matowe okno na miasto, wszystko było trudne, a on czuł się tak samotny. Bał się rozpocząć grę, wiedział jednak, że musi to zrobić szybko, zanim matka wróci. Spróbuje, tylko raz, pierwszy i ostatni. I wciąż czując ciężar swych win i samotności, pociągnął sznurek od żaluzji, zrobiło się zupełnie czarno, stał jeszcze chwilę niepewnie, z krążkiem w ręku, po czym wsunął go w szczelinę CD i usiadł naprzeciwko na fotelu, jego ręka powoli sięgnęła po okulary, wyglądały jak hełm, był to controller 3D, dający wrażenie trójwymiarowości. W którąkolwiek stronę odwróci głowę, wirtualny świat podąży za nim. Wsunął dłonie w rękawice, by odbierać wrażenia. Jego zmysły będą doznawać wrażeń, odczuje kształty, fakturę i ciepło. Może zacząć.

Zaniepokoił się, czy Pirat właściwie rozkodował oryginalną grę. Aby to zrobić, trzeba wejść w jej strukturę i odnaleźć miejsce, w którym wyświetli zapytanie o podanie hasła. Tam umieszcza się na dysku program o nazwie „crack”, który należy uruchomić przed grą. To spowoduje, że na chwilę przed pojawieniem się zapytania o hasło, zostanie ono usunięte i komputer powie: „naciśnij jakikolwiek klawisz”. Ryzyko polegało na tym, czy Pirat znalazł wszystkie zakodowane miejsca. Gdyby to mu się nie udało, uczestnik nie może skończyć gry,

mimo że tak wiele w niej zrobił.

Dysk już tkwił w szczelinie i system pracował. Nagle pojawiły się obrazy i na zmysły chłopca runęły doznania. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czuł, z czym to porównać, może z odjazdem narkotycznym, może z seksem? Żadnej z tych rzeczy jeszcze nie próbował, zaraz chyba eksploduje. Czyżby krzyczał? Lecz to było tylko demo, pokazanie możliwości.

Właściwa gra była jeszcze przed nim.

Miasto nie spało nigdy. Pirat szedł Ulicą Główną patrząc na wystawy. Tu się wychował i znał każdy kąt, mimo że wszystko zmieniła ostatnia hossa, odróżniał bezbłędnie wirtualną ścianę od prawdziwej. Stały wszędzie, wszyscy ludzie brodzili w światłach i złudnej rzeczywistości, której nie było, tylko on dostrzegał prawdę, tak przynajmniej sądził. Gigantyczny blok supermarketu znajdował się naprzeciwko domu, gdzie mieszkał półlegalnie Pirat i światła reklam dzień i noc zalewały mu okno. W tym domu handlowym ruch panował przez całą niemal dobę. Klienci, zarówno zachodniaki, jak i mongoloidy, czy azjatole, upodobali sobie to miejsce, z powodu częstych wyprzedaży, więc przy stoiskach słyszało się wszystkie języki, ale tylko te niższe, z podgrupy demolingwistycznych. Ruchliwa masa gadała głównie nacjonalem, częściej chamską ludolingwą, prawie nigdy nie słyszało się eleganckiego transgalaxu, pogardliwie nazywanego galaxolem przez niedouczonej hołotę. Zajadali się potrawami zmakdonaldyzowanymi, o smaku tektury i wyglądzie drewnianych klocków, mających wartość odżywczą sprasowanych trocin. Wszyscy jednakże byli z siebie dumni, czując się twórcami komercyjnej cywilizacji.

To miejsce stało się centrum handlowym od momentu, gdy zmienił się właściciel. Nikt nie znał tożsamości tajemniczej osoby, ale dekoracje i reklamy urządzono z wielkim, wręcz wschodnim przepychem, a wnętrze nieustannie modernizowano.

Okoliczni mieszkańcy obserwowali inwestycje z niepokojem, gdyż dla wszystkich stało się jasne, że kapitalista wykupił okoliczne tereny, zamierzając rozszerzać terytorium, co w tym ustroju było procesem niemożliwym do odwrócenia. Poczuli się zagrożeni, spodziewając się, aż w każdej chwili zaczną ich wyrzucać z domów, które kiedyś należały do Miasta. Wiedzieli, że nie dostaną w zamian żadnego lokalu, przeniosą ich na przedmieścia, do seryjnych baraków, odlewanych z gotowych, plastikowych form, gdyż w tych wspaniałych czasach zwyczajni ludzie nie mieli szansy przeciwstawienia się potędze pieniądza, ponieważ prawo jak zwykle chroniło Eurounię, a państwo rozsypało się na początku XXI stulecia. Lecz gdyby znali właściciela, może zorganizowaliby akcję protestacyjną, choćby dla korzyści moralnych. Pieniądze jednakże były anonimowe i abstrakcyjne, istniały w postaci kolumn cyfr w komputerach gdzieś w bankach, więc człowiek nie mógł pokonać tego fantomu.

Olbrzymie budowle ze światła i kolorów zbudowano na trotuarach przed sklepami.

Tworzyły teatr jak ze snu, stały tam postacie w kostiumach z różnych epok i krajów, damy i kawalerowie, zwierzęta i pojazdy, upozowane w grupach. Każda z nich wyrażała coś innego i opowiadała fabułę, więc kroczył jak przez krainę baśni, disnejlend komercji. Spodobało mu się zamrożone wesele, gdyż wszystkie postacie były srebrzyste, jakby pokryte cukrowym szronem. Przy długim stole siedziała panna młoda w welonie i pan młody w czarnym cylindrze, wokoło goście, nieruchomi i senni, nad pełnymi półmiskami. Światło gasło, wszystko znikało, po chwili blask wyczarowywał je znowu. Była to wystawa sklepu sprzedającego ślubne stroje.

Wiedział, że jeżeli wrzuci do maszyny monetę, dekoracja się uruchomi i postacie zaczną odgrywać fabułę. Może panna młoda zarzuci mu ręce na szyję? Ale on był Piratem, więc dokonał pewnych manipulacji ze slotem i monetą owiniętą w folię. Postacie zaczęły się poruszać, grała słodka muzyka. Pirat usiadł przy stole przed pełnymi półmiskami, unosiła się

z nich wonna para, panna młoda nachyliła się ku niemu i powiedziała: „Kocham cię”. Tu spektakl się skończył, należało wrzucić następną monetę, wstał więc od stołu.

Usłyszał stukot dalekich kół pociągu. Był to towarowy, ciągnący swe wagony przez pół Europy, która dawno zlała się w jeden organizm gospodarczy. Odzież szyło się w Polsce, zawsze biednej i źle rządzonej, gdyż tu tani był człowiek nazywany siłą roboczą, mimo czerwonego rodowodu tego określenia. Farbę dawały Niemcy, mające dobry przemysł chemiczny, len dostarczała rolnicza Ukraina, a przędzalnie, jak zwykle celujący w tej dziedzinie, Anglicy.

Pirat znał wszystkie odgłosy. Nasłuchując stukotu kół liczył, odginając palce po każdej dziesiątce i szedł ulicą w górę zanurzając się co chwilę w olbrzymie świetlne światy, stojące na chodniku. Była to jego zabawa, wielka przygoda, którą sobie fundował co noc, wyjście–wejście, input–output, realność–rzeczywistość wirtualna, aż wreszcie się pomieszały, stało się to dawno. Teraz świat zmysłowy był poza umysłem.

Zobaczył srebrzystą klatkę straganu wiszącą nieco nad trotuarem. Sprzedawca, najwyraźniej chinonippończyk, dreptał mechanicznie od jednego końca do drugiego i przecierał owoce układając je w foremkach. Tup, tup – trzy kroki, tup, tup – z powrotem, dwa okrągłe ruchy ręki wokół plumfrutu, najmodniejszego owocu, który właśnie wprowadzano na rynek.

Pirat wiedział, że owoce są prawdziwe i zapragnął poczęstować się swoim pirackim sposobem, oszukawszy automat broniący dostępu do tej dekoracji. Sprzedawca wyglądał jak realny mongoloid, nawet poruszył ustami. Pirat podszedł bliżej, a wtedy słowa osadziły go w miejscu. Dostrzegł również nieruchomy cień oparty o ladę. Mówił, mając usta wpółotwarte, jego gałki oczne stały nieruchomo, był absolutnie sztywny, więc Pirat znowu pomyślał, że jest grafiką zrobioną naprawdę dobrze.

Przeszedł przez wystawę reklamującą drobny sprzęt sportowy, więc stał tu model podwórka, a dzieciaki biegały i rzucały piłkami lub ganiały na deskorolkach. Świetlna kula właśnie przeleciała ponad głową cienia mocno go oświetlając, blask przeszedł przez cienkie kimono.

To, co Pirat pod nią zobaczył spowodowało, że stanął na trzęsących się nogach. Słyszał rozmowę poprzez wrzawę podwórka, wolałby nagle ogłuchnąć! Oprzytomniał i dał nura pomiędzy biegające dzieciaki. Nie zatrzymał się, aż dopiero po drugiej stronie jezdni, ale musiał zobaczyć, jak się rozwinie scena przy straganie, to mogło okazać się ważne, więc się ukrył za dekoracjami w szparze pomiędzy prawdziwymi murami. Na trotuarze stała olbrzymia dekoracja przedstawiająca fortecę. Wysoko, ukryci za blankami, strzelali żołnierze gwardii ubrani w niebieskie mundury. Wokół murów krążyli na koniach atakujący ich Indianie. Kolorowe postacie poruszały się, z luf bez przerwy wystrzelały białe obłoczki, była to reklama spodni dżinsowych „Mustang”.

„A więc oni istnieją” – uświadomił sobie Pirat. Dotychczas tylko o nich się słyszało.

Słowa, które do niego dochodziły pozwoliły mu nagle zrozumieć to, co oglądał nocami, gdy włączył się po mieście. Górną część budynków zajmowały gigantyczne ekrany podające dziennik przez 24 godziny na dobę. Stacji było setki, rządowe, europejskie, niezależne, komercyjne, i wiele innych, każda pokazywała fragment świata, od innej strony. Mało kto umiał to wszystko złożyć do kupy w spójny obraz całości, który można było zrozumieć, Pirat nawet tego nie próbował, ale teraz usłyszał słowa stanowiące klej do poszczególnych obrazków.

Na tamtej stronie świata, chyba w Chinoazji, zbudowano wielkie fabryki, oczywiście, pirackie i nielegalne. Oficjalnie wytwarzały bakelitowe mydelniczki, pokazywano je na

wystawach międzynarodowym komisjom, które przybywały, by skontrolować profil produkcji. Świat był wspaniale urządony i doskonale zorganizowany, funkcjonowało mnóstwo komisji pod auspicjami, przewodnictwem i patronatem. Elegancy dplomaci i komisjanci, konwersujący wytwornie językiem trans-ziemskim, niezrozumiałym dla plebsu, nieustannie podróżowali po całym świecie, dając zarobić liniom lotniczym, hotelarzom i domom mody, nie wspominając o wytwórcach gustownych, narodowych pamiątek. Musieli przecież sprawdzić, czy fabryka mleka w proszku i odżywek dla niemowląt, znajdująca się za drutami kolczastymi, w strefie, gdzie na 10 km wystawiono tablice: „Stać, ani kroku dalej. Strzelamy bez ostrzeżenia”, produkuje gazy bojowe zakazane w konwencji sprzed trzeciej, czy zaledwie czwartej Wojny Azjochińskiej. Potem musieli się spieszyć na następny samolot, by zobaczyć na własne oczy, na ile naruszono prawa człowieka, gdy Kurdowie wymordowali trzy tysiące Turków lub odwrotnie. Ta naoczność i dokładne doliczenie się co do jednej tony odciętych rąk i nóg miały podstawowe znaczenie, gdyż ludzka pamięć uwielbiała przekręty. Jeszcze w XX wieku mówiono o zbrodniach faszystów w Oświęcimiu, lecz kiedy wreszcie zmarł ostatni pamiętliwy pejsaty, którego ośmioro tylko, czy dziewięcioro bachorków, plus ciotki, pociotki i wujkowie przeszli przez komin prosto do nieba, może nawet czwórkami, świat odetchnął i zaczęto przebąkiwać, że obóz znajdował się na polskiej ziemi, wszakże, a ten kraj szczyci się setkami lat pogromów i nietolerancji oraz kołtunerii. Już w połowie XXI wieku udowodniono, że cała ta historia była jedynie motywem literackim i biblijnym, wymyślonym przez Żydów, mających swój prywatny kontrakt z losem. Oświęcim został wykupiony przez IgeFarben, produkującą świetne cyklony, czyli gazy do ogni sztucznych. Obóz przerobiono na wielkie sanktuarium wszystkich katolików, którzy po wielu drakach z wyznawcami Mojżesza mogli się nareszcie zjednoczyć przeciwko wspólnemu wrogowi. Świat był również wykształcony, toteż uczeni szpiedzy kradli licencje w krajach Zachodu, a po przeciwnej stronie, gdy glob powiesiło się do góry nogami, gdzieś w Nipoazji, wytwarzano dyski w olbrzymich i supernowoczesnych zakładach produkujących oficjalnie mydelniczki. Pirat to wszystko nagle zrozumiał, gdy usłyszał słowa dotyczące wyników produkcji fabryk mydelniczek, a jakże. Domyślił się, że musiała nastąpić wielka wpadka na międzynarodową skalę, złodziejstwo dotychczas sankcjonowane przez państwo utraciło protektorów, ziemia zaczęła się palić pod stopami, więc trzeba szybko zwinąć biznes, by nie podpaść pod kontrolę komisjantów.

Znalazł kolejne potwierdzenie swego odkrycia. Po przeciwnej stronie jezdni, na ścianie kasyna „Eldorado” zaczęto wyświetlać dziennik, kolejny niezależny. Dostrzegął majestatyczne naszywki na kołnierzach mundurków azjatołskich policjantów. Panowie władza wkraczali do wielkich supermarketów i zgarniali do plastikowych worków na śmieci lśniące pudełka z komputerowym software. Dotychczas produkowały je fabryki sławnych mydelniczek, obecnie coś się porąbało w międzynarodowych układach na osi Wschód–Zachód i z powodu dura lex, co zawsze przekładano jako durne prawo, zaczęto niszczyć pięknie prosperującą produkcję przynoszącą niewyobrażalne dochody. Ciekawe, komu to miało się opłacić? Pirat nie interesował się wielką polityką, gdyż czuł się małym robaczkiem, świat nie był dla niego, ale dla wielkich biznesmenów i bizneswomanek zlinkowanych z telefonem komórkowym i samochodem, nagle o to wszystko otarł się i zaczął rozumieć. Właśnie z „Eldorado” wyszła głośno rozmawiająca para. Nie musiał słyszeć słów, po swobodnym sposobie stąpania od razu poznał, że są na pewno westerniakami. Mężczyzna stawiał duże kroki, a kobieta była człowiekiem i nie wisała u ramienia swego pana. Zatrzymali się przed straganem, gdyż zachciało się im owoców o drugiej piętnaście nad ranem, dlaczego niby nie, są wolnymi ludźmi i mają walutę. Przebierali w pudełkach

naradzając się, sprzedawca stał otumaniony, a cień nie wiadomo kiedy wtopił się w ciemność. Rzuciwszy banknot i nie przyjąwszy reszty, poszli przed siebie wypluwając pestki naokoło, dlaczego nie, są wolni, a sprzątaczkom również trzeba dać zarobić. Kroczyli oświetleni reklamami towarów, na które było ich stać, nieustraszeni, najlepsi obywatele świata. Azjatoł zaczął pakować towar w pudła i zwijać dosłownie kramik, by pójść tam, gdzie mógł się spokojnie zastanowić nad środkami zaradczyimi.

Uwagę Pirata wciąż przyciągał dziennik telewizyjny, wyszedł ze szczeliny i stanął nieruchomo udając figurę dekoracji, gdyż nosił dzinsy i kurtkę. Obserwował wydarzenia na ekranie wielkim jak ściana. Oto sławny Plac Wieczystego Ukojenia. Mimo upływu lat i krwi ludzie wciąż lubią na nim manifestować, lecz przez ten czas oddziały szybkiego reagowania zdążyły naprawdę świetnie się wytrenować. Teraz demonstrantów nie ma, ale cóż to, podjeżdżają wielkie ciężarówki wypełnione czarnymi workami na śmieci. Policjanci z naszywkami niezmiennie dostojnymi wyrzucają je na stos. Samochody podjeżdżają sprawnie, policjanci pracują dzielnie, ciekawe, jakie to śmieci są godne miejsca na Placu Wieczystego Ukojenia? Stos szybko się powiększa, już spoza niego nie widać miasta.

Pirata pochłonęła telewizja, gdyż dostrzegł nagle sens oglądanych scen. Czuł się bezpieczny stojąc nieruchomo jako figura. Żaden z jego wyostrzonych zmysłów nie ostrzegł go, że w ciemności skrada się cień. Nie zdążył niczego usłyszeć.

Demonstracja możliwości gry została zakończona. Chłopiec czekał, program się ładował, jeszcze kilka stuknięć w klawisze, wybranie opcji. Dłonie ukryte w rękawicach z synapsorami czekały w napięciu, lekko drżąc, oparte o brzeg biurka. Jaka będzie gra? Czy się wyświetli? Chłopak zacisnął zęby, ostatnie sekundy czekania!

Pragnął przeżyć przygodę, coś wielkiego i oszałamiającego! Nudne życie miało szary kolor i toczyło się z monotonną rutyną: szkoła, pusty dom, nieobecna matka. Świat wydawał mu się ciemny i straszny, chciał więc uciec w inną rzeczywistość, w sztuczną realność, gdzie wszystko było możliwe.

Czego oczekiwał? Na ekranie w wirtualnej rzeczywistości pojawiła się klawiatura, zaczął więc pisać: „Pokaż cały świat”. Miał wielki apetyt i postanowił rozpocząć od syntez. „Co wybieram?” Pojawiły się okienka dialogowe zawierające tematy. Przebiegł je wzrokiem i wybrał, teraz kliknięcie i już, odjazd! Głębie, głębie. W trójwymiarowym ekranie pojawiły się wewnętrzne przestrzenie, ich dna się rozwiewały i jedna przechodziła w drugą.

Wparł się mocniej w fotel, czuł, że wpadnie w szalejącą śrubę, w wirujący lej. Sześciiany, olbrzymie, przezryste pudła mieniające się tęczą kolorów, wypłynęły z głębi i rzuciły mu się w twarz jak węże, rozpryskując się przed źrenicami. Gra pokazała swe możliwości. Enter, teraz. „Informacja!” pomyślał chłopiec. „Nieograniczona ilość. I cała dla mnie!” Kochał informatykę i ją rozumiał, a teraz pozna inne jej możliwości. Poczuł się mocniejszy i pewny siebie.

– Wchodzę do gry – powiedział wyraźnie.

– To jest gra interaktywna.

– Co to znaczy?

– W programie istnieje pewna liczba sytuacji.

– Jaka?

– Duża. Coś innego ma tu znaczenie, fakt, że ty możesz wpływać na sytuacje i rozwiązywać je według własnej woli.

– Rozwój wydarzeń zależy ode mnie?

– Tak, o ile grasz sam z programem, ale i on daje ci sporo opcji, możesz wyjść z sytuacji lub ją rozwijać na różne sposoby, lecz wydarzenie wymusi decyzje.

- Ogranicza mnie rozwój wydarzenia?
- Ale nie w decyzjach, podejmujesz je samodzielnie! Skutki zależą od liczby opcji w programie. Rzeczywistość wirtualna symuluje życie.
- Jest niebezpieczna i tajemnicza?
- Kieruje się wewnętrzną logiką, ma pewne prawa, nie możesz ich przekroczyć ani zanegować.
- Daj przykład.
- Nie mogę. Opis werbalny to jak nauka pływania na sucho, musisz wejść w konkretną sytuację. Zaczynasz?
- Nie odpowiedział, trochę się jednak bał.
- To tylko symulacja, obrazy ze światła, barw, komputerowa grafika.
- Ile razy mogę żyć?
- Ile chcesz, sam określasz liczbę.
- A jeżeli stracę już ostatnie?
- Wówczas musisz zakończyć grę.
- To znaczy, przegrywam.
- Jak w życiu. Ale w grze to nie boli. Wkładasz po prostu następny dysk.
- Zaczę ambitnie, chcę mieć tylko jedno życie.
- Zaczynasz?

Milczenie.

- Nie chcesz sprawdzić, nie masz odwagi?
- Dobra, dawaj pierwszą sytuację, zobaczę, ile jestem wart.
- Wybierz temat.
- Nno, nie wiem.
- Czy masz jakieś problemy, które chciałbyś zsymulować?
- Czuję się samotny i wyizolowany, nie mam dziewczyny.
- Dam ci.
- Czy ona będzie istniała rzeczywiście?
- Naciśnij enter!

Chłopiec powiedział sobie wyraźnie, że bierze udział w grze i wchodzi w sztuczny świat, wyraźnie oddzielony od prawdziwego życia.

– Naciśnij enter!

Pirat poczuł pod plecami skórzane oparcie, a na oczach opaskę. Usiłował podnieść rękę, by ją zdjąć, lecz miał na nich kajdanki, więc zrezygnował. Wieźli go samochodem, jechali bardzo szybko. Nie padło ani jedno słowo, ale domyślał się, w jakim języku mogło zostać wypowiedziane. Tempo jazdy bardzo go niepokoiło, nie chciał myśleć o tym, co się z nim wkrótce stanie. Jaką zginie śmiercią? Jeżeli ma umrzeć, niechaj szybko go zabiją. Bał się tortur, wiedział, że w tej dziedzinie odznaczają się ogromną pomysłowością. Usiłował o tym nie myśleć, ale wyobraźnia nasuwała mu straszne sceny, przypominał sobie wszystko, co o tym wiedział i przeczytał. Wschodnie tortury! Czy może istnieć coś straszniejszego?! Bardzo pragnął się dowiedzieć, dokąd go wiozą. Gdyby jakoś to odgadł, może istniałaby szansa ocalenia? Zmusił się, by zaprzestać myśleć o czekającym go bólu, zamknął oczy, choć w niczym to nie pomogło.

Nagle usłyszał turkot kół pociągu, odgłos dobiegał od prawej strony, odgadł więc, w jakim wiozą go kierunku. Przypomnił sobie dziecięce zabawy, polegające na odgadnięciu z zamkniętymi oczami, w jakich odcinkach czasu pociąg uderza o spojenia szyn. Potem wystarczyło wykonać w pamięci kilka obliczeń. Pociąg jechał powoli. Pirat skupił się i mimo

szumu silnika samochodu usłyszał równomierne burczenie motorów pociągu, znał i lubił ten dźwięk.

Gdy wychodził nocami na samotne spacer, niosło go w pobliże torów, marzył o podróżach i słuchał cienkiego śpiewu powietrza, tęsknego świstu zbliżającego się pociągu. Zawsze stał długo i jego mózg szybko pracował, skojarzywszy fakty i wrażenia, przeliczał, toteż teraz zrobił to samo. Nie potrzebował wiele czasu, by stwierdzić, jaki pociąg, skąd nadjeżdża, ile ma wagonów i z jaką prędkością zbliża się do stacji. Jego nadzwyczajna inteligencja umożliwiła mu wyjście poza własne ciało i ogarnięcie sytuacji.

Cienki świst się wzmógł. „Teraz!” – nakazał w myśli. Pociąg rozpoczął hamowanie.

„Wiem, gdzie jestem!” – ucieszył się i mimo że miał zasłonięte oczy, widział każdy dom i okna wystaw niby tęczowe bańki krajobrazów wykonane ze światła i kolorów grafiki komputerowej. Nagle tak przyspieszyli, że powietrze chyba wtłoczyło szyby i wyobraźnia Pirata przestała nadążać, zgubił drogę, więc uruchomił wszystkie zakresy inteligencji, ale powrócił strach, więc walka z nim zajmowała część umysłu.

W tym momencie stukot kół dobiegł od lewej strony. Słuchał zdziwiony, mimo to pewny, że nie ulega złudzeniu. „Co się dzieje? Co oni zamierzają?” Pytania skierowały jego uwagę na właściwe tory, pokonał na chwilę strach i wtedy zdołał wyłowić uchem cienki świst powietrza i jęk stalowych szyn wchodzący w niższe tony. Pociąg się oddalał. „Jasne!” – zrozumiał od razu. „Zawróciliśmy?”. Jechali tak chwilę, próbował odgadnąć cel przyspieszania, hamowania i powrotów. „Przecież mogli od razu mnie zastrzelić!” W tej chwili stukot kół zaczął się ponownie zbliżać, tym razem od prawej strony. Siedział nasłuchując, aż się przekonał, że nie popełnił pomyłki. Narastający świst powietrza, upojny śpiew przestrzeni, mógł oznaczać tylko jedno, oddalali się, samochód zawrócił. Wozili go tą samą drogą, na północ i na południe. Subtelne i ulotne informacje dopływające strzępkami do zmysłów, złożyły się na obraz Ulicy Głównej. Wcale jej nie opuścili i, co więcej, odgadywał, że są blisko jego domu. Niewiele manewrowali, jeździli i czas mijał. Dlaczego chcieli, by sądził, że został wywieziony z miasta? Czyż nie jest obojętne, w jakim miejscu i o której godzinie strzelą mu w tył głowy? Czy już zaczynają go psychicznie torturować, wyrabiając przekonanie, że będzie umierał oddzielony od znanych miejsc, na pustym i głupim terenie, na śmietniku, gdzie kartony rozwłóczy wiatr? Byli mistrzami i osiągnęli cel, nie chciał umierać czując wrogość obcej przestrzeni. Zrobiło mu się gorzko w ustach, przełknął ślinę, ale smak pozostał.

Nagle szarpnięcie, jeden sprawny chwyt i jest na zewnątrz samochodu, nie zauważył, kiedy zahamowali, gdyż truł się rozmyślaniami o śmierci. Teraz trzeba odrzucić refleksje, uaktywnić zmysły i niech jego inteligencja stanie się znowu ostra. Czuł, że go wloką trzymając pod ramiona tak, by nie dotykał podłoża, ale odbierał inne wrażenia. Słyszał szurgoty, skrzypnięcia, chwycił zapachy i wonie, a całą powierzchnię skóry pokrywały receptory analizujące najdrobniejsze poruszenia powietrza, zmianę temperatury lub wilgotności. Na jego zmysły spadała nieustająca ulewa doznań niedostępna dla innych, a wybitna inteligencja scalała je w obraz.

Z lewej strony dopłynęła smużka zapachu smażonego tłuszczu, z przeciwnej, ciężki zapach futer, pomieszany z wonią lukru i wanilii, a postrzeganie paranormalne przyniosło wrażenie czystości szkła, śliskości metalu i szorstkości kamienia. Już wiedział, gdzie się znajduje i dokąd go wloką. Właśnie minęli automaty z mikrofalówkami wydającymi dania z kurczaków, cukiernię, gdzie sprzedawano olbrzymie, lecz gliniaste pączki i widział w wyobraźni futra na manekinach w sklepie ze skórami. Znajdował się dokładnie przed wielkim domem towarowym, po prawej stronie były okna jego mieszkania. Dlaczego chcieli go oszukać

wożąc tak długo z zawiązanymi oczami? To jasne, nie powinien znać miejsca, w którym się znajduje. Ale z jakiego powodu? Nie umiał tego odgadnąć, przyczyny musiały być bardzo poważne.

Usłyszał szmer liści i zapachniała kora drzewa, mijali więc okno jego mieszkania, nienormalna żona kuciała na parapecie trzymając się krat. Zazwyczaj wyła lub pochrząkiwała lekceważąc z wysokości głupie zachowanie przechodniów, teraz siedziała podejrzenie cicho. Przypomniawszy sobie, że ją uderzył! Chyba nie zabił? Wybiegł szybko nie zwracając uwagi, może padając uderzyła się w głowę? Przecież to nie był mocny cios, po prostu machnięcie, ale dlaczego ona milczy? Poczuli się łajdakami, wiedział, że jest słaba i chora, mimo to rozbujał rękę. Trzeba kontrolować własne odruchy, zgadza się na opinię kanciarza, pirata, ale nie chce zostać zabójcą. Dać w szczękę facetowi, a zabić żonę to zupełnie inna kategoria czynu i człowieka.

Jego stopa zaczęła się na obluzowanej płycie chodnikowej. Wiedział, że zaraz wejdą przez tylne wejście. Po chwili zrobiło się chłodniej i zapachniało kurzem starych dywanów, byli w podziemiach domu towarowego służących jako magazyn, wkładał się tu razem z chłopakami, kiedy miał dwanaście lat, nigdy nie zapomni tego odoru stęchlizny. Teraz wciągali go schodami do góry i znalazł się w dużej sali, o zapachu plastyków i nowości. Instynktownie zacisnął powieki, zrobił to we właściwym momencie, gdyż szarpnięciem zerwano mu z głowy opaskę. Mimo opuszczonych powiek zmysły powiedziały mu, że pozostawiono go samego w dużym pomieszczeniu, gdzie jest niewiele sprzętów. Czekał, aż oczy przyzwyczają się do światła, a potem ostrożnie je otworzył. Wszystko się zgadzało. Na środku wokół lśniącego stołu stały fotele. Całą ścianę naprzeciwko zajmowały rozsuwane drzwi, intensywnie czarne i lakierowane. Na obu połowach odbijał się złotym kolorem olbrzymi smok z otwartą paszczą. Połykał słońce.

Pirat zrozumiał, że jest w kwaterze głównej mafii, która mieściła się w podziemiach wielkiego domu towarowego, który stał naprzeciwko okna jego mieszkania. Mafia wiedziała o nim wszystko, on tylko tyle, co skojarzył z rozmowy przy straganie i z dziennika. Uspokoił się nieco, ale trzymał swe zmysły w pełnej gotowości. Długo czekał, nic się nie działo, ale na pewno był obserwowany, więc nadal pozostał w tym samym miejscu na środku sali, z lekko pochyloną głową, w rozkroku dla zaakcentowania wewnętrznego oporu. Niech wiedzą, że ma w dupie możliwość odpoczynku na zachęcającym fotelu.

Nagle usłyszał wycie. Znał ten głos. Ale tym razem brzmiał zupełnie inaczej, było w nim przerażenie! Niespodziewanie ucichł, tak jakby ofierze wepchnięto szmatę w usta. Chwilę panowała cisza, już miał nadzieję, że się pomylił, a wtedy znowu: aaa! Krótki jęk. Rozumiał, co się dzieje w jego domu, katowano żonę i co chwilę pozwalano jej krzyknąć. Nie miał wątpliwości, dlaczego oprawca tak postępował, chodziło mu o to, aby ten głos usłyszała jedna osoba: on sam, gdyż przypadkowi przechodnie nie zwrócą na krzyk uwagi. Cisza trwała bardzo długo i Pirat wiedział, że ciało tej chudej jak szkielet kobiety, jest systematycznie odbijane od kości, na pewno robił to spec w swym odrażającym, katowskim fachu. – Przestań, dosyć!” zawołał w myśli Pirat, lecz jakby w odpowiedzi odezwał się krzyk, straszniejszy niż poprzednie, tortura przekroczyła miarę. Trwało to bardzo długo, tak mu się przynajmniej wydawało. Stał, kołysząc się na nogach. Bardzo cierpiał, było mu żal chorej żony. Nie pamiętał udręki, którą przeżywał latami, lecz dni szczęścia, kiedy była zdrowa. Był pewien, że kiedy już ją zakatują, zabiorą się za niego. Przeżywał psychiczną torturę, właśnie o to zbrodnicom chodziło. Nie wiedział jednej rzeczy: dlaczego?

Smok namalowany na drzwiach pękł na pół i wsunął się w ścianę, w czarnym kwadracie wejścia stało w rozkroku dwóch mężczyzn w lśniących uniformach bez dystynkcji.

Jednocześnie postąpili krok do przodu, zrobili zwrot i stanęli przy ścianie niby heroldowie i strażnicy. Wykonywali ruchy z bezbłędną precyzją automatów, na pewno tak samo bezdusznie wypełniliby każdy rozkaz.

„Kurwa! Nie dam się!” pomyślał Pirat, ale przecież nie miał najmniejszej szansy.

Oni jednak nie podchodzili i żaden z nich nie zaszczyił go nawet pobieżnym spojrzeniem. Nie wiadomo kiedy do sali wszedł cień. Zrobił to tak szybko i bezszelestnie, że nie zauważył momentu, kiedy tamten przekroczył próg, więc przez chwilę wierzył w nadprzyrodzone możliwości wojowników ninja, którzy umieją znikać i w jednej chwili się pojawiać. Mężczyzna stał pomiędzy rozsuniętymi skrzydłami drzwi patrząc na Pirata skośnymi oczami, które były czarne i nieprzeniknione. Jego twarz, zupełnie nieruchoma, nie wyrażała niczego. Odziewało go czarne kimono, wizerunek złotego smoka na pewno znajdował się z tyłu, ale pleców szefa szefów wielkiej mafii Bractwa Ognistego Smoka, nigdy nie zobaczył nikt. Postąpił krok do przodu równie szybko i niedostrzegalnie jak przedtem, a wtedy drzwi zaczęły się zasuwac. Kiedy oba skrzydła znajdowały się blisko siebie, przez szparę wymknęli się dwaj strażnicy. Syn Smoka podszedł do stołu i usiadł na fotelu. Pirat musiał stać, co było jawną obelgą, na którą szef przecież mógł sobie pozwolić.

– Co usłyszałeś z naszej rozmowy?

– Tej przy straganie? – zdziwił się Pirat, nie sądził, że go wtedy dostrzegli. – Przecież nie rozumiem nacjonalu.

– Jesteś sprytny. Nie rozmawialiśmy w tym języku.

– Chyba nie w transgalaxie! Byłem pewien, że musi to być jakaś ludolingua!

– I dlatego zrezygnowałeś z podsłuchiwania? Oparłeś się więc na fałszywych przesłankach. To źle.

– Pewnych rozmów lepiej nie słyszeć.

– Ale temat znasz? – szef szefów mówił krótko i wpatrywał się intensywnie w twarz Pirata.

– Niby skąd?

– Mówią, że jesteś bystry.

Pirat myślał bardzo szybko. „Jakie znaczenie ma fakt podsłuchiwania? Chcą sprawdzić, jak szybko się uczy? Dobrze, dowiedzą się”.

– Dlaczego ją zabiliście? – zaatakował.

Milczenie. Nawet jeśli Syn Smoka nie spodziewał się tego pytania, jego twarz go nie zdradziła.

– Od samego początku znałem trasę, którą mnie woziliście!

– Nadzwyczajny talent, to cenne.

Pirat zaczął pojmować, o co im chodzi, ale wziął przykład z Syna Smoka, milczał.

– Obejrzałeś wiadomości?

– Telewizja jest usługą publiczną.

– Umiesz się wyśliznąć, to dobrze.

W tej chwili Pirat myślał naprawdę szybko i to na wielu poziomach, kojarzył drobne fakty.

– Można stać się nagle niewygodnym cudzoziemcem! Jakimś pogardzanym mongoloidem, czy azjolem! – wypalił pozornie bez związku z rozmową. Tę uwagę podszeptała mu intuicja. Syn Smoka milczał.

– Dzieje się tak wtedy, gdy obudzone systemy polityczne zaczynają załatwiać swe wielkie sprawy. – Był już pewien własnych przypuszczeń, mimo że tamten nie potwierdzał jego słów.

– Potrzebna jest nam trzecia siła.

Niezbyt jasno rozumiał sens ukryty pod tą wschodnią metaforą. Widział w telewizji, że

produkcja komputerowego software w Chinoazji stała się nielegalna, co wymusili Sprzymierzeni, więc policjanci wkroczyli do sklepów, by skonfiskować towar, to dlatego Syn Smoka napomknął o telewizji. W majestacie i dostojnych naszywkach zaczęło działać prawo, gdyż przestrzeganie go stało się nagle zgodne z interesem państwa. Z tego też powodu przestraszyli się tacy jak Syn Smoka, gdyż można ich deportować zgodnie z prawem i to jeszcze tej nocy. Czy do tego stopnia czują się zagrożeni, że szukają pomocy u małego pirata? Trzecia siła! Cóż to oznacza i czy to on ma pełnić tak wielką funkcję?

– Zabiliście ją, by mi pokazać, co ze mną zrobicie, gdy okażę się niezbyt bystry lub zbyt gadatliwy, tak?

Syn Smoka nigdy nie odpowiadał na pytania.

– Weźmiesz udział w negocjacjach.

W jednym błysku myśli zrozumiał i przeraził się naprawdę. Był małym kanciarzem, drobnym piratem, nędznym wydrwigroszem, a teraz musi wejść w wielki świat, pomiędzy dwie, ścierające się potęgi. To było dla niego zbyt ogromne, te bloki przemięła go na nieważny pył. Cóż im może przeciwstawić? Tylko inteligencję. Czy z tego powodu został wybrany? Przecież nie da rady, jest zaledwie małym człowieczkiem, który handluje kradzionymi gramami. Przypomniał sobie wycie katowanej żony, wiedział, że nie może się wycofać.

– Chodzi najogólniej o to, że Sprzymierzeni proponują kontrakt dając technologię w zamian za zamknięcie fabryk. Chcemy je przejąć. Nie można dopuścić do podpisania tej umowy.

– Cóż to wam da? Utraciwszy kontrolę i wpływy żadna ze stron nie zgodzi się na powtórne uruchomienie produkcji w waszych fabrykach.

– Ale negocjacje zostaną przerwane, kto wie, co będzie później, zyskamy czas i pole manewru.

– Chodzi o zadymę na wielką skalę, co? Zamieszanie kijem w tym kotle z wrzątkiem?

– My to nazywamy odwracaniem uwagi.

– Kiedy mam to zrobić?

– Tego nikt nie wie, sam masz odgadnąć – taka jest twoja rola i największa trudność tej sprawy.

– Ależ to niewykonalne! Tu trzeba geniusza, paranormalnych talentów! Dlaczego wybraliście właśnie mnie? – Pirat zaczął szybko krążyć po sali ogromnie podekscytowany. Wcale się nie krępował obecnością szefa, gdyż nie umiał opanować wybuchu.

Syn Smoka patrzył czarnymi oczami, które niczego nie wyrażały. Kontrolę uczuć i odruchów opanował w mistrzowskim stopniu, rządził sobą i dlatego mógł swobodnie manipulować innymi. Pirat, natomiast odbierał wrażenia zbyt intensywnie, w jednej chwili rejestrował setki bodźców, był lotny i błyskotliwy, stał się im potrzebny właśnie z powodu tych cech. Ale one powodowały, że kierował się współczuciem i litością, toteż zawsze musiał przegrywać w starciu z takimi automatami, jak Syn Smoka. Nie miał jednak wyjścia, musiał wziąć udział w tej grze.

– Chciałbym opatrzeć jej rany – rzekł zatrzymując się nagle.

– Musisz odrzucić przeszłość, skoro ona cię niszczy.

– Mam zobowiązania moralne.

– Świat jest niemoralny.

– Kieruję się sumieniem.

– Świat nie ma sumienia.

– Postępujemy więc zgodnie z logiką. Skoro wypełnię zobowiązania wobec żony, to i was

nie zawiodę.

– Jeśli o nas chodzi, nie masz wyboru.

– Mogę zdecydować się na śmierć.

Syn Smoka siedział chwilę w milczeniu, a potem wykonał nieznaczny gest. Pirat pomyślał, że przegrał wszystko i teraz go zabiją.

Dłoń chłopca obleczona rękawicą drgnęła.

– Już! Enter!

Znalazł się w dziwnym miejscu. Naokoło stały olbrzymie wielokątne bryły na cienkich, toczonych słupkach z lśniącego metalu. Wszystkie budowle były ze sobą połączone rękawami zrobionymi z pierścieni. Gładkie ściany, przypominające pokrywy odlewane z formy, miały geometryczne kształty, a spinały je szkliste, ułożone równoległe do siebie haki. Prostokątne klawisze pokrywały powierzchnie, a na nich znajdowały się ideogramy, takie jak na ikonach na ekranie komputera, które informowały o funkcji: „otwórz”, „wejdź”, czy „mów”, i wiele innych, i po tym chłopiec poznał, że są to domy. Spojrzał dalej, naokoło rozciągała się zupełnie pusta przestrzeń, tu i ówdzie usiana kamieniami, a na pylistej powierzchni odcinały się ślady butów, które znał każdy człowiek. Podniósł więc głowę i zobaczył glob we mgłach i miękkie linie kontynentów. Zrozumiał, że jest na Księżycu.

Było cicho. Nie turlały się ziarenka piasku, powietrze stało nieruchomo, przez niebo nie przebiegał wiatr. Domy milczały, szkliste powierzchnie odbijały blaski. Nie uruchomiło się żadne z okienek funkcyjnych, nikt nie wydawał poleceń, nie istniały tu pragnienia. Formy trwały nieruchomo w idealnym kształcie, czas się nie poruszał, nie istniał wcale, nie było życia, nie znano tu oddechów ani ludzi. Dla kogo zbudowano księżycowe miasto pod wklęsłym, cichym niebem?

Chłopiec czuł się niepewnie, więc postąpił kilka szybkich kroków w dół ulicy, by odejść dokądkolwiek, ale przecież nie mógł kierować grą, musiał czekać na rozwój sytuacji i decyzje programu. Idąc do krawędzi miasta, słyszał własne kroki dzwoniące jak szkło. Ulica nagle się kończyła kątem tak dokładnym, jakby go obrysowano przyłożywszy ekierkę, poza nią leżało tylko pole pokryte pyłem.

Usłyszał nagle dziwne dźwięki. Ktoś niewidzialny mamrotał słowa, stanął więc i nasłuchiwał. Bał się, ale mógł tylko czekać. Zza zakrętu dobiegły szmery, chyba ktoś się zbliżał. Chłopiec przysunął się do ściany, lecz nie oparł się o nią plecami.

W rytm lekkich kroków dopłynęła prosta melodyjka, cienki głosik śpiewał dziecienną piosenkę, powtarzając słowa refrenu. Dziecko w pustym mieście na Księżycu? Spoza krawędzi domu wybiegła dziewczynka, podskakując beztrąsko i pewnie, jakby to miejsce dobrze знаła. Czyżby to dziecko wracało do domu?

Zobaczyła go. Czarne buciki zastukały gniewnie o asfalt. Uniosła brodę i niezadowolona, oglądała go. I chłopiec badał ją wzrokiem, wciąż czując niepokój: jasne, równe loczki, niebieskie guziczki oczu, czerwona sukienka, a na nogach białe skarpetki wyłożone na czarne buciki, po prostu zadbane dziecko. Czy naprawdę? Wyglądała niesamowicie na tle pustej ulicy, od tyłu światło prześwietlało ją jak szkło. Cekał na jej pierwszy gest, gdyż nie wiedział, jak reagować. Może jest aktywnym biotechnosem, produktem techniki szczepionej na tkankach, i zacznie się przemieniać w potworoida? Takich istot było wiele, produkowało je każde laboratorium, ale w zwyczajnym mieście mało się ich widywało, te istoty egzystowały na obrzeżach cywilizacji i ludzkiej świadomości. Bywały bardzo niebezpieczne, nikt nie miał nad nimi kontroli. Cofnął się i czekał w napięciu.

Uniosła szybko ramię, z małej dłoni wystawał ostry przedmiot lśniąco metalicznie, i krzyknęła ze złością.

- Nie zbliżaj się, bo cię zabiję!
- Stoję! – podniósł ręce uspokajającym gestem. – Nie mam broni!
- Wyłącz się! – powiedziała głosem dorosłej osoby.
- „Już się mutuje” – przeraził się chłopiec.
- Odchodzę – rzekł spokojnie i nieco się cofnął.
- Ostrzegam po raz ostatni! – jej głos był ostry i zdecydowany. – Zaraz podejmę akcję!
- Chciał grać. „Nie dać się zabić!”

Przeciwniczka podniosła rękę i trzymany w dłoni pointer skierowała prosto w jego głowę, promień uderzy go między oczy. Mógł skoczyć i ją zabić lub wyrwać przyrząd, ale postąpił jeden krok do tyłu i ukrył się za budynkiem. Czerwona, wąska smuga przemknęła obok, na wysokości jego oczu.

Szłyśt! Szłyśt! Szybkie promienie goniły go, uskoczył za budynek.

– Wyłącz się! – wrzasnęła. Głos był taki sam jak przedtem, najwyraźniej nie ulegała dalszej przemianie, słyszał stukanie obcasików i drobne kroczki, gdy biegła bezradnie pomiędzy budynkami szukając go, poczuł się znacznie pewniej.

- Słuchaj, mała...
 - Nie jestem dzieckiem!
 - A kim?
 - Nie twoja sprawa.
 - Humanoidka?
 - Bezczelny!
 - Należysz do podhominidów?
 - Jak śmiesz?!
 - Technomonster, najwyżej zooid paraintelektualny!
 - Jestem Homo sapiens sapiens!
 - Ziemianka?
 - Oczywiście!
 - Mózgowiec?
 - Dostyc tych obelg!
 - Skoro mówisz prawdę, i jesteś istotą inteligentną, dlaczego nie możemy się porozumieć?
 - Rozejm, wylaż!
 - Nie będzie pstryk i szłyśt?
 - Nie!
 - Słowo Ziemianki Homo sapiens sapiens mózgowca?
 - Słowo – powiedziała to spokojnie i rozsądnie.
- Wyszedł z budynku i stanął bardzo blisko dziewczynki.
- Dlaczego chcesz mnie wykluczyć z gry?
 - Przeszkadzasz mi.
 - W czym?
 - Mam tu coś do załatwienia.
 - Co za problem, pomogę ci.
 - Musisz opuścić tę grę – zaczęła poważnie – gdyż nigdy się nie wyzwolę!
 - Kto cię więzi?
 - Ja sama!
 - Gdzie?
 - W sobie! To freudyzm!
 - Nie rozumiem!

- W rzeczywistości mam dziewiętnaście lat.
- I ja też!
- To trudny wiek – rzekła poważnie.
- To prawda! Mam problemy ze... – urwał nie chcąc się przyznać. – Zapętlilem się.
- I ja mam kłopoty!
- Jakie?
- No, wiesz... Z chłopakami.
- Jakież oni mogą sprawiać kłopoty? – zdziwił się, nigdy dotąd takich rzeczy nie dostrzegwał, kobiecy punkt widzenia mocno go zaintrygował.
- Porzucają mnie, a ja cierpię. Już nie mogę tego znieść. Czuję brak własnej wartości. Nie mogę odnaleźć samej siebie. Jestem podzielona, niepełna. Nie chcę tak żyć! Pragnę mieć stałego mężczyznę!
- Ja... – zaczął. I on chciał mieć jedną dziewczynę. – Co to znaczy freudyzm? – wykręcił się od komentarza.
- Zygmunt Freud był lekarzem i odkrył w ludziach istnienie podświadomości.
- No i co to daje?
- Mamy problemy, lecz nie umiemy ich nazwać.
- O, tak!
- Ani znaleźć ich przyczyn.
- Więc?
- Gdyż one często powstają w okresie dzieciństwa.
- I tak je długo pamiętamy?
- W ogóle nie zdajemy sobie z nich sprawy.
- No to z głowy!
- Ale one są!
- Skoro o nich nie wiemy, co za problem?
- Leżą w ciemnej szufladzie naszej podświadomości, a my czujemy, że coś nas gnębi i męczy. A co gorsza, nie potrafimy tego określić!
- Dlaczego!
- Gdyż problem nie przeszedł do umysłu i nie został nazwany, lecz nadal kryje się w ciemności.
- Jak go wydobyć?
- Trzeba się cofnąć w okres dzieciństwa.
- Właśnie poprzez symulowanie sytuacji?
- Tak! Przeszłam wstecz wiele lat, ale...
- Nie nazwałaś własnego problemu. Błękitne, świetliste tęczówki zadrgały z niepokojem. Usta się zacisnęły, lecz nic nie powiedziała.
- Znasz to miejsce?
- Tak... Spędziłam tu dzieciństwo.
- Ale dlaczego tu tak pusto?
- Bo ja nikogo nie pamiętam! Absolutnie! Co mam zrobić?
- Musisz chyba cofnąć się jeszcze głębiej w przeszłość i wkroczyć w inną sytuację.
- Rozumiesz teraz, jak mi przeszkodziłeś?
- Wybacz.
- Muszę wejść w inną opcję.
- Wreszcie cofniesz się do okresu niemowlęstwa. Ucieczka w głąb siebie nie rozwiąże obecnych problemów, gdyż jest to myślenie analogowe, nieprzystawalne do współczesności.

– Co to znaczy?

– Myślenie liniowe, nieskończenie dokładne, cofasz się, znowu robisz krok do tyłu, i tak bez końca.

– Więc jak trzeba myśleć?

– Digitalnie, skokowo, jak komputer.

– Potrafisz?

– Znam się na komputerach – odwrócił się twarzą do ściany. – Można by odczytać nieco informacji z tych ikon – nacisnął kilka prostokątów. – Dokonamy skoku w twoją podświadomość.

„Zagrozenie życia biologiczno–inteligentnego” – odezwał się mechaniczny nieco głos, widocznie komputer był powolny.

– To musi być stary Pentium 986 DX16, na pewno z początku XXI wieku.

Dotknął kolejną ikonę. „Duży wypływ energii. Pentium, obliczaj szansę na przeżycie równą $4.56757820E-10$ ”.

– Tu się coś stało. Czy niczego sobie nie przypominasz?

– Chyba tak. Mój ojciec nas opuścił.

– Cała księżycowa kolonia była tuż przez katastrofą, a ty pamiętasz tylko sprawy osobiste.

– Widocznie najbardziej je przeżyłam.

– No i masz rozwiązanie swego problemu freudowskiego. Z dzieciństwa zapamiętałaś jedną rzecz, że mężczyźni odchodzą od kobiet.

„Brak tlenu” – usłyszeli, gdy chłopiec nadal programował ścienny komputer. – „Pentium, rozpocznij kalkulacje”.

– To był taki wolny rupieć, że wszyscy na pewno zginą, zanim obliczy czas, w którym zabraknie ludziom powietrza.

Dziewczynka wybuchnęła głośnym płaczem, ale chłopiec się nie odwracał, nadal zajmował się komputerem.

– Co się stało? – rzucił przez plecy.

– Pamiętam. Pakowaliśmy rzeczy, matka wszystko rzuciła na podłogę, nie było już czasu. Chwyliła mnie za rękę. Tam był jeszcze ktoś!

– Twój ojciec powrócił, by was ratować.

– Miałam brata.

„Ewakuacja rozpoczęta. Przechodzić do służby.”

– Tak było. Czekaliśmy jako ostatni, kobieta z dwojgiem dzieci miała małe szanse, by się przepchać. Ludzie walczyli. „Brak tlenu. Koniec życia biologicznego.”

– Matka włożyła mi brata w ramiona i popchnęła mnie, sama została z tyłu, nie zdążyła.

„Koniec życia biologicznego.”

– „Jesteś mną!” – zawołała moja matka.

– Chodziło jej o to, byś zastąpiła bratu matkę, miałaś zaopiekować się małym dzieckiem. Wszystko ci się pomieszało.

Milczała.

– A co z bratem? – zapytał cicho.

– Utraciłam go.

„Śmierć biologiczna.”

– Przestań! – krzyknęła na chłopca.

Komputer umilkł, miasto znowu stało ciche. Odsunął ręce od ikon i odwrócił się do niej. Przed nim stała kobieta w niemodnej sukience.

– Co ci się stało? Nie jesteś chyba...

Kobieta spojrzała na siebie.

- To nie ja zrobiłam, nie mam wpływu na tę przemianę.
- Jesteś teraz...
- Jak mam wyjść z tej postaci?
- Wpadłaś jeszcze głębiej we własną podświadomość! Coś tutaj dzieje się z programami.
- Chcę się wydostać!
- Znam chyba przyczyny twego uwięzienia w grze, są dwie. Zaprogramowałem ścienny komputer i ta rzeczywistość nie chce nas uwolnić.
- Dlaczego?
- Są dwie, ogólnie mówiąc, rzeczywistości: sensualna i wirtualna. Ale dzielą się w pionach, w dół i w górę, i takie są kierunki przejść. Wpadliśmy po prostu w jakąś emocjonalną podwirtualność.
- Moje silne emocje spowodowały unieruchomienie programu?
- Mam nadzieję, że nie na stałe – odwrócił się jeszcze raz do ikon.
- Popatrz, co się dzieje z domami! – krzyknęła dziewczyna.
- Tu włącza się czynnik czasu, który jest wartością stałą, jako że nie istnieje – chłopiec odwrócił się plecami do ściany. – Nie mogę nic zrobić. Poczekajmy, może program usunie subwirtualność, a czas pójdzie w naszą stronę.
- A więc, jaka jest druga przyczyna?
- Nie mogę cię opuścić.
- Dlaczego?
- Może użyjesz pointera, zostaną wtedy wykluczone.
- Nie mogę tego zrobić, pomogłeś mi. Użyj swojego.

Milczał.

- Rozumiem – rzekła poważnie.
- Daj mi twój pointer, zrobię to sam.
- Nie!

Pochwyił ją za rękę i skierowawszy pointer w swoją stronę nacisnął guzik. Promień go przebił, ale nic nie uległo zmianie. „Rozpoczynamy odliczanie” – odezwał się mechaniczny głos.

– Musimy uciekać! Dla tej rzeczywistości jesteśmy mieszkańcami kolonii, tu wciąż trwa tamten czas.

– Nie możemy stąd się wydostać!

„Dziewięć, osiem, siedem.”

Chłopiec odwrócił się do ściany, ale ledwo dotknął ikony, budynek rozsypał się na pył.

„Sześć, pięć, cztery.”

Podbiegł do następnego, lecz dom sam się zdeintegrował.

Dziewczyna naciskała guziki pointera, lecz utraciła kontrolę nad tą wirtualnością.

– Co się stało?

– Musiały zajść przesunięcia poziome.

– To niemożliwe!

– Nigdy tego przedtem nie doświadczyłem, dlatego sądzę, że to nie istnieje. Rzeczywistość sensualna nasunęła się na wirtualną, a ta została unieruchomiona.

– Powiedz to prościej.

– Świat, w którym jesteśmy, uzyskał cechy realności.

– To znaczy, można tu umrzeć – przestraszyła się dziewczyna.

– I to będzie prawdziwe.

- Nie można dać kroku do przodu i wyjść.
- Nie. Można się posuwać tylko w czasie i to w jednym kierunku.
- Jak w życiu prawdziwym. Bardzo jesteśmy ograniczeni. Dziwię się teraz, że w ogóle mogłam istnieć w przestrzeni tak ciasnej i mało dającej możliwości.
- „Trzy, dwa, jeden.”
- Nic się nie zmienia.
- Możemy uciec! – zawołała nagle kobieta. – Ale to niebezpieczne, utracimy kontrolę nad grą.
- Nie mamy innego wyboru.
- Musimy udać się do Grysopa.
- Do kogo?
- Operator gry, on rządzi... Tak mówią, to gracz nad gracze.
- Pochwyił ją w ramiona. – Chodźmy, siostrzyczko! „Zero.” Nacisnęła czerwony guzik na pointerze. Wszystko powoli zniknęło, był to rzeczywiście powolny procesor, domy zapadały się w siebie, kolonia przestawała istnieć.
- Stanęli na posadzce w czarno-białe kwadraty w wielkiej sali o gotyckich kolumnach.
- Musieli znajdować się w podziemiach, w samym centrum gry. Na ścianach z głazów paliły się łuczywa, z oddali dobiegały dźwięki, zmieszany gwar, rozmowy, odgłosy ruchu ulicznego i fabryk, szcęk broni.
- Wziął dziewczynę za rękę, była ciepła i miła.
- Chodźmy tam. Nie bój się, nie opuszczę cię.
- Grysop siedział wewnątrz okrągłego stołu zastawionego, niezliczoną ilością komputerów wszystkich typów, na każdym ekranie toczył się inny fragment gry. Miał na sobie płaszcz maga, jego nogi były zakopane w pogniecionej srebrnej folii i pokruszonych dyskach. Pewnie nigdy nie podnosił się ze swego miejsca. Został całkowicie skomputeryzowany, mikroskopijne aparaty wszczepiono mu w gałki oczne, więc widział naokoło, inne, płynące w żyłach kontrolowały poziom cukru i bicie serca.
- Nie mam dla was czasu, gram.
- Z ekranów wypływały sześciany ze światła, które się powiększały stając rzeczywistościami wirtualnymi, jedna nakładała się na drugą jak przejrzyste bloki, więc szli ku niemu niby we mgle.
- „Ilu masz trupersów?” – zawołał generał.
- „Dobrze, bierzemy kurs na Plutona.”
- „Fido, do nogi.”
- Zewsząd dochodziły dialogi z różnych gier tworząc rozmowę bez sensu.
- Nie chce nam pomóc – zmartwiła się dziewczyna.
- Gdzie my jesteśmy?
- W centrum. On rządzi wszystkimi grami na świecie.
- Jest to logicznie niemożliwe – zaprzeczył chłopiec.
- On tworzy rzeczywistości. Bierze fragmenty gier, jakieś kawałki, drobiazgi i układa supergrę, coś w rodzaju nadwirtualności. A w dodatku sam pisze programy, ma na nie wpływ, następuje sprzężenie zwrotne, potem wszystko samo się powiela, i tak dalej, w nieskończoność.
- Nie jest to możliwe – zaprzeczył chłopiec. – Robisz z niego bóstwo, nawet więcej... A z tej gry – religię.
- Entropia, samopowielające się systemy, cóż człowiek może przeciwstawić?
- Nie zgadzam się – zaproponował chłopiec. – Jestem informatykiem, myślę ściśle i

digitalnie. Nie istnieje to, o czym mówisz. Nikt nie kieruje grami, nie tworzy pararealności, gdyż istnieją tylko dwie: sensualna i wirtualna. Wierzę w naukę, jest ona zdrowym rozsądkiem ujętym w system.

- Nie mamy szans, światy się zapętlily, pomieszały, nie wiem, kim jestem ani gdzie?
- Po prostu trzeba go sprawdzić i ustalić czy jest żywym człowiekiem, czy postacią z gry. Palce Grysopa pomykały po ekranach zmieniając programy, nagle odwrócił się ku nim i wyprostowawszy ramię skierował prosto w ich piersi palec, na którym był komputer w pierścionku.
- Jeszcze nikt tak mnie nie obraził!
- Nikogo tu pewnie nigdy nie było – odpowiedział chłopiec.
- Nikczemna, ludzka mierzwo! – ryczał Grysop.
- A ty, kto? Podludek?
- Zostaniecie ukarani!
- Lepiej go nie drażnić – szepnęła dziewczyna.
- Nauka nie może wymknąć się ludziom z rąk, bo powstaną takie potwory. Idę go sprawdzić.
- Nie pozwolę zmienić programu!
- Ha, ha! – roześmiał się chłopiec podchodząc. – Pomieszały ci się pliki i katalogi, brak ci dobrego programu porządkującego, mogę ci napisać, znam język C Plus Plus.
- Obrażasz mnie!
- Mówię prawdę. Musi być porządek.
- Wybaczcie – rzekł Grysop zupełnie innym tonem. – Nie wolno wprowadzać zasad rozumu i przewidywalności jako reguły naczelnej.
- Utraciłam kontrolę nad własną grą, pomóż mi! – wtrąciła się dziewczyna, podchodząc.
- Dlaczego mam ci pomagać?
- Nie wiem.
- Czy jesteś z nim? – wskazał na chłopca.
- Tak! – odrzekli jednocześnie chwytając się za ręce.
- Dobrze, powiem: nikt wam nie pomoże. A teraz oddaj ten pointer! – wyszarpnął jej przyrząd z ręki. – Zależycie od innych.
- Nie zgadzam się! – rzekł chłopiec.
- Jest to odwieczny problem wolnej woli. Musisz próbować.
- Twoje reguły nie są zasadami, wszyscy je znają – powiedział chłopiec.
- Oto jest wasza gra!

Pojawił się inny obraz. Grysop musiał mieć bardzo szybki komputer. Była to rozległa płaska przestrzeń, pokryta zamrożonym śniegiem i wielokątnymi bryłami niebieskiego lodu, rzucającymi granatowy, równy cień. Pomiędzy nimi zarysowały się oczka niewielkich jezior ultramarynowej wody, z której wypłynęły białe foki. Na samym środku lodowego pola wyrosła gigantyczna kopuła z mlecznego szkła. Na jej szczycie mieściło się olbrzymie wklęsłe lustro wypełnione rtęcią, które chwyciło promienie słoneczne, produkując odnawialną energię. Na powierzchni kopuły wisiały krople wody, niby w oszronionej szklance wyjętej z zamrażarki, a sieć białych, karbowanych rur, w których bulgotały płyny, krzyżowała się we wszystkich kierunkach. Pod szklanym kloszem postawionym na powierzchni Antarktydy mieściło się rozległe miasto Antrapolis. Domy, olbrzymie bloki z dymnego szkła, jakby były odlane z jednej bryły, ustawiono wzdłuż ulicy. Na środku miasta na placu stał wysoki pionowy cylinder wypełniony niebieską wodą. Pływały w niej ryby i falowały zielone łodygi roślin. Miasto wyglądało jak fantasmagoria ze świateł i blasków.

Lecz oni znaleźli się w rozległym gabinecie, na czarnej podłodze stało białe biurko, przy którym siedziała dziwna postać ubrana w złocisty kombinezon, przez który biegły rurki wypełnione płynami fizjologicznymi, podtrzymującymi jego organizm. Na głowie namalowane trójkąty włosów zachodziły szpiczasto na wypukłe czoło. Właśnie uniósł rękę o czterech palcach i skierował ją na ekran, by uruchomić system.

– Czy to on kieruje naszą grą? – zapytała dziewczyna.

– Nie zgadzam się, sam chcę nad nią panować – odpowiedział chłopiec.

– Przecież to niemożliwe.

– Chciałbym wiedzieć, czy to jest Grysop, a raczej postać, w jakiej bierze udział w grze.

– Przypomina mi mojego psychologa, lecz tamten był przyjacielski i pomocny, a ten to jakiś mag.

– Znam wasz problem, ale mogę pomóc tylko jednej osobie.

– Dlaczego? – zapytał chłopiec.

– Bo taka jest moja wola.

– Kto ci o nas powiedział?

Mag wyciągnął rękę o trzech palcach. – Nastąpiły przesunięcia w rzeczywistościach, co nie jest trudne do wykrycia.

– Ale co stało się pierwotną przyczyną tych zmian, czy my jesteśmy winni?

– Szykują się duże zmiany w rzeczywistości sensualnej.

– To znaczy w tak zwanym życiu codziennym? – zapytał chłopiec. – I one wpływają na światy wirtualne?

– To oczywiste – odpowiedział mag.

– Czy istnieją wpływy odwrotne? – zapytał chłopiec.

– Tego nie wiem, to nigdy nie zostało sprawdzone.

Nagle dziewczyna zaczęła się przemieniać i ze zdziwieniem oglądała własne ciało.

– Nie mam na nic wpływu. Nie mogę już tego znieść. Nie wiem, kim jestem.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie jest prosta – rzekł chłopiec. – Jej musisz pomóc.

– A ty czego potrzebujesz?

– Chcę sprawdzić, czy moje postępowanie w rzeczywistości wirtualnej wywrze wpływ na tę drugą.

– To bardzo trudne.

– Ale ja muszę sprawdzić siebie, taki był cel mojej gry. Poza tym ciekawi mnie struktura świata, wydaje mi się ciemna, zagmatwana. To wszystko trzeba zrozumieć.

– Ha, ha! Zrozumieć, wpływać, dyrygować! – śmiał się mag. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, na co się porywasz? Nikt nigdy nie starał się wywierać wpływu na rzeczywistość sensualną. To przerażające, jakie ty masz plany?! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co może się stać?!

– Podejrzewam, że niczego nie potrafisz zdziałać w grze i dlatego mi odmawiasz. Na pewno nie jesteś Grysopem, ale jego piracką kopią.

– To ja rządę grą!

– Więc uczyni wszystko, bym mógł powrócić do realności sesualnej, bo jak na razie wrzucasz nas tylko coraz głębiej w zapętłone podwirtualności.

– Bo tu wszystko ma wpływ na siebie nawzajem.

– Gdzie toczy się gra, w którym programie? Chcę, aby była zbudowana na zasadach rozumu i logiki.

– Wszystko zależy od ciebie, od niewielkiego marginesu twojej wolnej woli.

– Pozwól mi używać rozumu! – powiedział chłopiec.

- Być może powrócisz do świata, ale czy chcesz uczynić to razem z tą dziewczyną?
- Nie opuszczę jej.
- Dlaczego?
- Gdyż ona wówczas przegra i nie wyzwoli się ze swego problemu, nie chcę niczego zdobyć jej kosztem. A poza tym...
- Wszystko jasne. Jest ci bliska, ale musisz to sprawdzić. Ona przejdzie przez różne przemiany, by się uwolnić, nie wiadomo, czy jesteś w stanie je zaakceptować?
- Pragnę tego.
- Ostrzegam, rzeczywistości będą pomieszane – rzekł mag.

Wszystko zniknęło szybciej, niż chłopiec zdążył pomyśleć. Znalazł się nad brzegiem basenu wypełnionym zielonym żelem, być może był to cylinder z rybami, stojący na placu w Antrapolis. Może chłopiec został przeniesiony w głębię fantastycznego oceanu, ściany poruszały się niby falująca woda, w której migotały plamy światła, a niesamowite ośmiornice poruszały długimi mackami, patrząc wyłupiastymi oczami.

Dziewczyny nigdzie nie zobaczył, bardzo pragnął, aby powróciła. Z zielonego żelu wysunęły się złociste ramiona, ktoś płynął pięknym stylem. To musiała być ona, ale gdy wyszła na brzeg, przeżył szok. Była bardzo piękna i prawie zupełnie naga, a to go przerażało, czuł się porażony i powalony, wątpił w siebie, przekonany, że taka kobieta na pewno potrzebuje silnego, świetnego mężczyzny, który umiałby ocenić siłę jej seksu, on nie dorasta do niej.

- Jesteś zbyt ładna – wyszeptał. – A właściwie wcale mnie to nie pociąga.
- Nie? – zdziwiła się. – A ja właśnie się zastanawiałam, czy mogłabym się tobie spodobać i co powinnam zrobić, abys zobaczył, jaka jestem.
- Żebyś nie wyglądała jak z reklamy...
- Przedtem byłaś żywym człowiekiem, istotą mającą swoje sprawy i przeżycia, teraz jesteś tylko rzeczą, nazywaną kobietą. Gdyby można było połączyć te dwie strony i stopić w jedną osobę? Potrafisz?
- Teraz sobie przypomniałam – rzekła, chcąc rozmową rozładować niezręczną sytuację. – W mieście na Księżycu, w tym samym domu na parterze mieszkał chłopiec. Bardzo go lubiłam i on zawsze szukał mojego towarzystwa, byliśmy dziećmi, razem się bawiliśmy. Między nami zawsze panowała zgoda, nie był złośliwy jak inni, nie dokuczał mi, nie wyśmiewał się ze mnie ani nie pociągał za włosy, nie podnosił mi też spódniczki, jak większość chłopców. Dziewczyna nagle się roześmiała.
- A ja ci powiem coś jeszcze! Jako dziecko byłam naprawdę paskudna!
- Niemożliwe!
- Tak, to prawda. Byłam gruba – wydeła policzki i wymamrotała – o, taka! A poza tym niezgrabna jak kloc.
- On jednak bawił się z tobą!
- Spędzaliśmy razem całe dni.
- Mimo że byłaś jak beka!
- No! – śmiała się głośno.

Dziewczyna stała mu się jeszcze bardziej bliska, gdyż zrozumiał, jaka jest naprawdę, a jej uroda i natrętny seksualizm przestały go przerażać. Ten obcy i groźny stwór, został oswojony i poskromiony poprzez nieciekawny wygląd w dzieciństwie. Musiała być jedną z tych małych, kluchowatych dziewczynek, które wszystko robiły źle i niezgrabnie, toteż uważano je za głupie. Ależ tak, na pewno była niezręczna i przewracała się o każdy kamień i krawężnik, a nogi plątały się jej w skakankę. Nie miała sprytu jak inne dzieciaki, które zawsze wiedzą,

czego chcą, i potrafią to uzyskać różnymi sztuczkami, przymilaniem się, czy wrzaskiem. Dobrze pamiętał bezczelne spryctwo ze swego dzieciństwa, ciągle pokazywały język i przezywały chłopców, a gdy taką tylko lekko się stuknęło, zaraz biegła na skargę do nauczycieli.

– Zrozumiałaś, jakie wydarzenie stanowi klucz do obecnych problemów? – zapytał chłopiec.

– Częściowo.

Chłopiec nadal czuł się niezręcznie, nie był psychicznie przygotowany do tego, co widział.

– Musimy się spieszyć – powiedziała. – Obawiam się, że przemiany prędko następują, zaraz stanę się kimś innym.

Wyciągnął ku niej rękę, gdyż bał się zbliżyć i wcisnął w dłoń mały przedmiot.

– Weź to – powiedział.

– Co to jest?

– Wziąłem to z jaskini Grysopa. – Miniaturka, ale na pewno pozwoli ci wywierać wpływ na grę i nieco kierować sprawami.

– Dlaczego mi to oddajesz? Potrzebujesz tego bardziej niż ja, masz trudne i ambitne założenie.

– Śpieszmy się, to nie może długo potrwać.

– Czy wiesz, w jakiej rzeczywistości obecnie przebywamy?

– Nie wiem, gdzieś w głębi podwirtualności.

– Będę ci pomagać! – I zniknęła.

Chłopiec wpadł w złoty tunel i z wielką szybkością zaczął się ześlizgiwać w głąb. Nie mógł nic zrobić, spadanie następowało szybko i po zupełnie gładkiej powierzchni. Pomyślał, że jednak przemieszcza się w jakiś sposób w przestrzeni, mimo że jest ona wirtualna. Wydało mu się, że zrozumiał jedną z zasad tego świata. Kiedy przemiany następowały bezkierunkowo, wówczas wpadał w podwirtualności, teraz powraca w stronę świata realnego. Nagle spadł na szybę, a przez nią widział kawiarnię na tarasie hotelu. Przy stoliku siedziała kobieta o wyglądzie naukowca i odwrócony plecami w stronę chłopca mężczyzna z mundurze. Przypominał nieco Grysopa.

– Jesteśmy z pani niezadowoleni – powiedział wojskowy.

– Przecież wykonałam zadanie. Mój człowiek wypuścił wiele gier w przestrzeń, wszystkie zostały przeze mnie odpowiednio spreparowane, miały różne błędy, powielaly się same i mutowały. Było tego naprawdę dużo i w ten sposób obszar rzeczywistości sensualnej został znacznie pomniejszony i naszym przeciwnikom zostało bardzo małe pole manewru.

– Agent miał wykonać jeszcze jedno zadanie: wpływać poprzez rzeczywistość wirtualną.

– Zmodelowałam go, tak jak mi pan polecił.

– Ale włączyła pani czynnik uczuciowy, przeszkadzający w pracy, związała go pani ze sobą.

– Było to przydatne.

– Pani szczerść i zaangażowanie wiele popsuło. Błędem było to, że starała się go pani wyzwolić z jego układów.

– Dla jego dobra.

– Ale nie dla naszego. Pozostając w swoim świecie, być może byłby w stanie wpływać na rzeczywistość sensualną.

– Jak dotychczas nikomu się to nie udało. Z pewnością zadanie jest niewykonalne.

– Te dwie rzeczywistości są komplementarne i całkowicie od siebie zależne. Przesunięcia w jednej wywołują zmiany w drugiej.

– Ale jak dotychczas nie uzyskaliśmy dowodu na to, że mamy realny i materialny wpływ na rzeczywistość sensualną.

– Wróciłam tu, by się z nim spotkać...

– Raczej dla prywatnych powodów, zrobiła mu pani w jakiś sposób krzywdę, mało kto lubi opuszczać siłą świat fikcji, w której się zdomowił.

– Jednak coś dzieje się w świecie... Jestem pewna, że to na skutek naszych działań.

– Wątpię. Przyczyn ludzkich działań nie udało się nam jeszcze odkryć. Nie wiemy, jaki czynnik miał tu decydujący wpływ.

– Mam pewne powody przypuszczać, że mój agent znalazł właściwą osobę.

– Kim on jest?

– To osobnik nieznający się na układach w rzeczywistości sensualnej.

– Dobry materiał. Można nim swobodnie kierować.

– Poczyliłam już poważne kroki, znalazł się w specjalnie spreparowanych układach. Spotkał kobietę, poczynimy w niej takie metamorfozy, że...

– Czy ona zdaje sobie sprawę z roli, którą ma odegrać?

– Absolutnie nie.

– I nie możemy dopuścić do tego, aby się dowiedziała, szczerść działań stanowi tu rękojmię. Wszystko się uda, będą dla nas pracować.

– O ile znowu nie włączy się czynnik emocjonalny... Nie potrafimy modelować ludzkich emocji, wirusy ani działanie na podświadomość nie przynosi rezultatu.

– Pan również nie jest bez winy. Wypuściliście paranormalkę z waszego laboratorium.

– A pani postarała się o to, że ona w przyszłości ocaliła mu życie ostrzegając przed skutkami czynów.

– Wykonaliśmy dobrą robotę, wiemy, jakie zajdą wydarzenia.

– O ile ten pani nowy agent wykona swe zadanie.

– Jeśli wykluczemy emocje.

– Obawiam się, że się zapętlamy – ostrzegła kobieta.

– Tworzenie nadwirtualności nigdy nie było łatwe.

– Obecnie stworzyliśmy ważny węzeł z hyperswiatów – powiedziała kobieta. – Tworzymy realność i historię.

– W tej chwili nasz wpływ jest znikomy, system powieła się samoistnie. Ale na wszelki wypadek zabraniam pani ingerować, proszę osobiste sprawy pozostawić na boku. Kobieta opuściła głowę, a chłopiec zobaczył znajomą postać biegnącą od jednej zapory do drugiej. Zrozumiał, że nastąpiło przemieszanie czasu, a więc włączył się nowy wektor, to mu przyniosło pewność, że powraca do rzeczywistości.

Ponad szklaną szybą, na śliskiej folii nieba pojawił się czarny kształt. Usłyszawszy warkot motoru chłopiec podniósł głowę i zobaczył białe wrzeciono wojskowego śmigłowca wiszące wprost ponad nim, i w niego mierzyły okrągłe otwory wyrzutni rakiet. Z prostokąta wjazdu wychylał się mężczyzna szukając czegoś wzrokiem, a gdy zobaczył chłopca, zarzucił na niego z góry przejrzysty rękaw, który rozwijał się spadając. Rozległo się ciche syczenie i poduszka powietrza zaczęła pchać chłopca w górę, by nie upaść, przycisnęła ramiona do boków i mocno się wyprostowała. Kiedy dotarł do wjazdu śmigłowca, rękaw się zrolował, a on wgramoliwszy się do wnętrza, usiadł na ławce naprzeciwko mężczyzny ubranego w zniszczony mundur bez dystynkcji, najwyraźniej ukradziony podczas ostatniej wojny wschodniej z magazynów armii Sprzymierzonych. Chustka w biało-czarną kratkę na jego szyi wskazywała, że to terrorysta. Leżący w poprzek kolan olbrzymi karabin i niecierpliwa na nim brunatna ręka, dowodziły, jak niebezpieczna będzie rozmowa.

– To ty jesteś ekspertem komputerowym? – spytał lekceważąco. – Nie spodziewaliśmy się pętaka. – Trącił go lekceważąco kolanami. – Ale nie martw się i tak ci zapłacimy za robotę. A teraz udamy się na linię demarkacyjną, czyli na Kancerlinię, abyś zobaczył teren twojej przyszłej pracy.

Lecieli. Pozostawili już za sobą dziwnie rzeźbione wieże orientalnego miasta, przecinali niebo ponad rudą pustynią, jaką był w istocie ten kraj, zbliżając się do szerokiego pasa sztucznych wzgórz, po prostu terroidów, które wyglądały jak nieruchoma karawana białych wielbłądów zagrzebanych w piasku. Nazywano je Purcholami.

Na ich garbach obracały się anteny, niby głowy bożków, ich twarze były bez wyrazu, a gdy elektroniczne oczy wypatrzyły żywą istotę, wystrzelał z nich czerwony promień, bezlitośnie zamieniający każdego w rudy pył pustyni. Mężczyzna wychylił się poza drzwi i zatoczył szeroki łuk ramieniem.

– Cała ta ziemia należała tylko do nas od czasów Jahwe i sam Bóg dał ją nam we władanie, tylko my mamy do niej słuszne prawo. – Odwrócił się do chłopca i popatrzył na niego z wściekłością, jakby to on odpowiadał za niesprawiedliwość. – Po wojnie Sprzymierzeni podzielili nasz kraj na pół. Na tamtej stronie, którą oddali swoim aliantom, mieści się wszystko, fabryki, minerały i woda, a nam przypadł w udziale tylko kawałek jałowej pustyni. Musimy odzyskać nasze terytorium i ty będziesz w tym pomocny. Popatrz do góry – trącił go w brodę – tam wisi niewidoczny w tej chwili geostacjonarny satelita kontrolujący ten teren. Twoim zadaniem będzie go zmylić i oślepić. Kiedy przestanie podawać namiary, my zaatakujemy wzgórze. Jednym ruchem zmieciemy je z powierzchni ziemi.

Chłopiec zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia i nie powinien zadawać zbyt wielu pytań ani szukać uzasadnień dotyczących celowości wynajęcia go do tej pracy, na co nie miał żadnego wpływu. Musi skupić się wyłącznie na wykonaniu zadania.

– Jak mam wykonać swoją pracę?

– Dostaniesz odpowiedni sprzęt i użyjesz swojej wiedzy, jeżeli okaże się niewystarczająca, zostaniesz zabity. Teraz dobrze sobie obejrzyj cały teren. Popatrz na terroidy.

– Przecież to w ogóle nie jest potrzebne.

– Lepiej wysił swoje gały, gnojku.

Chłopiec znowu był łzony i poniżany, ale nie mógł się przeciwstawić terroryście, który miał broń, lecz instynktownie lekcewał naukę, gdyż jej dziedzina była abstrakcyjna. Nie mógł dostrzec ani dotknąć programu komputerowego, symulującego teren przy pomocy systemu digitalnego, ziemia natomiast była konkretna, ufał zmysłom, jak każdy prymitywny człowiek. Cały świat stał się abstrakcyjny, jak program w komputerze.

Chłopiec nie zamierzał postępować głupio i gapić się na kawałek pustyni, gdyż to nie pomoże mu wykonać zadania, toteż siedział z przymkniętymi oczami. Mężczyzna pochwycił go za kark i przygiął.

– Patrz!

– Puść mnie, to na nic!

– Widziałeś?

– Skłoniłeś mnie, abym patrzył, ale nie możesz zmusić do zobaczenia.

– Wydrę ci te niebieskie oczka!

– Wówczas poszukasz sobie innego eksperta. Postępujesz na przekór mojej wiedzy, więc mnie nie przekonasz!

– Zastrzelę cię!

– Zrobisz, co zechcesz, ale ja dysponuję niepodważalną wiedzą i tego nie zmienisz.

Chociaż mężczyzna uniósł broń, chłopiec nadal siedział z przymkniętymi oczami

nieruchomo oparty o ścianę.

– Otwórz oczy!

Chłopiec usłuchał, ale nie zaczął obserwować terenu.

– Zaraz cię rąbnę!

– Ale moje informacje nadal pozostaną prawdziwe. Każdy następny ekspert powie to samo. Twoje działania nie przyniosą rezultatu, twoja walka jest zabawą głupiego.

– Milcz! To było twoje ostatnie słowo.

– Niezmiennie!

Nagle rozległo się cienkie wysokie brzęczenie i niebo pociemniało, a z daleka nadlatywała wielka szara trąba, posuwając się błyskawicznie w ich kierunku. Mężczyzna rzucił karabin i zaczął wymachiwać ramionami, jakby się oganiał od owada.

– Eniaczki, eniaczki! – wrzeszczał.

Przyglądając się spokojnie, chłopiec zobaczył przejrzystą pszczołę, zastanowił się, dlaczego nadano jej taką nazwę. Eniak był pierwszym, prymitywnym komputerem zbudowanym w połowie XX stulecia, landarą o wielkości budynku, kiedy go włączano, siadały światła w całej Filadelfii. Czyżby to, co chodzi po policzku, było... Uderzył z całej siły tak, że głowa mężczyzny się odchyliła. Kiedy pszczoła spadła, chłopiec ujął ją dwoma palcami, a przyjrząwszy się odwłokowi i sztyletowi żądła, wyrzucił ją za okno, gdyż uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Nie powiedział słowa, ale poczuł wielką pewność siebie.

– Zawracaj! – wrzasnął mężczyzna na pilota. – Bo wpadniemy w środek roju, a wtedy będzie z nami koniec.

Chłopiec wyjrzał na zewnątrz, twarze bożków na teroidach były skierowane wprost na nich, a oczy zaczynały się jarzyć.

– Zaraz zostaniemy zestrzeleni! Nie macie na pokładzie komputerowego systemu ostrzegawczego?

– Zachłanny azjatom żąda za dużo szmalu za nowocześniejszy sprzęt.

– Więc jak pokonacie teroidy?

– Liczymy na ciebie.

– Na wiedzę i naukę!

Gwałtownie zakręcili zostawiając Purchole za sobą, a rój sztucznych owadów znacznie ich wyprzedził i kierował się w stronę wieży, o dziwnej, porowatej powierzchni, przypominającej piasek zestalony nieznaną techniką. Od podstawy do wierzchołka wyłobiono w niej okrągłe otwory, z których wystawały lśniące anteny satelitarne. Górna część budowli uniosła się jak wieko, a kiedy rój owadów wpadł do wnętrza, przykrywa szczelnie się zamknęła. Chłopiec przypuszczał, że był to zakład produkujący komputery tak zminiaturyzowane, że technologia należała raczej do następnego stulecia.

Minęli stołb, ale już nie było daleko. Kiedy lądowali, uniosła się chmura rudego pyłu całkowicie zasłaniając widoczność. Gdy po chwili kurz opadł, okazało się, że są na niewielkim płaskowyżu otoczonym ostrymi skałkami. Ledwo wysiedli, otoczył ich oddział terrorystów w kraciastych chustach i mundurach kradzionych z magazynów. Inna ich grupa rozwijała folię maskującą, zakrywając nią cały teren lądowiska. Kiedy skończyli pracę, oblało ich niesamowite światło i sylwetki ludzi zmieniły kształty rzucając fantastyczne cienie.

W tej chwili zza szeregu terrorystów wyszła kobieta ubrana w czarną szatę, która zakrywała jej twarz i opadała aż na stopy. Stała za przywódcą jak posłuszny cień, lecz patrzyła na chłopca. Prawie wcale nie mógł dojrzeć twarzy, mało widocznej pod czarną, skórzaną maską, a policzki zapaskudzono gęstym tatuażem w kolorze sepia, dowodzącym, że była własnością mężczyzny i stanowiła jego dobytek na równi z krową. Zrobiono go również

po to, by kobietę oszpecić i w ten sposób odstraszyć samców, gdyby chcieli zaspokoić na jej ciele swój instynkt seksualny, gdyż służyła tylko do tego celu. Pełniła funkcję karafki z wodą, ulżywszy pragnieniu, zostawała odstawiona byle gdzie i zapomniana.

Chłopiec chciał przekazać jej treść rozmowy z kawiarni, lecz nagle usłyszał pytanie.

– Dlaczego patrzysz na moją kobietę? Wymyślić ją, wybatożyć! – Mężczyzna uczynił rozkazujący gest i wywlekli ją poza szereg.

Chłopiec oczekiwał w rozpaczliwych odgłosów uderzeń i okrzyków bólu, ale nie usłyszał ani jednego, ani drugiego, widocznie dziewczyna użyła przyrządu, który jej dał, zaszły również zmiany w wirtualnym obrazie. Terrorysty stali teraz w szeregu, natomiast dowódca wyszedł na środek i oparł nogę na stosie karabinów, a ręką pochwycił drzewce sztandaru wbitego w kupę kamieni. Chłopiec usiłował odczytać znaki na łopoczącym płótnie, ale wciąż zwiąjał je wiatr zmieniając jego barwę i sens. Nagle zza krawędzi wirtualnych wzgórz wyleciały sępy i usiadły rozkładając skrzydła i czyszcząc dzioby o kamienie. Był to zły znak.

– Nienawiść do tamtych – wrzasnął dowódca, machnąwszy ramieniem w stronę wzgórz – to wasz obowiązek.

– Tak jest! – odwrzasnęli fanatycznie.

– Dlaczego macie ich nienawidzić?!

– Bo to oni!

– I święty jest nasz sztandar.

– Bo to nasz sztandar! – wrzasnęli w uniesieniu.

Usłyszał krzyk i szurgotanie kamieni pod zelówkami, widocznie kilka osób wspinało się z zewnątrz na płaskowyż, a ciężar, który wciągali, obijał się o skały. Nie wiadomo było, kto krzyczał z bólu. Na grani pojawiły się ręce, wreszcie zza krawędzi wydostało się czterech mężczyzn. Ledwo wparli nogi w żółty pył, wychylili się poza krawędź, by wciągnąć na linie ciężar, który wlekli obijając o skały. Rzucili go na środek, tuż pod buty kamratów. Był to chłopak, niczym się od nich nie różniący, ani kolorem, ani rysami, ani rasą, a jednak ten dzieciak, ich brat, był wrogiem, gdyż na jego ciemnej skórze widniały ślady okrutnych tortur. Kopniakami zmuszali go, by powstał, ale nie dał rady, gdyż pokaleczone ręce miał związane za plecami, a stłuczone mięśnie nie mogły utrzymać ciała w pionie. Ktoś chwycił go za kołnierz podartej koszuli i postawił, lecz jeniec chwiały się na nogach. Jego czarne lśniące oczy rzuciwszy przerażone spojrzenia zmatowiały od bólu.

– To jeden z psów, które mieszkają poza terroidami! – wrzasnął przywódca.

– Zabić go! – wrzasnął oddział.

– Zostałeś osądzony! Wyrok wykonać natychmiast!

Szesnastoletni dzieciak zachwiały się na nogach, a przez jego skatowane ciało przebiegł szok przerażenia i lzy rzuciły się do oczu, płynąc srebrnymi strugami po twarzy brudnej od piachu, po którym go wleczono. Patrzył na chłopca.

– Ty go zabijesz! – przywódca wcisnął chłopcu karabin do ręki, wyjąwszy jednocześnie pistolet, który przystawił mu do skroni.

– Tam jest satelita – chłopiec wskazał ramieniem na niebo – a przed wami terroidy. Ziemia poza nimi na zawsze pozostanie w cudzych rękach i ty będziesz za to odpowiadał!

Terrorysty zaszemrali złowrogo, sępy głośno otarły dzioby o kamienie.

– Nie zostałem wynajęty do spełnienia katowskiego czynu, mam wykonać swoją pracę, i tylko tyle! Nic więcej!

Terrorysty zaszemrali głośniejszym głosem, sępy zawzięcie czyściły dzioby, przywódca stał wściekły, lecz nie miał żadnego pola manewru.

– Ty gnoju, ty psie! – wrzasnął.

- Użyj sobie! Nie mogę się obronić, walcz moją bronią.
- A jakąż to, pętaczku?
- Sam wiesz, to jest logika, informacja, myślenie! Już doświadczyłeś ich potęgę.
- No, kiedy?
- W śmigłowcu. Mimo mojego sprzeciwu rozkazałeś lecieć ponad Kancerlinią, jeszcze chwila i zostalibyśmy zestrzeleni. Brak ci informacji, kierujesz się ograniczonym doświadczeniem, jesteś reliktem zeszłego stulecia. Znajdź kontrargumenty.
- Przypierdołę ci w zęby.
- Ale nie skruszysz logiki.
- Hej! – rozległ się okrzyk z dołu. – Jestem! Effendi!

Dowódca rzucił wściekłe spojrzenie i opuścił broń.

– Masz szczęście!

– Wyszedłeś z honorem – szepnął chłopiec – niech ci będzie.

Terrorysti podnieśli pokrywę, z pionowego tunelu wiodącego w głąb skały wysunęła się szklana winda, chłopiec wsiadł do niej wraz z innymi i zjechali w dół do olbrzymiej hali, oświetlonej białymi lampami. Był to arsenał, tak dobrze zaopatrzony, że spodziewana wojna mogłaby trwać dziesięciolecia, musieli tylko w odpowiednim momencie ją zacząć i to właśnie on miał im wyznaczyć godzinę ataku.

Na zewnątrz pieczary stała olbrzymia maszyna z zawieszeniem w postaci wielu kul, dzięki którym mogła poruszać się we wszystkie strony nie zakręcając. Z tego powodu zyskała nazwę stonogi. Szoferkę umieszczono wysoko, we wklęsłej wnęce, co chroniło ludzi przy zderzeniu czołowym, a ponieważ ładunek był umieszczony poniżej, w razie wypadku nie miażdżył kierowcy od tyłu. Przed pojazdem stał otyły azjatoł, ubrany w czarne kimono, kłaniał się ciągle jak marionetka i powtarzał swoje bezsensowne „effendi”.

Na skale wisiała szklana klatka obserwacyjna. Kiedy chłopiec czekał w niej zgodnie z poleceniem, mężczyźni zaczęli wyładowywać ze stonogi skrzynie z bronią i wносить je do arsenału, a dowódca wręczył azjatołowi walizkę z pieniędzmi, będącymi zapłatą za przemycony sprzęt. Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, kto finansuje terrorystów, ale ponieważ zabrakło mu danych, nie umiał odpowiedzieć. Kierunki wydarzeń przebiegały zgodnie z wektorami czasu i przestrzeni, był więc pewien, że zbliża się do rzeczywistości. Jednakże bardzo go niepokoił ciąg przyczynowo-skutkowy, obawiał się, że już jest w rzeczywistości sensualnej, lecz obie uległy zmieszaniu.

Wkrótce przyniesiono mu stół, na którym postawiono komputer na słoneczne baterie.

– Zabieraj się do roboty, ty ekspercie! – rzucił lekceważąco dowódca.

Chłopiec usiadł przed komputerem, splótł ręce, by rozluźnić palce, a kiedy poczuł w nich lekkie mrowienie, jak healer, który leczy przez nakładanie dłoni, dotknął ekranu. Tego systemu nie znał, ale ufał sobie, znał obszary swojej wiedzy. Zastanawiał się długo, nie zwracając uwagi na dowódcę, który stał tak blisko, że oddychał mu prosto w ucho. Wcale się nie spieszył, gdyż teraz był panem świata informacji, która przemawiała do niego głośno i wyraźnie. Kiedy zrozumiał, że jest gotów, zaczął pracę.

„Podaj urządzenie wejścia” – system łączności satelitarnej pytał o sposób komunikacji.

„3D, oczywiście”. W kartonie stojącym na ziemi obok stolika pozostał tylko jeszcze jeden przedmiot, będący odpowiednio wygiętą, lśniąca rurką. Nigdy dotąd takiego urządzenia nie używał, w domu dysponował zaledwie hełmem, jednakże tak dużo naczał się o różnego typu controllerach, że sposób stosowania odgadł od razu. Oba końce wsunął w uszy, żeby słyszeć dźwięki, nad powiekami umieścił lasery, których światło uderzało w źrenice i przetwarzało działania komputera na obrazy. Dotknąwszy palcem ekranu wybrał opcję 3DCON,

komputer połączył się z kontrollerem za pomocą sensora podczerwieni i chłopiec usłyszał odliczanie: 3,2,1... Kontakt! Teraz oczy i uszy miał już zanurzone w wirtualnej rzeczywistości. Wydał w myśli rozkaz: „Odnajdź wszystkie satelity geostacjonarne na tym terenie”. Pojawiły się prostokąty, na każdym pulsowały światłem cyfry i litery identyfikacyjne. Odczytał parametry wysokości oraz długość i szerokość geograficzną. „Tak, to ten!” Określił właściwego satelitę i dotknął wzrokiem odpowiedniego kwadratu, inne zniknęły. Kwadrat wypełnił się światłem i zamigotały na nim litery: „Przywołaj program rozkodowywania.” Przypomniał sobie aplikacje hakerskie, pracował nad nimi przez całe lata, jego mózg jak świetny program, wywołał odpowiedni access code, który pojawił się w postaci srebrnej kuli, unoszącej się tuż przed oczami. Pochwycił ją i cisnął w kwadrat oznaczający satelitę. Dwie formy nałożyły się, a potem podzieliły na małe, pulsujące czerwonym światłem kwadraty, ustawiające się w różnych kombinacjach. Wiedział, że musi natrafić na właściwy układ, czekał spokojnie, obserwując pracę komputera przełożoną na język grafiki. Przeglądał jedną kombinację za drugą, przebiegł kilkanaście, zanim natrafił na właściwą. Wtedy pojawił się napis: „System złamany. Łamanie innego, czy zamknięcie aplikacji?” Teraz język form graficznych pokazał mu długi korytarz, po obu stronach którego, znajdowały się drzwi. Na ich powierzchniach widniały napisy z nazwami różnych obszarów pamięci. Chłopiec poruszał się w wirtualnej rzeczywistości płynąc, aż wreszcie odnalazł drzwi z napisem „In–Out”. Otworzył. Po drugiej stronie latały wiązki informacji transmisyjnych, pośredniczących między satelitą a komputerem. Pomyślał: „wgrać aplikację rozkodującą”. Ciągi informacji niby srebrne nici zasnuwały całą przestrzeń. Pochwycił tę, która odpowiadała jego zamiarom i napiął jak strunę, drżała pod palcem, pociągnął ku sobie, pękła. Teraz należało wstawić filtr, który w postaci graficznej pojawił się jako okrągła soczewka. „Zaprogramować filtr na wyświetlanie obrazu szukanego obszaru.” System był już gotowy, odczyt satelity nie wykaże żadnych zmian na obserwowanym przez niego terenie, a więc ruchów wojska i przemieszczeń broni. Chłopiec powinien teraz wstawić zegar samodestrukcji, który wyglądał jak prostokąt z pulsującymi cyframi. Kiedy umieścił go na filtrze, pozostała mu do wykonania ostatnia, najważniejsza czynność: wpisanie odcinka czasu, przez jaki satelita będzie oślepiiony, co umożliwi terrorystom atak na wzgórze. Jednak chłopiec nie popierał ich walki i nie chciał, aby rozpoczęli wojnę. Jak wykonać zdanie, do którego został zmuszony i jednocześnie zapobiec terrorowi, działaniom zbrojnym i rozlewowi krwi? Wahał się, musiał podjąć nadzwyczaj ważną decyzję. Nie mógł zastanawiać się zbyt długo, gdyż dowódca wciąż go obserwował, a co więcej, z głębi korytarza wirtualnej rzeczywistości nadleciał nadzorca systemu, by zlokalizować intruza, musiał więc uciekać. Zdecydował się i nastawił zegar na pięć minut, to była ta wielka decyzja i wykręt, po czym zaczął szybko wycofywać się wirtualnym korytarzem, mijając szeregi drzwi i w ostatniej chwili wybiegł przez ostatnie. Zamknął je za sobą. Koniec, to wszystko, zdjął z głowy kontroller i chwilę siedział oszołomiony.

– No? – zapytał dowódca.

– Macie pięć minut!

– Na atak potrzeba więcej czasu!

– Staroświecka wojna!

– Wydłuż czas!

– Nie mogę, oprogramowanie jest niedobre.

– Ty psie! – dowódca wrzasnął na dostawcę. – Oszukałeś nas! – Kopnięciem wyrzucił go za drzwi.

– Effendi! – azjatoł zasłaniał się leżąc na rudym piasku.

Tamten stał nad nim, odbezpieczając broń.

– Chwileczkę! – rzekł spokojnie chłopiec. – Czy chcesz go zabić?

– Zginie, ścierwo!

– Zasłużył na to, gdyż dostarczył ci niewłaściwy software. Ale jeśli go zabijesz, program nie stanie się lepszy.

Rozwścieczony mężczyzna wepchnął lufę pistoletu do ust azjata.

– Czy masz innego dostawcę?

– Nie mam!

– Więc jeżeli naprawdę chcesz odzyskać terytorium, musimy szybko dostać odpowiednie software.

Azjatał coś bełkotał, machając ramionami.

– Gdzie masz magazyn? – zapytał go chłopiec.

Dowódca stał rozwścieczony, jego ręka drżała.

– On musi odpowiedzieć.

Lufa leniwie wysunęła się z ust. Przemysłnik kaszłał przez chwilę i obracał językiem w pokrzwawionych ustach.

– Pośrednicy, effendi, takie dostawy to delikatna sprawa, operuję w kilku krajach.

– Jeśli znowu wybierze zły program, nigdy nie zaatakujecie. Jadę z nim!

Podszedł do ciężarówki i wspiął się po stopniach do szoferki. Azjatał kłaniał się, dotykając rękami kolan, potem zgrabnie, mimo tuszy, wspiął się do szoferki. Chłopiec ruszył, jego pasażer ocierał usta z krwi.

Ostre światło wpadało przez szybę, buchał żar pustynny. Chłopiec mocno ścisnął kierownicę, jechali gładko jak po stole, gaz, gaz! W realnym życiu nie ma takich prędkości, to stanowiło dowód, jeszcze nie opuścił wirtualności, ale kształtowała się zgodnie z zasadami rozumu. Prowadzono tu kiedyś działania wojenne. Ogień wielkich miotaczy zeszklił piasek, pokrywając wydmy półprzejrzystą skorupą. Załamywało się w niej światło słońca, rozszczepiając w tęczową mgłę, która sięgała aż do nieba, więc pędzili w kolorowej mgłę. Wielkie ognie, które wtedy długo płonęły, zakłóciły wymianę ciepła, toteż co chwilę tu i ówdzie padały kolorowe deszcze, lecz woda od razu unosiła się z powrotem białymi gejzerami pary. Martwa pustynia żyła, ale było na niej coś więcej. Pozostawiono tu olbrzymie ilości ciężkiego sprzętu, na który rozpylono mgłę folii, opakowując maszyny niby prezenty świąteczne, te pokraczne rzeźby stały co parę kilometrów. Po chwili minęli przerażającą dekorację teatru wojny. Było to pobojuwisko zasłane ciałami wrogów, których nikt nie owijał w sztandar, by odesłać do ojczyzny. Zwłoki pokryto szklistą glazurą ze względów sanitarnych i tak leżą w pozach, w jakich zaskoczyła ich śmierć, obejmując głowę ramionami za strachem, który nie przemijał.

Chłopiec ze zdziwieniem spostrzegł, że azjatał jest zupełnie odmieniony, siedział z pańską miną, jego kimono zdobiły złote smoki.

– Ładnie to rozegrałeś – rzekł niespodziewanie.

– O co ci chodzi?

– Wiem, że moje oprogramowanie jest dobre i mogłeś załatwić satelitę.

– Lecz nie byłeś w stanie tego powiedzieć.

– Nie zamierzałem.

– Dlaczego?

– Chcę im jeszcze długo dostarczać broń.

– Dobrze ci płacą.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

Chłopiec milczał.

– Uratowałeś równowagę sił. Kancerlinia dzieli cały świat na połowy, wielkie siły wciąż na siebie napierają, byle drobiazg może zakłócić równowagę.

Azjatoł nagle urwał. Na skraju drogi pojawiła się samotna sylwetka. Chłopiec hamując wpatrywał się w nieruchomą postać. To była ona! Może tym razem porozumieją się. Gorące powietrze falowało zamazując kontury postaci, ale chłopiec wreszcie dojrzał wysoką i szczupłą dziewczynę w czarnych szortach z lakierowanej skóry i w kurtce nabijanej guzami. Wzrostem przekraczała przeciętnego mężczyznę. Stała w rozkroku, a jej nogi były bardzo długie i tak umięśnione, że mogłyby należeć do zawodowego kickboxera. Buciory z okutymi czubami, na które opadały grube, wełniane skarpety, zwijury, pofałdowane na kostkach, wskazywały, jak pewnie kroczy własnymi drogami.

Kiedy podjechał bliżej, zobaczył smoliste włosy przewiązane czerwoną chustką, a na twarzy namalowany tatuaż. Patrzyła chmurnie, ale milczała. Widać, że nadal nie panowała nad osobowościami, w które ją wrzucano.

– Dziwka przydrożna. Zatrzymaj!

– Nie!

– Hamuj! Trzeba skorzystać z towaru.

– Nie!

Ale ona właśnie podniosła rękę zdecydowanym gestem. Stanęli. Azjatoł szybko wyskoczył i podszedł do dziewczyny, chłopiec oparł się czołem o kierownicę, patrzeć nie chciał, ale słyszeć musiał. Niewyraźny głos, brak odpowiedzi ze strony dziewczyny, odgłos uderzenia. Poderwał głowę i zobaczył dwie potężne nogi w powietrzu. Brzeg stopy podbija podbródek azjatoła, ciało wali się jak worek ryżu. Dziewczyna wsiada do szoferki.

– Podwieź mnie!

Usiadła obok, i położywszy na kolanach niewielki komputer typu thinktop, zaczęła spokojnie pracować. Chłopiec podejrzewał, że pracuje dla tamtych i już ją utracił.

– Co to za dane?

– Badamy pustynię.

– Ten piach?

– To nieprzebrana skarbnica. Mamy tu wszystko – jej palce pomykały szybko po ekranie – metale, nawet bardzo rzadkie. Opracowujemy metodę pozyskiwania ich na skalę przemysłową. Gdyby udało się opracować nową technologię, zaszłyby na świecie zasadnicze zmiany.

– My? Właściwie kogo masz na myśli? Podniosła na chwilę głowę znad ekranu.

– Widzisz tę wieżę, podziurawioną jak plaster miodu? To nasz Instytut Badawczy. Jestem tylko stypendystką.

Brzmiało to jak wyjaśnienie, ale właśnie wsiadł azjatoł, chłopiec ruszył. Tamten siedział, starając się nie dotykać uda dziewczyny, ona zupełnie nie zwracała na żadnego z nich uwagi, pracowała spokojnie.

– Czy byłaś kiedyś w Antrapolis? – zapytał niespodziewanie.

Dokończyła obliczeń i wtedy odwróciła ku niemu spokojną twarz, bez śladu emocji.

– A czy to o czymś świadczy?

– A nie?

– Jesteśmy na miejscu – rzekła niespodziewanie. Schowała thinktop do kieszeni kurtki i przeskoczywszy lekko ponad kolanami azjatoła, wysiadła.

– Szkoda – rzekł azjatoł. – Miała coś do powiedzenia. I ja bym chętnie posłuchał.

Przed nimi piętrzył się stołb, a to, co chłopiec uważał za dziury w plastrze miodu, było

okrągłymi oknami, w każdym tkwiła antena satelitarna, co go bardzo zdziwiło. Do czego była przydatna międzygwiazdna komunikacja w badaniach nad piaskiem pustyni? A może ów Instytut Badawczy miał jeszcze inne, tajne przeznaczenie?

– Uważaj teraz, wkrótce dojedziemy do terroidów.

– No i?

– Przekroczymy Kancerlinię.

– Łamiesz prawo!

– Popatrz na mnie! Widzisz te złote smoki na moim kimonie, są małe, ale będą się powiększać. A wiesz, kim byłem? Ostatnim synem biednego wyplatacza kapeluszy z górskiej wioski, raz w tygodniu wędrowaliśmy do miasta, by je sprzedawać turystom. Kiedy skończyłem dwanaście lat, nie powróciłem z ojcem do domu, wiedząc dobrze, że to przyniesie ulgę całej rodzinie. Zawzięłem się, byłem pewny, że dam sobie radę, ale się nie udało, wylądowałem na śmietniku wielkiego miasta. Słaby z głodu leżałem na wielkiej kupie odpadków, czekając na śmierć i wtedy podniósł mnie on. Smok Złocisty. Zacząłem dla nich pracować, szybko awansowałem, bo wiedzieli, że zrobię dla nich wszystko.

Azjałol podniósł głowę, jego czarne oczy zabłysły, zaczął mówić modlitewnym tonem, jakby rozprawiał o Bogu. Kiwał się w przód i w tył, bijąc pokłony jak w meczecie, choć nie wstawał ze swego miejsca dla pasażera w ciężarówce jadącej przez białą pustynię, nad którą drżało płonące powietrze.

– Oni! Najpotężniejsza siła na Ziemi, prawdziwy rząd świata, nic im się nie oprze, przycisnąwszy kciuk mogą zmiażdżyć cały naród jak karalucha na stole, to dzięki nim Chinozja podniosła się po wielkiej wojnie. Byliśmy powaleni na kolana, na naszym karku twardo stał wojskowy but, nasze gwałcone kobiety rodziły bękarty żołnierzom, a wasz papież kropił je wodą, w której zanurzył dwa swoje palce, mówiąc, „oto święta woda, która zmywa grzechy świata”, lecz nasze kobiety wołały pruć nożami swe brzuchy niż rodzić boskie istoty. I wtedy powstali oni, znikąd, a raczej z wielkiego talentu naszej rasy. Bo my bardzo chcieliśmy przeżyć.

I odtąd zwinne paluszki naszych kobiet mogą robić pociski, a wyplatacze kapeluszy z głodowych górskich wioszek pakują broń w skrzynie, pracując od świtu do czarnej nocy za miskę ryżu, milcząco dajemy przyzwolenie na niską zapłatę i dlatego nasza broń jest taka tania. My opanowaliśmy świat, cicho i podskórnie, od spodu, choć nas nie widać, to my przesuwamy pionki na wielkiej szachownicy, którą jest cały glob. I wkrótce już mu damy mata!

Mamy ku temu potężne środki, banki, olbrzymie pieniądze, niewyobrażalne sumy i teraz, ha, ha, przygotowujemy pewne posunięcie, ale to tajemnica, o, wkrótce się zatrząsie, choć wokoło tych ziem stoją patrole Sprzymierzonych, pilnując porządku i prawa. Ale jakiego, czyjego? Ich! To oni chcą sprzedawać swoją broń, to oni chcą zarabiać wielkie pieniądze, aby trzymać ciężki but na naszym karku. Poczekajcie, zagrozimy, zaszachujemy! Ha, ha! I kto tego dokonał? My, wielkie bractwo Złocistego Smoka, on przeleci ponad globem i wszystko zmiecie ognistym ogonem. Połowa ludzi na tym terytorium trzyma w garści naszą broń! I kto tego dokonał? Ja, ostatni syn biednego wyplatacza kapeluszy! A wkrótce cała ta ziemia będzie nasza, naszpikujemy ją nabojami, na każdej diunie postawimy armaty i wtedy skoczą sobie do gardła. Skończy się przepychanka, my walniemy tamtych pięścią w plecy, o, już wkrótce.

Chłopiec słuchał uważnie, prowadząc samochód spokojnie i patrząc na solidną szosę, która pozostała po wojnie.

Zrozumiał, że światem rządzi potężna mafia, nazwana bractwem Złocistego Smoka.

Przygotowuje wojnę w centrum świata, wkrótce ów podzielony naród mieszkający na pustyni zacznie bratnią wojnę, ludzie własnymi rękami wykopią sobie grób i złożą do niego swe żony i dzieci. W każdej ręce tkwił będzie karabin przywieziony przez azjata i jego pośredników, wojna potrwa pokolenie, wszyscy dobrze zarobią, tylko nie ci nędzarze, których ciała wyschną w piachu. I nie przybędzie tu Chrystus, by się za nich poświęcić, kobiety urodzą bękarty i nikt nie będzie zbawiony.

Chłopiec był bardzo spokojny. Nie zgadzał się na taki świat, nie dawał mu przyzwolenia moralnego. Czy rządzi nim Grysop, czy mafia, czy jeszcze ktoś inny. Musi wpłynąć na rzeczywistość sensualną. Ale jak? Będzie kształtował wirtualność zgodnie z zasadami rozumu i uczciwości, muszą nastąpić przesunięcia poziome. Cóż przeciwstawi potęgom? To, co ma. Rozum, wytrenowany umysł, wolę. „Jestem człowiekiem-komputerem, nie działam jak inni, krzycząc i klnąc, obłany potem ze strachu. Mam coś więcej, mam informację zaklętą w elektrony, sieć obejmującą cały świat. To moje dwa przedłużone ramiona, to mój zwielokrotniony umysł, dostęp do całej informacji świata. A teraz, działać.” Dopiero w tym momencie zauważył dwóch żołnierzy, podchodzili od przodu, powoli, gdyż w tym upale szybki ruch to śmierć, płuca rozdyma żar i piach pustyni. Ich chusty pokrywał brudny pył, byli nieogoleni, bluzy wyłożyli na spodnie. Jeden z nich rozpiął kurtkę całkowicie, a po włochatej piersi spływały strugi potu. Byli nerwowi i bali się zwierzchników, życie innych nie miało dla nich żadnej ceny, łatwo wybuchali gniewem, w podnieceniu szybko naciskając spust karabinu. Azjatoł odwrócił się ku nim i pochylił w pokornym ukłonie, tak głębokim, że dotknął dłońmi kolan. Trwał tak przez chwilę, aż poczuł, że żołnierze zostali ułagodzeni.

– Jaki masz ładunek, mongoloidzie?

– Zabaweczki! Elektroniczne gry. Wiozę je dla tych tępaków nieprawnie zajmujących ziemię leżące na prawo od terroidów, panie oficerze.

Stał przed nim sierżant i szeregowy. Kłamał im w żywe oczy, mówiąc to, co chcieli usłyszeć.

– O czym są te gry?

– Głównie hazard, panie oficerze – postąpił ku nim jeden kroczek i ostrożnie podsunął im pod oczy pudełeczko z grą. – O, proszę łaskawie rzucić okiem. Jeżeli się naciśnie ten guzik, kuleczka posunie się w prawo, a jeżeli ten, to w lewo, chodzi o to, by wpadła do dziurki. Ta gra nazywa się PicMan.

– Daj! – sierżant wyszarpnął zabawkę i dwie głowy pochyliły się nad ekranem. Obydwaj z zapalem nacisnęli guziki.

– A to jest gra „Myszka do dziurki” – wcisnął im w ręce następne pudełko. – Kolejna nosi tytuł „Suczka do pieska, czyli tajemnice nocy poślubnej”. – Wkładał jedną po drugiej w chętne ręce. Pstrykali sobie chwilę i ukrywali pudełka pod kurtką.

– Masz jeszcze coś?

– O tak, ale to dla tamtej hołoty: „Jak palić haszysz, by się nie uzależnić”, „Przewodnik po burdelach”.

Utykali pudełeczka po kieszeniach, ledwo nadażał podawać.

– Mam tu jeszcze gry specjalne: „Autoseks, czyli jak osiągnąć orgazm w dziesięć sekund”, „Twój kolega, twą żoną”. Dla każdego z panów oficerów po dwa pudełka. Dziękuję.

– Obserwuj nas! – rzekł szeregowy, rozglądając się niespokojnie.

– Przejeżdżać! Nie tamować ruchu! – wrzasnął sierżant, chwytając za automat luźno wiszący na piersi. Wokoło nie było ani jednego samochodu.

– Będę wracał dokładnie za trzy dni z nowym ładunkiem! – podpowiadał aluzyjnie przemytnik, wskakując z powrotem na swoje miejsce. – Ruszaj!

Przejechali linię demarkacyjną w milczeniu, udając, że zachowują się naturalnie, aż Terroidy stały się małe i płaskie. Chłopiec stwierdził, że musi działać. Gaz, szybciej, skręt, azjatoł upadł na drzwi, zanim się pozbierał, nowy skręt w drugą stronę, i znowu na gaz. Pędzili po zeszlonej nawierzchni. Gnali gdzieś poprzez pustynię, po bezdrożach, piachu zbitym niby dno oceanu, wyboje, doły i ten pył w oczy, w usta, aż do krtani. Wargi i ślina na zębach wyschły natychmiast, zapiekły śluzówki oczu. Dokąd gnają, przecież minęło zaledwie kilkadziesiąt sekund! Albo ani jedna!

– Stać, bo strzelam!

Przed nimi stał patrol żołnierzy Sprzymierzonych. Ich głowy ochraniały białe hełmy, oczy ukrywały gogle, z ramion unosiły się przejrzyste peleryny chroniące od kurzu i słońca, w poprzek piersi na szerokich taśmach wisiały automaty. Pewni siebie stali w rozkroku, szkliste buty opinały ich nogi aż poza kolana, twarze pokryte grubo antysolem, niby warstwą gipsu, odwracali od słońca.

Wykręcił jeszcze raz i wrył się kołami w piach, obydwaj wypadli przez przednią szybę wprost pod nogi żołnierzy.

– Uciekaliśmy, panie oficerze – rozległ się pokorny głos.

– Nie jestem oficerem.

Przemytnik zastygł w ukłonie, tym razem dłońmi dotykając aż do stóp, udawał, że nie śmie podnieść oczu. Jego umiejętność płaszczenia się została utrwalona w genach dzięki trzem tysiącom lat istnienia społeczeństwa kastowego.

– Jaki ładunek deklarujesz?

– Elektroniczne zabaweczki dla żołnierzy z Purcholi. Ta hołota nie potrzebuje nic innego oprócz palenia haszu i walenia konia, panie oficerze.

Chłopiec uniósł głowę i przyglądał się manewrom swego współnika. Obawiał się, że szczywany przemytnik oszuka żołnierzy, więc pozwolił przejechać bez kontroli, jednak oni nie wykazywali żadnych reakcji. „Nie wolno dopuścić do przepuszczenia transportu, trzeba zniszczyć przemyt broni”. Azjatoł tymczasem pokazywał żołnierzom pudełeczka z gramami.

– To są gry inteligentne, dla osób o ilorazie powyżej 140, dla geniuszy. Proszę, akurat dla panów.

Popatrzyli pobieżnie na etykiety, nie wykazując zainteresowania.

– Niczego więcej nie masz oprócz gier?

– Nie, proszę pana.

– Wypełnij deklarację i odjeżdżaj – sierżant wręczył elektroniczny notes.

Chłopiec zerwał się z piasku. „Działać, natychmiast! Ale co robić?” Zastanawiał się, jak postąpiłby w realnym życiu? „Ta gra symuluje rzeczywistość”. Już wiedział, znalazł rozwiązanie. Podeszedł do ciężarówki i wyjął cienki laptop oraz dysk CD, po czym zbliżył się do żołnierza.

– To jest gra symulująca wojnę totalną – pokazał mu obraz na ekranie, ten jednakże wyjął przejrzystą butelkę wody, sterylnie zapieczętowaną kapslem, oderwał go zębami, napił się, resztę wylał na diunę i odrzucił butelkę za siebie. Ledwo dotknęła piasku, zaczęła się roztopiać i po chwili zniknęła. Żołnierz niechętnie spoglądał przez ramię i nie chciał zrozumieć aluzji, grubas tymczasem kończył wypisywanie deklaracji.

Chłopiec podniósł głos: – Symulacja uwzględnia wszystkie parametry, a każdy z nich został przetestowany i okazał się zgodny z rzeczywistością. Po prostu prowadzi się prawdziwą wojnę na ekranie komputera.

– Możesz przejechać! – sierżant pokazał kciukiem, że droga wolna.

– Skąd pochodzisz? – chłopiec zapytał żołnierza. – Zbombarduję twoje miasto, mam

prawdziwe współrzędne.

- Wolałbym zniszczyć jakieś miasto na Wschodzie – zaśmiał się naiwnie żołnierz.
 - Takie programy nie modelują przyszłości, więc nie są produkowane.
 - Mnie to nie bawi – rzekł żołnierz.
 - Szkoda! On wkrótce zagra z wami wszystkimi – chłopiec wskazał palcem esterniaka, jak oskarżyciel.
 - Musimy sprawdzić twój ładunek – powiedział sierżant, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie.
 - Ależ ja mam licencję, panie oficerze.
 - Nie podważam jej.
 - Międzynarodowe prawo pozwala mi handlować.
 - A mnie pozwala sprawdzić twój ładunek.
 - Dam panu wszystkie gry – podbiegł do ciężarówki i wyciągnąwszy karton postawił go przed nogami żołnierzy. – Proszę sprawdzać, zostawię je aż do następnego miesiąca, całkiem za darmo. Nie mogę czekać, aż kontrola zostanie przeprowadzona, mam terminową dostawę, pan oficer rozumie, w biznesie czas to pieniądz.
 - Nasi eksperci pracują szybko.
 - To ja wyładuję wszystko i zgłoszę się później – cwaniak usiłował ocalić chociaż głowę, uciec za wszelką cenę.
 - Nie możemy składować cudzego ładunku.
 - Możecie go wyrzucić.
 - To pociąga za sobą koszty.
 - Pokryję je – grubas wyszarpnął z szoferki walizkę z pieniędzmi i z rozmachem postawił na piasku. Zielone banknoty leżały w równych rzędach, już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to znaczny majątek. Białe koła gogli skierowały się na klęczącego azjatola, który szerokim gestem trzymał wieko, a potem zwróciły się porozumiewawczo ku sobie. Przemysłownik uniósł ku nim głowę i czekał pokornie, aż się naradzą, a chłopiec przestraszył się, że ulegną próbie przekupstwa.
 - Te pieniądze są pokryte czerwonym kurzem pustyni, jak krwią, trzeba je wyprać – powiedział głośno.
- Gogle skierowały się ku niemu. Żołnierz parsknął śmiechem, lecz sierżant zrozumiał, że są to pieniądze pochodzące z przestępstwa, które jeszcze nie zostały wpłacone do odpowiedniego banku, w celu puszczenia ich w obieg, a więc „wyprania”.
- Poczekacie, aż zostanie przeprowadzona kontrola – sierżant gestem rozkazał: „ruszaj!”
- Chłopiec odetchnął i nie oglądając się ruszył przed siebie w stronę wielkich białych kopuł pustynnych namiotów, które były zaryte w piasku niby arki lub korabie wyrzucone na zbawczy brzeg Kolchidy, gdzie istnieje legendarne złote runo. Wkrótce minął słupki okręcone plastikową taśmą, na której powtarzał się napis: „Military Zone”. Odetchnął przekroczywszy granicę, tu zaczynało się terytorium porządku i prawa, tego był pewien.
- Był sam w cieniście namiocie. Czekał. Azjatola nie widział od tamtej chwili przy ciężarówce. Siedział długo, ręce położywszy na białym stole, jak uczeń. Przyglądał się komputerom, były to wspaniałe systemy, wdarcie się do ich twardych dysków byłoby przestępstwem, ukaranym szybko i surowo. Nie mógł jednak oderwać wzroku od sprzętu, korciło go, by trochę w nim pogrzebać, ciekawe, czy przełamałby zabezpieczenia... „To zakazane” mówił sobie, lecz go ciągnęło. Toczył wewnętrzną walkę ze sobą, czując w palcach mrowienie.
- Mijał czas, co do tego nie miał wątpliwości, ostatnia sekwencja trwała dosyć długo, stając

się kompletną przygodą i dokładnie symulowała rzeczywistość sensualną, czuł jej twardość i dotykliwość, drewnianą solidność. Zastanawiał się, dlaczego jest logiczna i porządna, i przypomniał sobie zdanie Grysopa: „Wszystko zależy od ciebie”. Margines wolnej woli. Rzeczywistość jako odbicie parametrów umysłu, chyba tak? Widział wyraźne różnice pomiędzy szybkimi, fantasmagorycznymi zmianami kolejnych podwirtualności, gdy nie był w stanie kierować grą. Teraz wywierał na nią wpływ poprzez sytuacje. Czy nie pracuje dla tamtych? Był pewien, że nie, przecież przeciwstawił się złu i opowiedział po właściwej stronie. Bez wątplenia wywiera wpływ na rzeczywistość.

Oficer wreszcie wszedł i położył na stole swój elektroniczny notes, po czym wyjął z lodówki dwie duże butelki wody mineralnej i usiadłszy naprzeciwko, postawił jedną przed chłopcem. Przypominał Grysopa, jak również w pewien sposób psychologa, ale jeszcze kogoś, i to chłopca zaniepokoiło. Jeszcze raz porównał w pamięci dwa obrazy: tego oficera pochylającego się ku lodówce i tamtego, który siedzi odwrócony plecami na tarasie kawiarni. – Odśwież się – usłyszał.

Pił przez chwilę, patrząc na szklistą powierzchnię stolika. Zupełnie nie wiedział, czego ma się spodziewać.

– Azjatoł wszystko wyśpiewał.

– Co z nim zrobicie?

– Będzie miał sprawiedliwy proces. Kraina prawa udowodniła, jak solidnie i porządnie funkcjonuje.

Chłopiec odetchnął.

– Przemyt broni ukrócony, pokój będzie trwały.

– Jesteśmy tu po to.

Oficer przetarł twarz lśniąca od potu, po czym podniósł się i podwinąwszy skrzydło namiotu, stanął odwrócony plecami. Była noc. Szklane niebo ograniczało pustynię u góry. Przez uniesioną płachtę chłopiec widział stojącą nie opodal estradę. Olbrzymie reflektory walały z góry jasnym światłem na deski sceny, gdzie grał zespół muzyczny. Głośniki piętrzyły się niby gmachy, olbrzymie wzmacniacze przypominały organy kościelne. W tle unosiła się dekoracja ze światła sięgająca nieba, kolory przechodziły z jednego w drugi jak szalone nożyce blasku, wiały wiatry dymów, zmieniając kształty, głębia perspektywy ukazywała coraz dalsze, tajemnicze i dzikie przestrzenie, ilustrując piosenki akcją, dodając do nich komentarz i nastrój. Powyżej na wielkim ekranie ze światła i kolorów rozpoczął się taniec nagiej kobiety, lecz nim rozbijały się biodra, pokazano oblizujące się usta i odlot rakiety. Instrumenty walały jak szalone, dziko i namiętnie. Żołnierze oblepiający estradę pili i odrzucali od siebie puszki po piwie, każdy z nich wrzeszczał wymachując ramionami, palili hasz, upajała ich muzyka i pustynia, gorący wiatr i daleka tajemnicza obecność kobiet owiniętych w czarne woale.

Solista był transwestytą, kobietomężczyzną o ogolonej czaszce, nosił damską bluzkę i skórzane spodnie, jego niepokojący chrapliwy głos: „Ja to mam, ja to mam!” zapewniał i podniecał. Chłopiec zrozumiał, że jest to kolejna metamorfoza, nie wątpił, że została całkowicie pochwycona przez tamtych i nie miała siły, by wyzwolić z potrójnego więzienia. Musi jej pomóc. Zrozumiał, dlaczego oficer patrzy, chciał mu ją pokazać, wszystko jasne, ale on kim jest i czym jest ta rzeczywistość? Znalazł się w hiperwirtualności, utworzonej z elementów obu światów, symuluje, kłamie i oszukuje. Nic nie jest pewne.

Oficer odsunął się od wejścia i przepuścił żołnierzy. Postawili skrzynię z bronią na środku i zrobili w tył zwrot.

– Wiedziałeś o tym?

„Rozstrzelają mnie od razu. Użyj inteligencji, użyj rozumu, twój świat musi być zbudowany na tych zasadach”. Pochylił głowę i splótł dłonie, poczuł, że maleje, zamieniając się w strumień elektronów, w sypką błękitną strugę i krąży w żyłach systemu, staje się szybki, pojętny i mądry, jego umysł napelnia się całą informacją świata, jest wszędzie i wszystkim. Opanował strach, poczuł własną siłę i możliwości, ogarnął go spokój taki, jaki mają maszyny. Stał się programem, nikomu nie pozwoli sobą kierować.

Przez tkaninę namiotu przesączały się okrzyki, gardła brzmiały wspólną orkiestrą:

„Witamy prezydenta”.

– Rocznicą zakończenia Wojny Wschodniej. Chcemy cię przedstawić do odznaczenia – rzekł niespodziewanie oficer.

– Mnie?

– Wykonałeś dla nas kawał porządnej roboty.

Oficer podniósł rękę i pstrykaniem palców rozjaśniał ekrany w głębi, otwierały się okna. Na pierwszym zobaczył olbrzymi policzek. Czarne włosy zarostu na szczęce sterczały niby słupy. Pomiędzy nimi gigantyczna pszczoła stawiała ostrożnie odnóża usiłując uniknąć nadziania się na szpicinę ostrą, jak igły do zastrzyku. Jej odwłok zawierał miniaturowe urządzenia. Wysunęła żądło, które było rurką, wewnątrz niej przesunęły się jak paciorki nadajniki wielkości nanomilimetrów, które miały zostać wszczepione człowiekowi. Widać było, z jaką inteligencją umyka uderzeniom dłoni, starając się wypełnić program.

Na ekranie pokazała się wysoka wieża o porowatych ścianach i okrągłych oknach. Stała na tle modrego nieba i białego piasku, lśniąc w słońcu.

– Instytut Badawczy pracuje dla was? Czy oni naprawdę analizują piasek?

– Tak! Każde ziarnko jest śladem, podejrzewamy, że nasi alianci ze wzgórz oszukują nas, zajmując się produkcją broni biologicznej, więc musimy im patrzeć na ręce. Równowaga sił jest bardzo chwiejna.

Otworzyło się następne okno i chłopiec zobaczył siebie w obozie terrorystów, widział swoje palce uruchamiające komputer, ustawiały cienki i płaski ekran w stronę słońca. Zaskoczyło go, z jakim spokojem zabierał się wówczas do pracy. W tym momencie otworzyło się kolejne okno, pokazujące dramatyczną chwilę namyślenia się i podejmowania decyzji.

– Teraz! – powiedział oficer. – Wystarczyło nacisnąć jeden klawisz i satelita zaczęłyby wariować, guerillas zaatakowałyby wzgórze, wojna zaczęłaby się od nowa. Pokojowym siłom Sprzymierzonych wydano by ostre naboje. Ta wojna trwałaby pokolenia.

Zbliżenie i powiększenie twarzy azjata: otwarte usta i wybałuszone oczy.

– Wiedział, że jego software jest dobry – powiedział oficer.

– Czy i ty mógłbyś to potwierdzić?

– Przed kim?

– Widzisz – zaczął oficer – sprawa jest wagi międzynarodowej. Popatrz na to.

Tuż obok uruchomił się następny ekran, a na nim obraz wielkiego sklepu z komputerowym software.

– To nielegalna produkcja – wyjaśnił oficer. – Na drodze negocjacji chcemy zmusić ich do likwidacji tego dochodowego biznesu, bo ponosimy wielkie straty.

– Jak to?

– Wschód kopiuje nasze programy nie płacąc, powieliła je w milionach egzemplarzy. Są tanie, więc nasz software sprzedaje się gorzej. Chcieliśmy ich skłonić do podpisania międzynarodowych konwencji, zmusić, aby dobrowolnie płacili za licencję, lecz teraz ciągną zyski bez wykładania pieniędzy, a są to znaczne sumy. Nie jest łatwo pociągnąć za ogon

tygrysa, jeszcze trudniej usunąć z drogi słonia. Trzeba im coś w zamian dać, zapłacić, aby byli skłonni pójść na ustępstwa.

– Czego żądają?

Oficer zrobił nieprzeniknioną minę.

– To, oczywiście, stanowi tajemnicę i nie jestem poinformowany, ale ogólnie mówiąc, dostępu do nowoczesnej techniki. Chcą rozwinąć swój kraj, przemysł, rolnictwo, nadrobić opóźnienia.

„To byłoby dobre dla biednych ludzi” – pomyślał chłopiec. Widział górskie wioski i biedne miasta, śmietniki w wielkich metropoliach i nędzarzy.

– Musimy również przekazywać wielkie sumy na, powiedzmy sobie, prowizje dla skorumpowanego aparatu administracyjnego. Ludzie nic z tego nie dostaną, wszystko zostanie przelane na prywatne konta.

Chłopcu zrobiło się gorzko. Zobaczył, że w ten sposób nic dobrego nie wyniknie dla zwykłych ludzi.

– Popatrz jeszcze na coś innego. Sklep na ekranie został zastąpiony kilkoma zwykłymi budynkami, stojącymi na zupełnie pustym terenie.

– Nasze zdjęcia satelitarne. Ta niewinnie wyglądająca fabryczka produkuje software na potrzeby wojskowe. Bardzo niebezpieczne. Dotąd nie mieliśmy dowodu.

– I właśnie ja go dostarczyłem, pokazując, że oprogramowanie może oślepić wojskowego satelitę i służy prowadzeniu wojny, którą przygotowują.

– Tak! Teraz rozumiesz. Mamy pełny obraz, zobaczyliśmy, jakimi drogami krążą dostawy i jak się rozprzestrzeniają na wiele stref świata, aż tutaj, gdzie nie wolno, zgodnie z konwencjami podpisanymi po wojnie, dostarczać niczego, co służy wojsku.

– Dzięki mnie otrzymaliście ważną kartę przetargową.

– Dokładnie! Dzięki tobie nie dostaną niczego. Będą musieli zlikwidować produkcję, nie zapłacimy im ani grosza, zmusimy ich do kupienia naszych licencji, a to kosztuje. Nie podniosą się gospodarczo, chyba że pod naszą ścisłą kontrolą, my będziemy dyktować warunki.

– Postawicie im but na karku.

– I to na długo!

– A co się stanie z tym terenem, z podzielonym krajem?

– Obie części dostaną się w nasze ręce. Zanegujemy powojenne porozumienia.

– Dokonacie scalenia terytorium?

– Nie byłoby to dobre dla naszych interesów. Będziemy im sprzedawać naszą broń i nasze software, skoro wyeliminujemy konkurencję.

Chłopiec poczuł, że gorzki smak w ustach zrobił się bardzo intensywny. Pomyślał, że czasem rację ma również wróg. Oficer wstał i przybrał bardzo godną, urzędową minę, gdyż chwila była ważna.

– Po koncercie powitalnym staniesz tam, na estradzie, przed całym wojskiem, przed kamerami światowej telewizji, prezydent uściśnie ci dłoń, wszyscy to zobaczą. Ale masz, chłopcze, szczęście. No i forsa, forsa, stanowisko, popularność.

Gorzki smak na języku nie zniknął, chłopiec nie mógł wykrztusić słowa, lekko pchnięty w plecy zrobił krok do przodu. Poczuł pod stopami piasek pustyni. I wtedy wszystko zniknęło, rozwiały się światła, ucichła muzyka i wrzawa, poszarzało i w ułamku sekundy czerń załała świat.

Cisza, pusto i ciemno. Siedział chwilę otumaniony, a wtedy zaczęły powracać zmysły.

Poczuł na skroniach ucisk hełmu do oglądania trójwymiarowych obrazów, a za plecami

twardość oparcia fotela. Był w swoim pokoju. Zerwał z głowy hełm. Po prostu skończył się program na dyskietce.

Wstał od biurka i podszedł do okna. Uniósłszy szczelbelki żaluzji, popatrzył na Miasto. Dowiedział się, jak funkcjonuje świat, miasto to tylko jego część. Złożona, skomplikowana struktura, ludzkie namiętności i sprzeczne działania. Tam, w dole chodzili ludzie, ale nie postrzegał ich jako drepczące owady, w ich ruchach widział sens. Świat nie jest ciemny i straszny. Skomplikowany – tak, złożony – owszem, ale jest to rzecz dla ludzi, i on może wszystko pojąć, bo jest wyposażony w doskonałe narzędzia działania: rozum i silną wolę. Uśmiechnął się leciutko, a potem coraz szerzej i już śmiał się głośno i szczerze. Był panem samego siebie.

A teraz działać. Wyjął dyskietkę z komputera i szybko wyszedł. Potrzebował drugą, z dalszym ciągiem gry. Wsiadł do autobusu i rozparłszy się przy oknie, jechał przez miasto i noc. Jadąc spoglądał na ekrany telewizyjne zajmujące górną część ścian, wyświetlano dziennik.

Oto wielki plac na Wschodzie, reporterzy stoją w rogu, nad głowami satelita. A na środku wielka kupa albo stos z czarnych worków na śmieci. Już rzędem z boku idą mundurowi, złote galony i dumne epolety, pierwszy niesie kij, jak buławę wodza. Zbliża się dostojnie, już przed kupą się zatrzymał. Zapalniczka, czy nikt o niej nie zapomniał? Już wyjęto nowoczesne krzesiwo i podano białą rękawiczką na złocistej tacy, niby nożyczki do przecięcia wstęgi na wielki szoł. Ogień, kolor jego jest czerwony, zapłonął kij, gdyż był zniczem. Oficer w górę go unosi, płomień pali się na baczność, teraz wielki zamach ramienia, kij leci na stos. Nylon worków się smaży, coś marnie się palą, przykazano zrobić szoł, telewizja czeka. Mundurowi radzą. Trochę siarki i fosforu dla koloru, kanister benzyny da efekty świetne.

Chłopiec rozumiał wszystko. Dokonał przesunięć w rzeczywistości wirtualnej, była ona matrycą świata działań. Więc i tu muszą zajść odpowiednie wydarzenia. „Zaraz się stanie! Zaprogramowałem!”

Pirat siedział przed komputerem. Zastanawiał się, kiedy ma wkroczyć do akcji i zmienić świat na gorszy. Teoretycznie mógł się przeciwstawić i podpisać na siebie wyrok śmierci. Wiedział, co robić, został dokładnie poinstruowany. Lekcja odbyła się w podziemiach domu towarowego, w sali przerobionej na studio komputerowe. Tym razem kazali mu usiąść przy wielkim szklanym stole tuż obok eksperta, nipończyka, który konwersował galaxolem. Łączył się z całym światem. Jednym ruchem palca przenosił się z Islandii do Kanady, po chwili już był w Burundi, stąd tylko sekunda na Biegun Północny. Mafia miała wszędzie banki, pośredników i brokerów, opłotła cienkimi niemi cały glob ziemski.

Zgłaszali się ministrowie i premierzy rządów i zdawali raporty, duchowni pozdrawiali błogosławieństwem i mówili o pieniądzach, tak samo szanowani nobliści, bezinteresowni liderzy grup walczących o wyzwolenie dzieci spod tyranii rodziców, popularni artyści i wåsaci, szanowani w rolniczych okręgach konserwatyści. Zarabiano na wszystkim, na gumach do żucia, automatach sprzedających przzerwatywy w kościołach, nowoczesnych metodach balsamowania zwłok, finansowaniu badań nad komunikacją z kosmitami i na antystresowych grach dla maltretowanych żon. Mafia kupowała ludzi i rządy.

Przed oczami Pirata wylewała się cuchnąca woda nieuczciwości, przestępstwa i oszustw. Czy cały świat gnił, czy wszystko zalewa trupi sos i każdy jest do kupienia? Gdzie są uczciwi ludzie i etyczne rządy? Powiedział sobie wreszcie, że to rzeczywistość wirtualna, świat nie może być aż tak zły.

Tu, po tej stronie, rzeczywistość odznaczała się idealną higieną. Po przeciwnej stronie szklanego stołu pan ekspert, czystej krwi nipończyk z transgalaxem, okulary w złotych

oprawkach, wciąż przeciera twarz kleenexami, które zaraz wrzuca do dezintegratora. Jego garnitur nie ulega zagnieceniu, ręce poruszające się po systemach mają staranny manicure, paznokcie pociągnięto lakierem, udającym kolor naturalny, o wiele lepszy niż prawdziwy. Jego buty, blask na ich czubkach, uczesanie ostrzyżonych włosów, krawat, nawet uszy bez woskowiny, wszystko było lepsze, czystsze i piękniejsze niż w grafice komputerowej. Pirat wszedł w nieskazitelny świat elegancji, w którym pościel zmienia się codziennie, popielniczkę opróżnia po każdym papierosie, a sedes lawendą pachnie, co normalne, przecież. Na czas posiłków uroczyście przechodzili do przyległej sali, gdzie stał czarny stół, jego lustrzaną powierzchnię tak wypolerowano, że widział swoje rzęsy. Potrawy wykonano w postaci gustownej kompozycji kwadratów i rombów, artystycznie ułożonych na białej porcelanie, szef kuchni starannie dobierał składniki jarzyn i mięsa, które wyglądało jak szklista mydelniczka, wszystko przetwarzano wielokrotnie, fasolki na brzegu talerza stały w równym rzędku, ekspert konwersował wytwornie, a Pirat miał ochotę pierdnąć. Pod wieczór skończyli instruktaż. Ekspert wciąż po drugiej stronie stołu, lśniły mu bezbłędne okulary, uniósł dyskietkę i trzymając ją przed sobą pionowo, patrzył na Pirata, musiał czuć odrazę do jego kurtki i dzinsów, ale milczał, co kultura, to kultura, potem pewnie się wykapał i trzy gerlisy masowały mu penisa.

Włożył dyskietkę do płaskiego pudełka, coś w rodzaju portfela, było to czarne, ze skóry miękkiej jak niemowlę, na okładce złoty smok, no i oczywiście, haczyk tak mały, że twój paznokieć jest przy nim toporem. Pozwolili iść do domu.

A w domu, niespodzianka – nowy komputer na nowym stole, przewody w plastikowych koszulkach szły do ściany równoległe, gniazdo wtykowe całkiem inne. Jego własne dyski uporządkowano, żadnego nie brakowało. Opał na krzesło przed komputerem, miał w głowie pustkę, nie wierzył w rzeczywistość.

Światy nałożyły się na siebie, to przesunięcie pomogło mu znieść wydarzenia poprzedniej nocy, kiedy mu pozwolono zająć się żoną, po rozmowie z Synem Smoka. Stał w drzwiach swego domu. Było ciemno, tylko z domu towarowego naprzeciwko wlewało się zielone światło, zamieniając pokój w sarkofag. Leżała na podłodze, żyła. Potrzebowała lekarza, lecz nie mógł wezwać pomocy, z powodu pytań i formularzy. Zawinał ją w koc i podszedł do drzwi. Zatrzymał się nasłuchując. Wszystkich mieszkańców poznawał po krokach, panowała cisza, wyszedł. Unikając światła reklam, kluczył wewnętrznymi podwórkami i krył się w bramach. Nasłuchiwał kroków przechodniów, czasem się pochylał, aby dotknąć tętnicy na szyi. W pewnej chwili chora zaczęła jęczeć i się rzucać. Próbował zatkać jej usta, potem położył ją na ziemi i odbiegł. Usiadł gdzieś w bramie, na schodach, i oparł głowę na kolanach. Ogarnęła go pokusa, żeby nie wrócić i zostawić ją tam, gdzie jest, przecież śmierć byłaby dla niej najlepszym rozwiązaniem.

Zapragnął uciec, wskoczyć do pociągu, rozpląnąć się w tłumie. To bez sensu. Musiałby stać się kimś zupełnie innym, zaprzecić się własnego charakteru, tożsamości, obyczajów, słyszał historie o szpiegach, którzy... i tak dalej. On do tego nie jest zdolny. Wolał nie myśleć, co z nim zrobią, gdy nie wykona zadania i zostanie przez nich złapany, to przypomniało mu powód, dla którego ukrywał się w ciemnej bramie.

Uniósł głowę z kolan, nie spał, ale jest na szczęście w rzeczywistości wirtualnej, wszystko złuda. Wstał i powrócił na miejsce, gdzie ją zostawił, a potem położył w oświetlonym miejscu przed szpitalem i ukrywając się jak zwykle w wystawie, czekał, aż znajdą ciało. Przyplątał się pijak, bezdomny włóczęga, chciał go zmusić do picia spirytu z butelki owiniętej w gazetę. Artykuł na skrawku papieru przyciągnął jego uwagę. „Kiedy zapłonie znicz na placu?”

Nie czekał dłużej, odszedł. Przespał się trochę, przyszli po niego przed świtem, gdy ulice

polewano. Potem był ten dzień, gdy wylał się kubek z pomyjami, nipończyk go instruował, wieczorem pozwolono mu powrócić do domu. A więc teraz jest u siebie.

Spojrzał przez okno na olbrzymi ekran. Dziennik, nic ważnego. Odwrócił głowę i włączył machinalnie komputer. Paranormalne postrzeganie, a może coś więcej, ktoś go instruuje. Nic dziwnego, przecież przebywa w rzeczywistości wirtualnej.

Przypomniał sobie dokładnie zadanie. Wie co, nie wie kiedy.

Miał wpuścić w sieć dane Banku Środkowoeuropejskiego, do którego przelano pieniądze z wielu innych placówek, dysponował olbrzymią siłą finansową. Pamiętał cyfry, znał stopę oprocentowania, inwestycje, interesy. Wszystko wyglądało bardzo zwyczajnie i wiarygodnie. Znowu odwrócił głowę, ostrzeżenie paranormalne, czy ktoś go włączył w program?

Dziennik się zaczyna. Na olbrzymim ekranie pojawiły się osoby, nie słyszał słów, lecz nagle zapłonął ogień. „Symbol! Podwójne znaczenie, światy równoległe, matryce, odbitki.”

– Wkraczam do gry – pomyślał. – To jest, do negocjacji. Potem wywalił im wszystkie dane i odpowiedział na pytania zgodnie z instruktażem. Zaszachował cały świat, miał czym, dysponował pieniędzmi, po systemie jednak krążyły abstrakcyjne cyfry, paczki banknotów leżały w sejfach, jak przedtem. Koniec, cisza. Powrócił do rzeczywistości. Ale do której? Istnieje tylko wirtualność. Wykonał zadanie, jest wolny.

Właśnie wtedy pojawił się na ekranie jego zastrzeżony kod wywoławczy. To mogła być tylko jedna osoba.

– To ja, Synergy.

Nie mógł wykrztusić słowa, ale ona nie czekała.

– Muszę się śpieszyć. Nie powiedziałam ci prawdy.

– Wiedziałem to od samego początku, takie są zasady.

– Ukryłam pewne fakty, nie mogłam inaczej, moja praca...

– Nie widzę cię dobrze. Czemu krążysz po pokoju? Kobieta otwierała sejf, odwrócona plecami nie reagowała. W pośpiechu wyjęła plik dokumentów z czerwonymi pieczęciami i wrzuciwszy je do spalarki, nacisnęła guzik na max, w przejrzystym bębnie pojawił się niebieski płomyk i po chwili urządzenie było puste. Upychała po kieszeniach paczki banknotów, ująwszy torebkę zajrzała do niej.

– Czego szukasz?

– Paszportu.

– Co się stało?

– Mój wydział wykonywał tajne badania, chodzi o wojnę psychologiczną, symulowanie charakterów.

– Zmieściłem się w programie? – zapytał cicho.

Zatrzymała się, ale nadal na niego nie patrzyła.

– Ty byłeś wyjątkiem, nie używałam cię do żadnych celów.

– Ale pomogłem ci w pracy.

– Muszę uciekać, zaraz po mnie przyjdą. Przegraliśmy, ktoś wpuścił fałszywe dane w globalny system... Zabiją mnie. Spotkamy się w rzeczywistości, odnajdę cię.

Na ekranie pojawiły się smugi i zygzaki, słyszał jeszcze ciężkie kroki, nie wiedział, czy to ona tak stąpa, czy łomocą po schodach wojskowe buty, ale znał osobę, która zrujnowała jej życie i karierę. Był to on sam. Siedział z pochyloną głową, zniszczył kobietę, którą kochał. Istniała realnie, to znaczy... Na tym samym zakresie usłyszał szloch i słowa.

– Znowu płaczesz? – zapytał ciepło.

– Już nie – powiedział głosik.

– To dobrze.

- Już wiesz, kim jesteś?
 - Jestem paranormalką, podłączono mnie do systemu. Kazano mówić do ciebie.
 - Gdzie jesteś?
 - Na to miejsce mówią „plaster miodu”.
 - Jest ci tam dobrze?
 - Tak, eksperymentują na moich możliwościach.
 - Jakich?
 - Wpływanie na podświadomość podczas działań wojennych. Wpuścili mnie w system, więc bardzo się przydam.
 - Niewątpliwie.
 - Zademonstruję ci moje możliwości.
 - Kto ci każe?
 - Ona. Dotknij ręką ekranu.
- Zrobił, co kazała. Przez chwilę cisza, a potem krzyk.
- Uciekaj! Natychmiast!
 - Dlaczego? – przecież dobrze wykonał swą pracę, więc mafia da mu spokój.
 - Poznałeś tajemnicę, stałeś się niebezpieczny, muszą cię zabić.
- Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego udzielono mu tak szczegółowego instruktażu. Już wówczas był skazany na śmierć.
- Nie mam szans!
 - Masz! Widzę przesunięcia równoległe, zaraz one zostaną odwrócone. Zajdzie fakt fizyczny, matryca wydarzeń musi się wypełnić. Żegnaj. Jestem młodym programem, powielam się.
- Pirat wyszedł, minął chłopca nie spostrzegając go. A ten oglądał dalszy ciąg informacji na ekranie. Elegancka kobieta powiedziała, że się nazywa Sylfida Warszewsky i jest głównym negocjatorem.
- Zawiesiliśmy rozmowy na czas nieokreślony.
- Padło pytanie, którego nie słyszał.
- Z powodu nowych okoliczności. To wszystko, co mam do powiedzenia.
- Chłopiec poczuł zapach pieczonego drobiu i uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Tuż obok stała wysoka ściana z mikrofalówek, w których obracały się kurczaki zawinięte w srebrzyste folie. Wsunąwszy monetę do szczeliny, wybrał sałatki i sosy. Czekać na potrawę obserwował stragan z owocami. Sprzedawca to azjochinol. Drzwiczki się otworzyły i foremka się wysliznęła. Chłopiec zaczął jeść oddzierając mięso palcami. Zastanowiwszy się podszedł do sprzedawcy.
- A gdzie kimono w złote smoki?
- Azjatoł spojrzął poza siebie, czał się tam cień.
- Pamiętasz, przecież przemycaliśmy razem broń do strefy demarkacyjnej i zatrzymał cię patrol Sprzymierzonych. O twoim nielegalnym dostarczaniu software wie nawet prezydent, który tam był z okazji rocznicy zakończenia wojny. Przegrałeś, synu skromnego wypłatacza kapeluszy, jesteście wszyscy załatwieni. Znamy wasze powiązania, kontakty, strzeżcie się. Twarz azjatoła zrobiła się szara, wciąż spoglądał poza siebie. Jedząc ciepłe mięso chłopiec zawrócił do domu Pirata. Potrzebuje dyskietkę, gra toczy się dalej. Po chwili odwrócił się, lecz przy straganie nie było już nikogo i w ciemności nie czał się cień.
- Mieszkanie Pirata było otwarte i puste, komputer włączony. Chłopiec automatycznie włamał się do systemu. „Co to za dane? Wirtualne, czy realne?”
- Świństwo! – burknął. – Nie pozwolę na to. Widział wyraźnie, że do katalogów wgrano

pewne pliki i cofnięto czas. Jego palce poruszały się same.

– Ten bank też nie istnieje.

Usiadł spokojnie i zaczął pracować jak maszyna. Wszedł do sieci GlobalNetwork. Nie chciał podawać własnego numeru, więc zhakerował akces. A potem naprawił świat. Wycofał naprawę i realnie nieistniejącą propozycję Banku Środkowoeuropejskiego, którego nie było. Jego potrawa dawno już wystygła, lecz sięgając po nią, zauważył dyskietki z gramami. Przejrzał je, znalazł właściwą i włożył ją do kieszeni, a potem położył pieniądze stanowiące umówioną zapłatę i zostawił Piratowi wiadomość na komputerze w jego osobistym i zastrzeżonym pliku, do którego z przyjemnością się włamał, gdyż wyciągnął z sieci łamacz hasła.

Wracał do domu autobusem. Odnajdzie dziewczynę, kiedy tylko zacznie grać, ale najpierw się prześpi. Fajny jest ten Pirat, a więc ciągle będzie brał od niego gry. Usłyszał wycie policyjnych samochodów, zerknął od niechcenia przez szyby. Była wielka obława.

Wywożono cudzoziemców, którzy nagle stali się niewygodni. Chłopiec pomacał ręką dyskietkę w kieszeni.

„Złoty Smok wypadł z gry. Na zawsze. Naprawiłem świat.”

Korekta: Joanna Bednarek